

Autor bestsellerowego cyklu *Czarny Wygon*,  
pięciokrotnie nominowany do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdła

STEFAN

# DARDA

Zbiór opowiadań grozy

Opowiem ci mroczną historię

VIDEOGRAF





Opowiem ci mroczną historię

VIDEOGRAF



---

Redakcja

*Anna Seweryn-Sakiewicz*

Ilustracja na okładce

*Dariusz Kocurek*

Redakcja techniczna, skład i łamanie

Grzegorz Bociek

Korekta

*Urszula Bańcerk*

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I, Chorzów 2014

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA

41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c

tel. 32-348-31-33, 32-348-31-35

fax 32-348-31-25

[office@videograf.pl](mailto:office@videograf.pl)

[www.videograf.pl](http://www.videograf.pl)

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.

01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

[dystrybucja@dictum.pl](mailto:dystrybucja@dictum.pl)

[www.dictum.pl](http://www.dictum.pl)

© Copyright by Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2014

© Copyright by Stefan Darda

**ISBN 978-83-7835-363-8**

---

## *Moim Czytelnikom*

---

*Gdy idziecie ulicą, spójrzcie w twarz starca, niedołąźnie zmierzającego w przeciwnym kierunku. Spójrzcie w jego oczy, a w wielu wypadkach wyczytacie w nich tak mroczne historie, że trudno wam będzie zasnąć wieczorem.*

Adolf Krawczyk

---

# Przedmowa

Jest październik 2014 roku.

Dokładnie sześć lat temu, podczas Targów Książki w Krakowie, miała miejsce premiera mojej debiutanckiej powieści *Dom na wyrębach*. Od tamtej pory wiele się w moim życiu zmieniło, zmienił się świat wokół mnie, pewnie i ja też jestem trochę inny.

I oto właśnie teraz, po sześciu latach mojej przygody z twórczością literacką, przychodzi mi się podzielić z Wami, Drodzy Czytelnicy, zbiorem opowiadań, które powstawały na przestrzeni tych ponad dwóch tysięcy dni. Pewnie niektóre z nich dziś napisałbym nieco inaczej, ale „inaczej”, to wcale nie znaczy lepiej; po prostu literatura wiąże się nierozzerwalnie z chwilą, z momentem w życiu autora, w którym powstała. Wtedy jest autentyczna i przez to, jak sądzę, bardziej wartościowa.

Zanim zaproszę Was do podróży w czasie, chcę wspomnieć, że kolejność, w jakiej opowiadania występują w niniejszym zbiorze, jest zgodna z kolejnością ich powstawania. Pierwsze, czyli *Ostatni telefon*, powstało niedługo po premierze *Domu na wyrębach*, natomiast trzy ostatnie napisałem już po ukończeniu pracy nad czterotomowym cyklem *Czarny Wygon*, czyli w roku 2014. Jedynym wyjątkiem od tej reguły jest miniatura *Kryzys wieku średniego*, która, o ile dobrze pamiętam, powstała gdzieś pomiędzy *Retrowizjami* a *Spójrz na to z drugiej strony*, a która — ze względu na fakt, że owe dwa dłuższe teksty w pewien sposób łączą się ze sobą — została przeniesiona w zbiorze przed tekst tytułowy.

Z każdym z opublikowanych tutaj opowiadań wiąże się jakaś historia i każdą z nich przedstawiłem w posłowie. Sam bardzo lubię dowiadywać się czegoś więcej o inspiracjach innych autorów, więc mam nadzieję, że takie „klucze do genezy” okażą się przydatne także

i w przypadku niniejszego zbioru (można je czytać po zakończeniu każdego opowiadania lub dopiero po lekturze całości — jak kto woli).

Klucz do rozmieszczenia opowiadań w książce już znacie, klucz do genezy każdego z nich także wkrótce będzie w Waszych rękach, ale jest jeszcze coś, co może powstać z ich połączenia — klucz do bliższego poznania autora oraz dostrzeżenia tego, w jaki sposób zmieniał się na przestrzeni tych kilku ostatnich lat. Sam nie wiem, czy umiem go odnaleźć, ale zawsze najtrudniej jest dowiedzieć się czegoś o samym sobie. Może Wam będzie łatwiej?

Trochę się tego boję, ale jednocześnie jestem podekscytowany.

Zawsze twierdzę (i często wspominam o tym na spotkaniach autorskich), że Czytelnik to cwana bestia i nie da się go łatwo wywieść w pole, więc nawet nie próbowałem tego robić. Myślę, że w tych opowiadaniach znaleźć można też kawałek mojego świata — być może nawet te jego rewiry, którymi nie chciałby się do końca dzielić...

Ci z Was, którzy bywali na moich spotkaniach autorskich wiedzą też, że hołduję pewnej opinii, która na przestrzeni tych ostatnich sześciu lat nie zmieniła się ani na jotę. Otóż jestem pewien, iż autor bez oddanych Czytelników nie ma racji bytu.

Dlatego też, Drodzy Czytelnicy — którzy jesteście ze mną od początku, którzy wybaczacie mi zdarzające się od czasu do czasu opóźnienia premier, którzy chcecie wciąż zagłębiać się w wykreowane przeze mnie historie i tym wszystkim utwierdzacie mnie w przekonaniu, że to, co robię, ma sens — Wam właśnie dedykuję książkę *Opowiem ci mroczną historię*.

Bez Was moje życie byłoby o wiele mniej kolorowe.



---

# Ostatni telefon

*Wojtkowi Bellonowi*

## 1.

Miał przed sobą dwadzieścia trzy minuty marszu. Doskonale wiedział, ile czasu zajmuje mu pokonanie drogi z domu do studia. Gdy wymagała tego sytuacja, był perfekcjonistą, który nie pozwalał sobie na niedoróbki, więc prawie trzy lata wcześniej, już w pierwszym tygodniu pracy, kilkakrotnie zmierzył czas, aby niepotrzebnie nie denerwować się, czy zdąży podbić kartę na portierni.

Szedł, uważnie patrząc pod nogi. Topniejący śnieg tworzył na chodniku błotniste, brunatne kałuże. Andrzej nie miał zamiaru spędzić ostatniego dnia przed urlopem w przemoczonych butach, więc każdy krok stawiał bardzo ostrożnie. Gdy dotarł do przejścia, spojrzął na zegarek. Miał pół minuty spóźnienia. Na dodatek akurat zapaliło się czerwone światło. Wiedział już, że resztę drogi będzie musiał przebyć trochę szybciej. Martwił się o swoje, kupione tydzień wcześniej za czterysta złotych, zamszowe trzewiki — nawiasem mówiąc, najnowszy krzyk warszawskiej mody — lecz uznał, że najważniejsze jest to, aby być w redakcji na czas.

Jego kariera w radiu przypominała amerykański sen. Jeszcze dwa lata wcześniej biegał po mieście z dyktafonem i tłoczył się w korytarzach magistratu w oczekiwaniu na wypowiedzi miejscowych polityków, które mogłyby później pójść w lokalnych wiadomościach. Teraz prowadził w ogólnopolskiej stacji audycję na żywo. Rozmawiał podczas niej ze słuchaczami wylewającymi na antenie swoje żale lub — zdecydowanie rzadziej — dzielącymi się jakąś rozsądną opinią na zadany temat. Przeważnie programy dotyczyły wydarzeń politycznych, jednak czasami zdarzały się też audycje tematyczne. Tak jak tego właśnie dnia.

Do niedawna bardzo skrupulatnie się przygotowywał, robiąc spis kontrowersyjnych sądów, które cytował później w trakcie programu, lub przynajmniej drukował na kartce coś w rodzaju zestawu pytań do słuchaczy. Teraz już nie musiał. Kredyt zaufania, jaki dawał mu dyrektor, był tak wielki, że Andrzej nie obawiał się już drobnych wpadek. O takie rzeczy musieli się teraz martwić inni. Uśmiechnął się pod nosem i energicznie wkroczył na przejście.

Nie wiedział, czyj to był pomysł, aby poświęcić audycję depresji. Domyślał się, że to najprawdopodobniej sprawka tej starej pindy, Marczewskiej, której dyrektor radził się czasem w sprawach programowych.

„Idiotka, jakich mało, ale ma zaskakująco duży wpływ na Starego. Trudno, niech będzie depresja. Byle tylko ten dzień szybko się skończył” — myślał, przyspieszając kroku.

Gdy zbliżał się do siedziby radia, powiódł wzrokiem wokół siebie. Ciężkie ciemnoszare chmury spowijały okolicę. Nagie korony drzew straszyły bezlistnymi konarami, które konwulsyjnie podrygiwały w podmuchach porywistego wiatru. Andrzej uznał, że dwudziesty trzeci lutego idealnie nadaje się na dzień walki z depresją.

Wchodząc po schodach, miał lekką zadyszkę. Po raz ostatni spojrzął na tarczę zegarka. Szedł tak szybko, że miał jeszcze ponad minutę zapasu. Energicznie pchnął drzwi wejściowe i po chwili znalazł się w ciepłym, przytulnym wnętrzu.

## 2.

Przed wejściem do studia przyrządził aromatyczną kawę w wielkim czarnym kubku, jak zwykle. Wyjął z lodówki mleko, dolał je do pachnącego gorącego płynu i ruszył korytarzem w kierunku reżyserki. W połowie drogi przypomniał sobie, że w teczce zostawił zebrane naprędce materiały na temat depresji, których nie chciało mu się przeglądać w domu. Miał nadzieję, że trochę poczyta w trakcie audycji; piosenki puszczane przez realizatora pomiędzy wejściami antenowymi

dawały taką możliwość, lecz teraz było już za późno, aby wrócić. Za dwie minuty miał się zacząć serwis informacyjny, podczas którego Andrzej zawsze już siedział w studiu.

„Trzeba będzie improwizować — pomyślał — ale może jakoś z tego wybrnę”.

Przywitał się z kolegami czekającymi na niego w reżyserce, po czym wszedł do wytłumionego pomieszczenia, przepuszczając przed sobą Karola, który miał za chwilę zacząć odczytywać wiadomości.

Nie potrafił się skupić na serwisie. W zakamarkach pamięci starał się odszukać choćby najdrobniejszy ślad wiedzy o depresji. Oprócz powszechnie znanych faktów, przypominał sobie, że jest ona uważana za chorobę, którą należy leczyć. Niewiele, ale zawsze coś.

Podczas przerwy reklamowej Karol opuścił studio. Po dzinglu rozpoczynającym audycję z głośników w tysiącach domów popłynął charakterystyczny ciepły głos Andrzeja:

— Witam państwa. Jest mi niezwykle miło, że możemy się spotkać w ten chłodny lutowy poranek. Tematem dzisiejszej audycji będzie depresja. Chciałbym, abyśmy porozmawiali o tej chorobie. — Ostatni wyraz został wyraźnie zaakcentowany. — Na pewno wśród słuchaczy są osoby, które spotkały się z nią w codziennym życiu. Liczę, że telefony od państwa pozwolą nam bliżej przyjrzeć się temu zjawisku. Szczególnie zachęcam do zabierania głosu tych, którzy z depresją już sobie poradzili. Jak ją rozpoznać, jak leczyć, co wam pomogło...

Rutynowo wyrecytował numer telefonu. Realizator pogłośnił piosenkę, która do tej pory stanowiła tło dla wypowiedzi prowadzącego. Andrzej odetchnął. Początek był przyzwoity, więc zapewne znów uda mu się spaść na cztery łapy. A potem już tylko pakowanie i następnego dnia wyjazd z Martą do Austrii, na narty.

Postanowił, że wróca stamtąd jako narzeczeni. Wiedział, jak Marta bardzo pragnie, aby wreszcie się jej oświadczył. I oto nadchodził ten moment, a gustowny pierścionek z brylantem czekał spokojnie

w bocznej kieszeni jednej z walizek. Tylko jak to zrobić? Może w jakiejś przytulnej restauracji, a może na stoku, pośród...

— Co jest z tobą, do cholery?! — W słuchawkach zazgrzytał zniecierpliwiony głos realizatora. — Masz słuchaczkę na linii...

Andrzej gwałtownie wyprostował się w fotelu i podniesionym do góry kciukiem dał znak przez szybę, że jest gotów.

— Dzień dobry panu. Mam na imię Anna. Bardzo się cieszę, że po raz pierwszy się dodzwoniłam i mogę z panem porozmawiać. — Głos wskazywał na to, że rozmówczynią Andrzeja jest młoda kobieta. — Słucham tej audycji od samego początku i bardzo lubię, gdy...

— Witam, pani Anno — przerwał jej bezceremonialnie. — Dziękuję za miłe słowa, ale zdaje się, że mieliśmy rozmawiać o depresji. — Nie chciał, aby w jego słowach zabrzmiała niecierpliwość, jednak cisza, która zapanowała w eterze, świadczyła o tym, że zareagował zbyt gwałtownie.

— Pani Aniu?

Odpowiedział mu odgłos odkładanej słuchawki, po którym rozległ się przerywany sygnał.

— No cóż, coś nas rozłączyło, ale mam nadzieję, że uda się pani jeszcze raz do nas dodzwonić. A tymczasem mamy na antenie kolejnego słuchacza. — Starał się mówić jak najbardziej naturalnie, lecz wiedział, że nie jest w stanie opanować lekkiego drżenia głosu, spowodowanego mimowolnym skurczem krtani. Po raz pierwszy coś takiego przydarzyło mu się w trakcie prowadzonej audycji.

Kiedy starszy mężczyzna opowiadał o tym, jak wiele lat temu udało mu się z trudem wyjść z choroby, Andrzej głęboko oddychał, a kiedy skończyli rozmowę, już bez najmniejszych oznak zdenerwowania zapowiedział kolejną piosenkę.

### 3.

Była to jedna z nudniejszych audycji, jaką przyszło mu prowadzić, a jego niesmak pogłębiał się po każdym kolejnym telefonie. „Cóż jest

interesującego w tym, że ktoś tam ma doła i w dodatku dorabia do tego jakąś ideologię? Do roboty by się wzięli i depresja od razu by minęła — myślał. — W dodatku na takich naiwniakach żerują koncerty farmaceutyczne, wciskając im jakieś specyfiki, za które trzeba słono płacić. Bandy lekarzy utrzymują się z wmawiania ludziom, że problem jest poważny, a kozetki w gabinetach psychologów aż stękają pod ciężarem kolejnych nieudaczników”.

Andrzej zawsze starał się, aby jego prywatne poglądy nie wpływały na atmosferę prowadzonych ze słuchaczami rozmów. W dyskusjach politycznych do perfekcji opanował sztukę chłodnego, niezabarwionego kolorami partyjnymi komentarza. Tym razem było inaczej. Kilka razy w eter popłynęła jakaś ironiczna uwaga, parę półsłówki sugerujących, że jeśli ktoś ma problem, to powinien sobie z nim radzić sam, a nie trąbić o nim na całą Polskę.

Gdy do końca audycji zostało pięć minut, Andrzej dziękował Bogu, że przed nim już tylko jedno wejście antenowe, ostatni telefon od słuchacza, i wreszcie urlop. Powoli zaczął składać kartki, wypełnione notatkami sporządzonymi podczas programu. W jego przekonaniu najważniejsze były te zawierające listę zakupów, które zrobi, wracając do domu.

— Dzień dobry, panie redaktorze — rozległ się głos w słuchawkach.

— Witam. Jak ma pani na imię?

— Mam na imię Anna. Rozmawialiśmy już podczas tej audycji.

— Spokojny, ledwie słyszalny głos kobiety brzmiał zupełnie inaczej niż ten, który pamiętał.

— A, tak, rzeczywiście. Coś nas rozłączyło...

— Nie — ucięła dość ostro. — Po prostu odłożyłam słuchawkę.

Po chwili milczenia kobieta odezwała się ponownie. Głos w słuchawce znów był spokojny. Zaskakująco spokojny.

— Bardzo się na panu zawiodłam. Pańska audycja była jedną z rzeczy, które trzymają mnie przy życiu. Codziennie na nią czekałam. Pański głos jakoś tak... pomagał żyć... A dziś... Dziś dowiedziałam się,

jaki pan jest naprawdę... — Głos kobiety zaczął się łamać, oddech był coraz bardziej urywany. — I dlatego... wie pan co? Ja już nie chcę żyć...

— Pani Aniu, proszę się uspokoić. Jeśli panią uraziłem, to bardzo przepraszam. Naprawdę ogromnie mi przykro. Ale to wszystko przecież nie jest takie istotne...

— A skąd pan, do jasnej cholery, może wiedzieć, co dla mnie jest istotne?! — Kobieta znów podniosła głos. — Nie ma pan o tym zielonego pojęcia! — W słuchawkach było wyraźnie słycać jej świszczący oddech.

— Pani Anno... Pani Aniu, proszę się uspokoić...

— Albo wie pan co? — Powiedziała to tak, jak gdyby w ogóle go nie słyszała. — Ma pan rację. Rzeczywiście, to wszystko nie jest istotne. — W tym momencie zaczęła się histerycznie śmiać. — Tak, tak, to nieistotne. Całkowicie nieistotne... — Opętańczy chichot, zwielokrotniony przez zbyt głośno ustawione radio w domu słuchaczki, rozbrzmiewał w domach całej Polski.

Andrzej zaczął dawać znaki realizatorowi, aby przerwał audycję, ten jednak siedział jak sparaliżowany, wpatrując się przed siebie. Wreszcie oprzytomniał i sięgnął do konsoly. W słuchawkach dało się słyszeć jakiś rumor, a śmiech został nagle zdławiony i zastąpiony wyraźnymi odgłosami szamotaniny. Realizator pomylił suwak i zamiast zgłośnić muzykę, sprawił, że cisza, która nastąpiła po całym zdarzeniu, zdawała się jeszcze bardziej natarczywa. Tysiące ludzi wsłuchiwało się w nią, patrząc na radioodbiorniki. Niepokój nie minął nawet wtedy, gdy z głośników popłynęła łagodna muzyka Stinga.

#### 4.

— Bardzo pięknie, panie Stolarczyk. — Marczevska powoli sączyła słowa, wlepiając w Andrzeja jadowite spojrzenie. — Naprawdę doskonała robota. Na pana miejscu modliłabym się, żeby to był tylko jakiś głupi dowcip, bo jeśli ta kobieta rzeczywiście coś sobie zrobiła...

— Pani Halino... — przerwał jej Słowiński, a oczy zgromadzonych w sali narad redaktorów przeniosły się na jego twarz. — Proszę, dajmy spokój złościwościom. Dla nas wszystkich jest to trudna sytuacja. Od zakończenia audycji linia jest rozgrzana do czerwoności. Dzwonili już z gazet, z innych stacji, odbieramy mnóstwo telefonów od słuchaczy. Ostatnia rzecz, jakiej nam teraz potrzeba, to wewnętrzne spory.

Andrzej ze zdumieniem spojrział na Starego. Do tej pory nigdy nie reagował na ataki Marczewskiej, nawet znacznie ostrzejsze. Wyglądało więc na to, że sytuacja naprawdę jest poważna.

— Przekazaliśmy już policji numer telefonu — ciągnął naczelny. — To komórka, miejmy nadzieję, że zarejestrowana na właściciela, a nie kupiona gdzieś na stadionie. Poprosiłem państwa o to spotkanie, aby nie było wątpliwości: do czasu wyjaśnienia sprawy — żadnych komentarzy, żadnych informacji. Nikomu, nawet najbliższym. Pracujemy tak, jak gdyby nic się nie stało, i czekamy na wieści z komendy. Gdy nadejdą, będziemy reagować na bieżąco. Czy to jest jasne?

Pytanie było retoryczne, jednak większość z obecnych odruchowo skinęła głowami.

— Jeszcze jedno... — Słowiński popatrzył na Andrzeja. — Słyszałem program od początku do końca i nie życzę sobie żadnych dyskusji na jego temat. Audycja była prowadzona profesjonalnie i — cokolwiek się stało — redaktor Stolarczyk nie ponosi za to odpowiedzialności. Różni ludzie dzwonią do programów emitowanych na żywo i różnie reagują. Nie możemy dopuścić do tego, aby dziwaczne zachowania naszych słuchaczy kładły się cieniem na naszej pracy.

Andrzej patrzył na szefa, lecz kątem oka dostrzegł, jak Marczevska z dezaprobatą kręci głową.

— Rozumiemy się? — Pytanie zostało skierowane do wszystkich, lecz naczelny przeniósł wzrok na swoją zastępczynię i nikt nie miał wątpliwości, komu tak naprawdę zostało zadane.

Zacisnęła usta i spuściła wzrok.

— Jeżeli nie ma pytań, to dziękuję państwu. Proszę wracać do pracy, a panu Andrzejowi życzę udanego urlopu.

## 5.

— Cześć, kochanie.

— Andrzejku, nareszcie! Kilka razy próbowałam się do ciebie dodzwonić. Słyszałam audycję...

— Marta, posłuchaj... Kiepsko się czuję po tym wszystkim. Pomyślałem, że może odłożymy wyjazd. Powiedzmy — do niedzieli. Nie wiem jeszcze, co się stało, będę czekał na telefon z redakcji. Ale nawet jeśli to jakiś koszmarny żart, to i tak nie mam w tej chwili głowy do pakowania się. Zresztą muszę jeszcze zrobić przegląd auta, a dziś już nie zdążę.

— No pewnie. Rozumiem. Wpadnę wieczorem...

— Wiesz, to chyba nie jest dobry pomysł. Wolałbym dzisiaj być sam i wszystko sobie dokładnie przemyśleć. Nie gniewasz się?

Odpowiedź padła dopiero po chwili:

— Nie, oczywiście, że nie... Skoro uważasz, że tak będzie lepiej...

— Na pewno. Dla nas obojga. Trzymaj się, jutro zadzwonię.

Rozłączył się i schował komórkę do kieszeni. Dochodził akurat do delikatesów. Przystanął, pomyślał przez chwilę, po czym pchnął drzwi wejściowe.

Zanim wyszedł z pracy, długo rozmawiał z dźwiękowcem, który kilkanaście razy odsłuchał końcówkę audycji. Jego opinia była jednoznaczna — gdyby nie fakt, że nie było słyhać odgłosu upadającego telefonu, dałby sobie rękę uciąć, że kobieta popełniła na antenie samobójstwo. Odgłos przewracanego taboretu lub krzesła, a pośród dźwięków szamotaniny słabo słyszalne dźwięki zadławienia, przechodzące w rżenie, nie pozostawiałyby złudzeń. Ale trudno przypuszczać, że osoba, która targnęła się na własne życie, zakończyła je, wciąż trzymając telefon komórkowy w dłoni. Było to pocieszające,



lecz niewystarczająco. Podchodząc do lady, Andrzej wiedział, czego mu potrzeba.

— Poproszę Jacka Daniela i dwie paczki czerwonych Marlboro.

## 6.

Był mniej więcej w połowie butelki i odpalał kolejnego papierosa, gdy zadzwonił telefon.

— Witam. — Głos naczelnego brzmiał jakoś nienaturalnie. — Może pan rozmawiać?

— Oczywiście. Są jakieś nowe informacje?

— Przykro mi, ale tak. Sprawdziły się nasze najgorsze przypuszczenia...

Andrzej z trudem przełknął ślinę i spojrzał łapczywie na stojącą obok szklaneczkę napełnioną whisky.

— Czy to znaczy, że...?

— Tak, ta kobieta naprawdę to zrobiła. Znalaziono ją w Busku, w Świętokrzyskiem, jakieś pół godziny temu. Telefon miała w kieszeni koszuli, a w uszach słuchawki z mikrofonem wbudowanym w kabel. Dlatego nie słyszeliśmy upadającej komórki. — Ponieważ nie usłyszał żadnej odpowiedzi, po chwili dodał: — Czy mogę panu jakoś pomóc?

— Nie, dziękuję, poradzę sobie jakoś. — Andrzej nie wytrzymał i jednym haustem opróżnił szklanekę. — Czy wiadomo, kim ona jest... była?

— Nie wiem nic poza tym, co panu przekazałem. Jeszcze raz powtarzam: nikt normalny nie wini pana za to zdarzenie. Ale...

— Naczelnik zawiesił głos. — ...ale to dobrze, że wyjeżdża pan za granicę na urlop. Jutro w mediach z pewnością rozpęta się piekło.

— Tak, dziękuję panu.

— Do widzenia. I proszę się nie przejmować.

— Dobrze. Do widzenia.

Pół godziny później, kompletnie pijany, leżał w ubraniu na łóżku i usiłował skupić wzrok na świetle latarni, które padało na sufit. „Proszę

się nie przejmować” — przypomniał sobie ostatnie zdanie Starego.

„Chyba mu całkiem odbiło” — pomyślał i zapadł w głęboki sen.

## 7.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił następnego dnia, było włączenie komputera. Kac bardzo męczył i Andrzej zamierzał za chwilę poszukać czegoś do picia, lecz najpierw chciał sprawdzić, co na temat całej sprawy piszą portale internetowe. Informacje od razu rzucały się w oczy. Wszystkie najbardziej znane strony opisywały całe wydarzenie, jednak — co z ulgą wychwycił Andrzej — nie przypisywały mu winy.

Dwudziestotrzyletnia Anna cierpiała na ciężką depresję spowodowaną śmiercią męża i rocznego synka, którzy zginęli w wypadku samochodowym pół roku wcześniej. W artykułach było kilka wywiadów z psychiatrami, którzy zgodnie twierdzili, że w takim przypadku impulsem do samobójstwa może być nawet najbardziej błahy powód.

Miał już wyłączyć komputer, gdy postanowił jeszcze odwiedzić internetową witrynę najbardziej popularnego brukowca. Oniemiał, gdy strona się załadowała. „Redaktor morderca” — grzmiał wielki na pół monitora tytuł. Miał się już zabrać za przeczytanie artykułu, gdy na dole strony zobaczył zdjęcie. Natychmiast je kliknął i na środku ekranu pojawiła się ładna twarz młodej blondynki. „Ania wciąż byłaby wśród nas, gdyby nie telefon do redaktora Stolarczyka” — brzmiał podpis. Ale to nie on najbardziej poruszył Andrzeja, który długo wpatrywał się w fotografię. Był pewien, że gdzieś już widział tę dziewczynę.

Siedział tak przez dłuższą chwilę, usiłując przypomnieć sobie, w jakich okolicznościach spotkał Annę — miał nieodparte wrażenie, że musiało się to zdarzyć całkiem niedawno. W końcu jednak, po kilku minutach, dał za wygraną; pragnienie było silniejsze, więc wstał i poszedł poszukać czegoś w lodówce. Gdy przekroczył próg kuchni, spojrzał na odsunięte od stołu krzesło i olśnienie przyszło w jednej chwili.

— Boże przenajświętszy... — Bezgłośnie poruszał wargami.  
— Przecież ona była tu ostatniej nocy...!

## 8.

— Nie wydaje ci się, że trochę przesadzasz? — Gdy Andrzej nie zareagował, ciągnęła: — Rozumiem, że to przeżywasz. Wiem, że takie ataki w mediach mogą zdołować, ale tym bardziej powinniśmy byli pojechać na narty. Już nie mówię o tym, że zaliczka przepadła... Najgorsze jest to, że siedząc w mieście, oboje marnujemy urlop, który z takim trudem dostaliśmy. Pomyśl, kiedy następnym razem będziemy mieli taką okazję, żeby ze sobą dłużej pobyc? Siedzisz cały czas sam — to cud, że udało mi się wreszcie namówić cię na to, żebyś się ze mną zobaczył...

Nie miał ochoty na spotkanie z Martą. Z nią ani z kimkolwiek innym. Od czterech dni dobrze czuł się tylko we własnym towarzystwie. Nigdzie nie wychodził, z wyjątkiem dwóch wizyt w pobliskim sklepie. Pierwsza z nich zakończyła się ostrymi uwagami sąsiadki z dołu, która zarzuciła mu brak delikatności w rozmowach ze słuchaczami, tak więc za drugim razem zrobił zapasy na cały tydzień.

Ataki mediów nie ustawały. Po dwóch dniach od samobójczej śmierci Anny Marzec wszystkie serwisy informacyjne pełne były wiadomości na jej temat i na temat dziennikarza, który ją sprowokował. Dopóki Andrzej nie wyłączył telefonu, ciągle ktoś z mediów dzwonił z prośbą o komentarz. Gdy na jednym z kanałów wyemitowano obszerny reportaż o całej sprawie, zupełnie przestał oglądać telewizję. Nie słuchał radia i nie zaglądał do internetu.

Siedzieli teraz w jego mieszkaniu, a on czuł na sobie niecierpliwy wzrok.

— Słuchasz mnie?

Pożałował, że nie przyszło mu do głowy, by wyłączyć także drugi telefon, którego numer znała tylko Marta i kilka najbardziej zaprzyjaźnionych osób. Swoją drogą, ciekawe było to, że żadna z nich

nie uznała za stosowne odezwać się, żeby choć spróbować podnieść go na duchu.

— Tak, oczywiście.

— Naprawdę? W takim razie, co przed chwilą mówiłam?

Spojrzał na nią, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć.

— Powiedziałam, żebyś przestał się wreszcie nad sobą rozczulać i wziął się w garść. Przecież nie możesz tutaj tak siedzieć. Za tydzień wracasz do pracy, i co? Do tej pory nie zamierzasz się nawet ogolić? A może mi powiesz, że przez cały ten czas nie będziemy się spotykać?

— Wiesz, kochanie, trochę źle się czuję. Może zadzwonię wieczorem, co? Jakoś się umówimy.

Ale nie zadzwonił. Ani wieczorem, ani przez następne dni. Po południu sięgnął po komórkę tylko po to, żeby ją wyłączyć.

## 9.

Najgorsze były noce.

Andrzej siedział przy stole i godzinami czytał, aby zająć myśli czymś innym i by choć trochę odwlec moment położenia się spać. Wypijał przy tym hektolitry mocnej, czarnej kawy, jednak wystarczało to najwyżej do trzeciej, może czwartej. Kiedy już nie widział liter, a głowa leciała bezwładnie do przodu, kładł się do łóżka. Nastawiał budzik na szóstą, mając nadzieję, że będzie spał jak kamień i ten sen w końcu mu się nie przyśni.

Jednak każdej nocy wstawał i szedł do kuchni, a ona już tam była. Siedziała zawsze w tym samym miejscu, górne światło było zapalone, więc dokładnie widział jej twarz. Anna patrzyła na niego tak, jakby chciała mu coś powiedzieć, otwierała usta, lecz nie wydobywał się z nich nawet najcichszy szept, po czym w jej oczach pojawiały się łzy. Patrzyła jeszcze przez chwilę na Andrzeja, wstawała, mijała go w drzwiach i zostawiała stojącego w progu kuchni.

Pod koniec urlopu zaczął już się do tego przyzwyczajać. Nocny koszmar dręczył go w dalszym ciągu, jednak miał nadzieję, że wszystko

się skończy, gdy wróci do pracy i przestanie całej tej sytuacji poświęcać tyle uwagi.

W sobotę wreszcie umówił się z Martą. Kiedy się spotkali, zapewnił, że czuje się już dużo lepiej i, mocno ją przytulając, przeprosił za swoje zachowanie. Nawet gdyby tego nie zrobił i tak nie potrafiłaby mieć do niego pretensji. Oceniała, że schudł przez ten czas z pięć kilo, a gdy patrzyła na jego poszarzałą twarz, żałowała, że nie potrafiła mu pomóc wtedy, gdy tego potrzebował. Przypomniała sobie swoje słowa o jego rozczulaniu się nad sobą i poczuła się podle. Tak podle jak chyba nigdy wcześniej.

Andrzej był zadowolony, że wreszcie zdecydował się na wspólny wieczór, który spędzili tak, jak gdyby nic nie zaszło. Wszystko zdawało się być jak dawniej, jednak gdy dziewczyna zaproponowała, że zostanie na noc, oznajmił, iż nie jest jeszcze na to gotowy. Wtedy Marta pocałowała Andrzeja i mocno wtuliła się w jego ramiona.

— Dobrze, kochanie — powiedziała. — Jeśli uważasz, że tak będzie lepiej... Pamiętaj tylko, że bardzo cię kocham i cały czas jestem z tobą.

Uśmiechnął się.

— Pamiętam. I też cię kocham.

## 10.

Wcześniej niż zwykle położył się do łóżka. Był spokojny i rozluźniony. W pewnej chwili nawet pożałował, że nie ma przy nim Marty, jednak po zastanowieniu stwierdził, że lepiej, aby najpierw skończyły się jego koszmary. Nie wiedział, jak by się zachował, jeśli sen powtórzyłby się, a jego dziewczyna leżałaby wtedy obok. Nie chciał niczego zepsuć — i to w momencie, w którym wszystko wydawało się iść w lepszą stronę.

Obudził się o wpół do dziesiątej. Tej nocy wreszcie nic mu się nie śniło, a na dodatek zapomniał nastawić budzik na szóstą. Pomimo że czuł się wyspany, nie miał zbyt dobrego nastroju. Nie chciało mu się wracać do pracy, głównie dlatego, że obawiał się, jak zostanie po tym wszystkim przyjęty. I wcale nie chodziło mu o Marczewską — niczego

nie był pewien tak bardzo, jak jej nastawienia. O wiele bardziej bał się tego, czy naczelny wciąż jest tego samego zdania, co dwa tygodnie wcześniej. Przecież po tej całej nagonce medialnej wszystko się mogło zmienić.

Po południu poszedł na spacer brzegiem Wisły.

Kilka dni wcześniej zaczął się drugi tydzień marca. Na niebie nie było ani jednej chmury, słońce przygrzewało dość mocno jak na tę porę roku, a spomiędzy bezlistnych jeszcze gałęzi słychać było ptasie poruszenie, tak charakterystyczne dla czasu zapowiadającego eksplozję zieleni. Andrzej usiadł na ławce i patrzył na przepływającą wodę, która niosła ze sobą resztki zabranych wraz ze śniegiem śmieci, połamanych gałęzi i kawałki lodu. Wreszcie po tych dwóch koszmarnych tygodniach odzyskiwał spokój. Był przekonany, że wir pracy, w który zamierzał się rzucić, i ciepłe wiosenne dni wymyją z jego pamięci resztki wspomnień o ostatnich wydarzeniach.

W nocy znów przyśniła mu się Anna, lecz inaczej niż poprzednio. Siedziała na krześle, ustawionym pośrodku kuchni, a jej twarz oświetlało nie — tak jak dotąd — górne światło, lecz jarzeniówka nad zlewem. Gdy zadzwonił budzik, starał się o tym nie myśleć. Wstał, zarzucił na plecy polarową bluzę i szybko wyszedł na korytarz. Drzwi do kuchni były uchylone, a krzesło, które poprzedniego wieczoru dosunął do stołu, stało na środku pomieszczenia. Było dokładnie widoczne w bladoniebieskim świetle jarzeniówki.

## 11.

Cały dzień spędził, leżąc na łóżku. Nie roztrząsał, jak to się stało, że zastał krzesło na środku kuchni. Jedno było pewne — miał tego wszystkiego dosyć. Miał dosyć nocnych koszmarów, połączonych z wyrzutami sumienia za spowodowanie śmierci niewinnej kobiety, i — przede wszystkim — miał dosyć swojej pracy. Dziwił się, gdy przypominał sobie długie lata, w których z takim zapałem pracował od rana do wieczora, nie mając nawet czasu na zjedzenie kanapki. Teraz

cały ten okres wydawał mu się całkowicie zmarnowany. „Jaki sens ma praca, która może kogoś doprowadzić do samobójstwa?” — myślał.

Już od kilku dni dręczyło go narastające poczucie winy. Choć początkowo się przed tym bronił, teraz zaczynał przyznawać rację tym wszystkim, którzy w nim widzieli głównego winowajcę i sprawcę śmierci młodej ślicznej dziewczyny. Przecież gdyby lepiej przygotował się do programu, gdyby wiedział, jak łatwo w takiej sytuacji popełnić tak niewybaczalny błąd, to do tego wszystkiego prawdopodobnie by nie doszło.

Postanowił, że następnego dnia złoży wymówienie. Chociaż w ten sposób chciał symbolicznie przyznać się do winy. Zawahał się przez jedną chwilę w momencie, gdy uświadomił sobie, że nie ma prawie żadnych oszczędności. Do tej pory żył, nie zastanawiając się, co będzie za kilka lat. Zarabiał nieźle, ale i potrzeby miał duże, więc z pieniędzy, które co miesiąc wpływały na konto, niewiele zostawało. Ten głos rozsądku został jednak natychmiast zagłuszony czymś innym, o wiele mocniejszym — niemal fizycznym strachem na myśl o kolejnych dniach spędzonych przed mikrofonem. A co, gdyby ta sytuacja sprzed dwóch tygodni się powtórzyła? Nie, nie można do tego dopuścić, nawet gdyby resztę życia trzeba było spędzić na zamykaniu ulic.

„A Marta? — pytał sam siebie w myślach. — Może ona jest ze mną tylko dlatego, że nie chce mnie zostawić samego w takiej chwili? Pewnie i tak odejdzie, prędzej czy później. Kto by chciał spędzić całe życie z takim żalosnym nieudacznikiem...”

Przypomniawszy sobie, jak ostatnio zaproponowała, aby wspólnie spędzili noc, i pomyślał, że nie ma chyba dla mężczyzny nic bardziej upokarzającego niż to, że kobieta chce z nim być wyłącznie z litości.

## 12.

— Nie ma mowy, panie Andrzeju. Nie mogę się na to zgodzić — stanowczo stwierdził Słowiński, odkładając na stół podanie o rozwiązanie umowy o pracę. — Jest pan moim najlepszym

redaktorem i proszę mi nie wyjeżdżać z takimi pismami. Jeśli potrzebuje pan wolnego — proszę bardzo. Może pan wykorzystać cały urlop na ten rok. Mogę się też zgodzić na półroczny, a nawet dłuższy urlop bezpłatny. Wiem, ile pan ostatnio przeszedł, i to normalne, że potrzebuje pan trochę czasu, żeby z tym wszystkim dojść do jakiegoś ładu. Ale rezygnacja z pracy nie wchodzi w grę, a już z pewnością nie w tym momencie. Możemy się umówić, że zrobi pan sobie pół roku wakacji i po powrocie do pracy wrócimy do tej rozmowy.

Stolarczyk ze spuszczoną głową siedział naprzeciw naczelnego. Znow nie spał prawie przez całą noc i było to doskonale widoczne na jego nieogolonej twarzy. Koszula, którą miał na sobie, nie była wyprasowana, ponieważ gdy szykował się do wyjścia, uznał, że wygląd ma znaczenie wtedy, kiedy ktoś stara się o posadę, a nie w sytuacji odwrotnej, jeśli zamierza z pracy zrezygnować. Przechodząc korytarzem, widział zdziwione twarze kolegów, którzy nie przywykli oglądać redaktora Stolarczyka w takim stanie. Wreszcie się odezwał:

— Szefie, ale ja nie wyobrażam sobie, że mógłbym jeszcze kiedykolwiek usiąść przed mikrofonem...

— O tym porozmawiamy za pół roku — przerwał Słowiński.  
— Nawet jeśli tak będzie, to na pewno znajdziemy u nas inne zajęcie dla takiego fachowca. Proszę spokojnie odpoczywać. Podejźmy teraz do kadrowej... — Mówił, podnosząc się z fotela. — ...i szybko załatwimy formalności.

Andrzej również wstał, jednak naczelny wciąż widział w jego oczach niezdecydowanie.

— Przecież niczym pan nie ryzykuje. Wypowiedzenie zawsze zdaży pan jeszcze złożyć.

Pół godziny później powolnym krokiem szedł w kierunku domu. To był pierwszy tak ciepły dzień w tym roku. Mijani ludzie mieli porozpinane kurtki, na chodniku nie było prawie nikogo, kto nosiłby nakrycie głowy. Słońce grzało dość mocno, a nadzieję na rychłą wiosnę przynosił ze sobą ciepły, wilgotny wiatr. Jednak Andrzej jakby tego



wszystkiego nie zauważał. Ciepłą wełnianą czapkę miał głęboko nasuniętą na oczy, szyję szczelnie otulił długim szalem. Jego ciałem co chwila wstrząsały gwałtowne dreszcze. Zupełnie nie zwracał uwagi na to, co działo się wokół. Na przejście dla pieszych wszedł na czerwonym świetle, powodując gwałtowne hamowanie kilku samochodów. Na środku ulicy przystanął, opatulił się szczelniej kurtką, jakby chciał schować się przed dźwiękiem klaksonów, i ruszył przed siebie. Niedługo potem z ulgą otworzył drzwi do swojego mieszkania.

Nie rozbierając się, obszedł wszystkie pomieszczenia, w każdym z nich zaciągając żaluzje i zasłony. Chciał za wszelką cenę odgrodzić się od światła i ciepła na zewnątrz. Zawsze uwielbiał dni, które zapowiadały nadejście wiosny. Teraz było inaczej. Czuł się winny, że on może tego wszystkiego doświadczać, podczas gdy dla Anny ostatnia wiosna skończyła się w czerwcu poprzedniego roku.

Właśnie wtedy postanowił, że przez kilka najbliższych dni nie wyjdzie z domu.

### **13.**

Kilka dni zamieniło się w kilka tygodni.

Marta starała się być jak najbliżej Andrzeja. Robiła zakupy, gotowała, sprzątała mieszkanie. Była wtedy, gdy tego potrzebował, a znikąca, gdy zaczynał zdradzać oznaki zniecierpliwienia.

To był dla niej potwornie trudny okres. Andrzej zupełnie nie przypominał siebie. Całe dni spędzał w jakimś dziwnym transie, przerywanym wciskanymi na siłę posiłkami i zdawkowymi, wymuszonymi rozmowami. Gdy go pytała, jak może mu pomóc, nieodmiennie odpowiadał, że wszystko z nim w porządku i musi tylko trochę odpocząć. Dziewczyna nie pamiętała, aby przez cały ten czas uśmiechnął się choćby jeden raz.

Na przełomie kwietnia i maja coraz częściej mówił jej, że chce być sam. W związku z tym bywała u niego raz na dwa, trzy dni, tylko po to, aby przynieść zakupy albo jakieś ciepłe danie z pobliskiego baru.

Jedyne, co w tej sytuacji ją cieszyło, to fakt, że Andrzej, mimo iż spożywanie posiłków wyraźnie nie sprawiało mu żadnej przyjemności, jadł w miarę regularnie i przestał gwałtownie chudnąć.

Mniej więcej w tym czasie zaczęli się do Marty odzywać jego przyjaciele. Byli zaniepokojeni, że Andrzej nie kontaktuje się z nimi, a nawet nie odbiera telefonów. Tłumaczyła, że powoli dochodzi do siebie i zapewne wkrótce wszystko wróci do normy. Mówiła to, starając się, aby jej opinia brzmiała jak najbardziej wiarygodnie, jednak sama miała ogromne wątpliwości, czy rzeczywiście wszystko zmierza ku lepszemu.

Wreszcie postanowiła działać i poprosiła o pomoc swoją najlepszą przyjaciółkę. Widziała, że stan psychiczny jej mężczyzny bardzo się pogarsza, i obawiała się, że w czasie, gdy jest w domu sam, może dojść do tragedii. Ilona była lekarzem internistą i znała całą sytuację od podszewki. Chętnie zgodziła się spróbować pomóc, ponieważ zdawała sobie sprawę, że jeśli Andrzej kogokolwiek zechciałby posłuchać, to właśnie jej, gdyż — podobnie jak Marta — przyjaźnił się z nią od lat. Wcześniej, jeszcze przed samobójstwem słuchaczki, chętnie zwracał się do Ilony z różnymi prośbami, gdy zachodziła taka potrzeba.

Jej odwiedziny w mieszkaniu Andrzeja trwały dosłownie kilka minut. Kategoriecznie oświadczył, że nie ma mowy o jakiegokolwiek depresji i nie zamierza się z tym zwracać do psychiatrii.

— Czuję się coraz lepiej — mówił, a Marta wsłuchiwała się w ich rozmowę, będąc w kuchni. — Naprawdę, jedno, czego tak naprawdę potrzebuję, to dłuższy odpoczynek.

— Ale Marta mówi, że wyglądasz i zachowujesz się tak, jakbyś zupełnie stracił chęć do życia, a — z tego, co wiem — jest to jeden z najbardziej charakterystycznych objawów depresji... Tym bardziej że trwa to już przecież dłuższy czas...

— Marta niepotrzebnie się martwi — przerwał. — Wiem, że to trwa już dość długo, jednak z każdym dniem czuję się lepiej. Naprawdę. Potrzeba mi jedynie dłuższego odpoczynku.

Ilona przyglądała mu się badawczo.

— Obiecasz mi, że jeśli to się nie zmieni, posłuchasz mojej rady? — zapytała.

— No jasne, Ilonka. Możesz być o to spokojna.

Marta odprowadziła przyjaciółkę do drzwi. Była jeszcze w korytarzu i zamknęła właśnie drzwi na zasuwę, gdy Andrzej wyszedł z pokoju i spojrzał na nią ze wściekłością.

— Chcesz ze mnie zrobić wariata? — syknął. — Wszystkim znajomym rozpowiadasz o tym, że trochę gorzej się czuję?

— No coś ty, Andrzejku, mówiłam o tym tylko Ilonie... Wiesz przecież, że...

— I wystarczy. Nikomu więcej ani słowa, rozumiesz? Jeszcze będę miał przez to problemy po powrocie do pracy, a tego chyba nie chcesz?

Pokręciła przecząco głową. Zrozumiała, że w tej sytuacji jedyne, co może zrobić, to cierpliwie czekać. I postanowiła, że będzie czekać tak długo, jak tylko będzie trzeba. Właśnie wtedy, właśnie w tych ciężkich chwilach, w sposób najbardziej wyraźny odczuwała, jak bardzo potrzebuje tego dawnego Andrzeja, z którym była taka szczęśliwa. Prosiła Boga, aby ten stan powrócił, lecz z każdym dniem jej nadzieja była bardziej krucha.

## 14.

A jednak nastąpiło coś, co Martę całkowicie zaskoczyło. Mniej więcej w połowie maja, w sobotnie przedpołudnie, w jej drzwiach stanął Andrzej. Wyglądał tak jak kiedyś. Ogolony, w starannie dobranym ubraniu, nawet pachniał jej ulubioną wodą toaletową, a na powitanie uśmiechnął się do niej dokładnie tak jak dawniej.

— Cześć, skarbie — powiedział. — Chciałbym cię zabrać na długi spacer.

— Andrzejku! Boże święty, ale mnie zaskoczyłeś... Poczekaj, tylko się ubiorę, dobrze?

— No pewnie. — Ciągłe się uśmiechał. — Tylko szybko, bo szkoda takiej pogody. Jak szedłem do ciebie, to widziałem, że bez już prawie przekwitł. Szkoda, że teraz dzieje się to tak szybko. Pamiętam, że kiedyś kwitł jeszcze na Dzień Matki, a teraz...

Słyszała jego głos z przedpokoju. W tym czasie z bijącym sercem i łzami w oczach przebierała się w swojej małej garderobie. Miała nadzieję, że za chwilę wszystko się wyjaśni i Andrzej wszystko jej wytłumaczy.

Tak się jednak nie stało. W czasie ich spotkania nie chciała psuć cudownej atmosfery dociekliwymi pytaniami. Poszli do ich ulubionej letniej kawiarni, położonej na skraju parku, i usiedli pod jednym z parasoli. Andrzej usadowił się w ten sposób, aby słoneczne światło padało na jego twarz, po czym zamknął oczy i uśmiechnął się błogo. Siedzieli, milcząc do momentu, gdy kelnerka przyniosła dwie kawy. Wtedy on przysunął się do Marty i delikatnie dotknął jej dłoni.

— Wiesz, dziękuję Bogu za wszystkie chwile, które mogłem z tobą spędzić — mówił z uśmiechem. — I bardzo cię kocham. Mówiłem ci to już kiedyś?

Marta roześmiała się.

— Nie pamiętam, być może — odpowiedziała. — Ale możesz to powtarzać tyle razy, ile tylko zechcesz.

\*

Gdy późnym wieczorem leżała w swoim łóżku, znów się uśmiechnęła. Przed oczami zobaczyła Andrzeja w momencie, gdy dotykał jej dłoni. I patrzył na nią tak... uważnie. Uważnie?

Uśmiech w jednej chwili zniknął z twarzy dziewczyny. Starła się przypomnieć sobie dokładnie tamtą chwilę. Nie, jego spojrzenie nie było uważne. Raczej smutne. Tak... Zaraz, co on wtedy powiedział? „Dziękuję Bogu za wszystkie chwile, które mogłem z tobą spędzić”?

Gwałtownie usiadła na łóżku. Jej serce waliło jak opętane. Spojrzała na zegarek; było piętnaście minut po północy. Wzięła do ręki telefon i wystukała numer komórki Andrzeja. Od razu włączyła się

automatyczna sekretarka. Potem spróbowała na numer stacjonarny. Usłyszała tylko miarowe buczenie sygnału, oznajmiające, że telefon dzwoni, lecz nikt nie ma zamiaru go odebrać.

Gdy odkładała słuchawkę, przypomniała sobie coś, co sprawiło, że na jej czole pojawiły się kropelki zimnego potu. Tuż przed rozstaniem Andrzej poprosił ją o klucze do swojego mieszkania. Tłumaczył, że gdzieś mu zginął jeden komplet i musi na wszelki wypadek wymienić zamki w drzwiach, jednak w tej chwili dla Marty wytłumaczenie było tylko jedno — on po prostu nie chciał, aby dostała się do domu w niewłaściwym momencie.

— O Boże... — szepnęła.

Stała jeszcze przez chwilę przy telefonie, nie mogąc się poruszyć. Potem pobiegła do sypialni i zaczęła się gorączkowo ubierać.

## 15.

Przemyślał wszystko bardzo starannie. Wiedział, że są różne sposoby, ale ponoć najskuteczniejszy z nich — skok z dużej wysokości — odrzucił od razu. Kiedyś przez przypadek widział dziewczynę, która podjęła właśnie taką decyzję. Mózg przemieszany z kawałkami czaszki, rozprysnięty wokół na kilka metrów... Niby powinno być mu wszystko jedno, ale dla tych, którzy zbieraliby jego resztki z chodnika, a potem wkładali do trumny, z pewnością różnica by istniała. Poza tym był znaną osobą i nie chciał, żeby przypadkowi przechodnie oglądali wnętrze jego głowy.

Sam był zaskoczony chłodną kalkulacją, która nie pozwalała mu również skończyć ze sobą w sposób, który wybrała Anna. Wytrzeszczone oczy i wywalony na zewnątrz zsiniały język, do tego szrama na szyi, widoczna nawet w trumnie... Chciał oszczędzić tego Marcie.

Silne lekarstwa popite dużą ilością alkoholu wydawały mu się najlepszym wyborem. Nie miał problemu ze zdobyciem dużej ilości klonazepamu. Przejrzał wcześniej internet w poszukiwaniu najbardziej

odpowiedniego środka i właśnie ten wydał mu się zdecydowanie najlepszy. Wiedział, że żaden lekarz nie zapisze mu kilku opakowań leku, więc wybrał się na bazar, gdzie bez zbędnych pytań młoda dziewczyna sprzedawała żądany towar. Sto dwadzieścia dwumiligramowych tabletek stanowiło dwunastokrotność dawki zagrażającej życiu. W połączeniu z litrem jacka daniel'sa było pewnym sposobem na próbę zakończoną sukcesem.

Miał nadzieję, że Marta niczego się nie domyśliła. Podczas spotkania i gdy się rozstawali, wyglądała na szczęśliwą, że Andrzej wraca do życia. Teraz nie miała też kluczy, więc nawet jeśli pojawiłaby się w ciągu najbliższych godzin pod jego drzwiami, nie zdołałaby mu przeszkodzić w realizacji planu. Antywłamaniowe, zbrojne drzwi, w połączeniu z trzema zamkami, z których jeden uruchamiał stalowe sztaby, stanowiły wystarczające zabezpieczenie. Zanim położył się do łóżka, sprawdził dokładnie, czy wszystkie zamki zostały zamknięte.

Przez chwilę leżał na łóżku, słuchając rozluźniającego jazzu, który płynął z głośników, wypełniając pokój. Przypomniawszy sobie, że tę płytę podarowała mu Marta. Od tamtej pory była to jego ulubiona muzyka. Uśmiechnął się i przez jakiś czas dał się ponieść dźwiękom fortepianu, wyczarowanym przez Leszka Możdżera.

Obok, na nocnym stoliku, leżał pierścienek zaręczynowy, który już nigdy nie zostanie wręczony. Andrzej wziął go do ręki i obracał w palcach, wspominając ukochaną kobietę. „Po tym, co się stało, nigdy nie byłabyś ze mną szczęśliwa, skarbie” — pomyślał. Z namaszczeniem odłożył pierścienek. Nalał sobie pełną szklankę alkoholu i sięgnął po pierwsze opakowanie klonazepamu.

## 16.

Dostrzegła światła samochodu, zbliżającego się z lewej strony, jednak dwupasmowa droga była całkowicie pusta i sądziła, że widząc włączające się do ruchu auto, kierowca nadjeżdżającego pojazdu zmieni pas. Zaraz potem silne uderzenie wstrząsnęło jej astrą.

— Żeż jasna cholera! Kto ci dał prawo jazdy?! — Starszy mężczyzna, który wyskoczył z fiata pandy, stał teraz przy jej drzwiach. — Pijana jesteś, czy co? Mogłaś mnie zabić! — krzyczał.

Próbowała otworzyć drzwi, jednak zdenerwowany staruszek był zbyt blisko.

— Dzwonię po policję. Może oni cię nauczą jeździć! — Wyjął z kieszeni kurtki komórkę i zaczął wybierać numer. — Tyle lat zbierałem na samochód... Halo! Policja? Zgłaszam wypadek i wymuszenie pierwszeństwa...

Marta wygramoliła się wreszcie ze swojego opla.

— Proszę pana, zapłacę za naprawę, tylko... Strasznie się śpieszę... Proszę, niech pan nie zgłasza tego zdarzenia. Błagam pana.

— Ja ci dam „błagam”. Zaraz tu będą i zobaczysz! Wsiadaj do samochodu i czekaj tam! Kurwa! Moje auto...

Chciała precyzyjnie się obok mężczyzny, ten jednak bezceremonialnie złapał ją za ramię.

— Wsiadaj, powiedziałem. Wsiadaj i czekaj. Już ja przypilnuję, żebyś mi nie uciekła...

Czekali na policję prawie pół godziny. Gdy pojawił się radiowóz i policjanci zażądali dokumentów, Marta zorientowała się, że wybiegając w pośpiechu z domu, nie zabrała ze sobą torebki.

— Panie inspektorze — zwróciła się do policjanta — moje dokumenty zostały w mieszkaniu. Ogromnie zależy mi na czasie. Czy jest jakaś możliwość, żebyśmy wyjaśnili tę sytuację jutro?

— Przykro mi — odpowiedział. — Musimy przeprowadzić całą procedurę. Badanie alkomatem, protokół, trzeba uprzątnąć samochody, więc trochę to potrwa.

W torebce została też komórka, więc nie było szans na powiadomienie kogoś ze znajomych i poproszenie o pomoc. Jediną pociechą dla Marty było to, że być może się myli. Może wszystko jest w porządku i gdy wreszcie dotrze do Andrzeja, okaże się, że nic złego

się nie stało. Czekając na zakończenie policyjnego postępowania, podtrzymywała się na duchu taką właśnie myślą.

Gdy upłynęła godzina, a oni czekali właśnie na przyjazd lawety, podeszła do starszego mężczyzny, który wyglądał już na o wiele spokojniejszego.

— Bardzo pana przepraszam — powiedziała. — Strasznie mi przykro, że przeze mnie ma pan takie nieprzyjemności.

Nie odpowiedział. Patrzył tylko na nią z nieskrywaną złością.

— Pewnie uzna pan to za bezczelność z mojej strony, ale... czy mogłabym zadzwonić z pańskiej komórki? Moja została w domu, a bardzo potrzebuję pomocy. Bardzo pana proszę... Nie mam przy sobie nawet portfela. Muszę zadzwonić do kogoś z przyjaciół, bo bez pieniędzy nawet taksówki nie mogę wezwać...

— Jasna cholera — mruknął. — Nie dość, że rozbiłem przez panią samochód, to jeszcze chce pani wydzwonić moje darmowe minuty?

— Bardzo proszę...

Mężczyzna wahał się jeszcze przez chwilę, po czym sięgnął do kieszeni.

— Niech pani trzyma — powiedział, podając telefon. — Tylko krótko — dodał.

Najpierw wybrała numer Andrzeja. Nic. Potem zadzwoniła do Ilony.

— Oczywiście, zaraz tam będę — usłyszała w słuchawce.

Oddając telefon, powiedziała:

— Jestem panu bardzo wdzięczna. Być może właśnie uratował pan komuś życie...

## 17.

W chwili, gdy czerwony fiat panda uderzył w lewy bok samochodu Marty, Andrzej przełykał ostatnią dawkę klonazepamu. Nie sądził, że to będzie takie proste. Ani przez moment nie ogarnęły go wątpliwości. Czuł, że to, co robi, jest w jego sytuacji najlepszym wyjściem. „Teraz tylko szybko zasnąć” — pomyślał. Tabletki sukcesywnie popijał jackiem



daniel'sem, a mimo tego w butelce wciąż była ponad połowa jej zawartości. Wypił szklankę złotawego płynu jednym haustem. Coraz bardziej kręciło mu się w głowie i powoli zaczynała ogarniać go senność.

Właśnie nalewał sobie kolejną porcję alkoholu, gdy kątem oka dostrzegł postać stojącą w kącie pokoju. Był na tyle otępiały, że nie wywarło to na nim specjalnego wrażenia. Gdy szklanka była pełna, podniósł ją do ust i upił kilka solidnych łyków. Powieki ciążyły coraz bardziej, a sufit przyśpieszał w szaleńczym, wirującym tańcu.

— Słyszysz mnie? — Do jego uszu dobiegł słaby kobiecy głos. — Pytam, czy mnie słyszysz...

Odstawił szklankę i znów sięgnął po butelkę, ta jednak wysunęła mu się z dłoni. Potoczyła się po pokoju, stukocząc hałaśliwie. Z tępym uśmiechem opadł na poduszkę.

— I tak była już prawie pusta — oznajmił zmierzającej w jego stronę kobiecej postaci.

Gdy weszła w krąg światła, rzucanego przez słabą żarówkę nocnej lampki, Andrzej z wysiłkiem podniósł głowę, wyteżając wzrok.

— Witaj — wybełkotał, próbując usiąść, jednak był już zbyt pijany i znów położył się na plecach, ciężko oddychając. — Ale... dlaczego właśnie ty? Słyszałem, że w takiej chwili spotyka się bliskich... A ty... Czy aż tak bardzo mnie nienawidzisz, że...?

Jego myśli zaczęły się rwać. Nie potrafił już wypowiedzieć ani jednego słowa.

## 18.

Kiedy Ilona zahamowała przed kamienicą Andrzeja, przy wejściu na klatkę kłębił się mały tłumek ciekawskich, komentujących to, co się przed chwilą wydarzyło. Jedna z kobiet piszcziała przenikliwym głosem:

— I dobrze mu tak. Bodaj go nie odratowali! Tyle złego zrobił tej biednej dziewczynie... Bydlak jeden!

Marta rozpoznała w niej sąsiadkę z dołu. Zanim zdążyła zareagować, Ilona już dowiedziała się od stojącego na uboczu mężczyzny, że Andrzeja kilka minut wcześniej zabrano do pogotowia.

Dziesięć minut później dotarli do szpitala, w którym pracowała Ilona. Akurat dyżur miał jeden z jej bliskich znajomych, który obiecał zdobyć więcej informacji o stanie Andrzeja. Po niedługim czasie wiedzieli już, że próbował popełnić samobójstwo, na domiar złego rokowania były bardzo niedobre.

\*

Po dwóch ciągnących się w nieskończoność godzinach do czekających na szpitalnym korytarzu kobiet podszedł lekarz. Okazało się, że to on prowadził akcję reanimacyjną.

— Wziął tego naprawdę bardzo dużo — powiedział. — W połączeniu z alkoholem zagrożenie było ogromne, ale fakt, że akcja ratunkowa zaczęła się bardzo szybko, a na nocnym stoliku leżały opakowania po klonazepamie, daje nam duże nadzieje.

— Podaliście flumazenil? — zapytała Ilona.

— Nie było takiej potrzeby. Wiedzieliśmy, jaki lek zażył, poza tym wypłukaliśmy około stu tabletek, więc wszystko powinno się skończyć dobrze. Niemniej jednak... — Zwrócił się do Marty. — ...gdyby drzwi nie były otwarte, to szanse pani narzeczonego byłyby dużo mniejsze. Zanim ratownicy wezwaliby straż pożarną, mogłoby już być za późno.

Dziewczyna doskonale wiedziała, że wyważanie drzwi na pewno potrwałoby dość długo. Z pewnością nie obeszloby się bez specjalistycznego sprzętu, może nawet trzeba byłoby sprowadzić podnośnik, żeby dostać się do mieszkania przez okno. Wszystko to trwałoby kolejne dziesiątki minut. Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego podczas ich spotkania wziął od niej klucze, skoro drzwi były odryglowane. W końcu doszła do wniosku, że pewnie rozmyślił się w ostatniej chwili.

— Panie doktorze... — Przyszło jej na myśl ważne pytanie, które powinna zadać już wcześniej: — Czy to Andrzej zadzwonił po karetkę?

Lekarz popatrzył na nią uważnie, wyraźnie zaskoczony.

— Byliśmy pewni, że to pani dzwoniła po sygnale od pana Stolarczyka. Dyspozytorka odebrała telefon od młodej kobiety, która podała adres i poinformowała o próbie samobójczej. Mówiła też, że to on prosił ją, żeby zadzwoniła na pogotowie...

— Marta nie miała ze sobą telefonu — weszła doktorowi w słowo Ilona. — Nawet do mnie dzwoniła z pożyczonej komórki.

— Zresztą przecież ja nie byłam na sto procent pewna, że chciał sobie coś zrobić — dodała Marta. — Jechałam do Andrzeja, bo zaniepokoiło mnie jego wcześniejsze zachowanie...

— W takim razie postaram się jeszcze czegoś w tej sprawie dowiedzieć — powiedział lekarz, spoglądając na zegarek. — Teraz muszę już wracać na oddział. Proszę się cieszyć, że skończyło się tak, a nie inaczej. Nieszczęście było naprawdę o krok.

— Dziękuję panu. — Marta mocno uścisnęła jego dłoń.

— Proszę podziękować tej osobie, która wezwała pomoc. To tylko jej zasługa, że była szansa na ratunek.

## 19.

Dwa dni później Marta siedziała przy łóżku Andrzeja, który powoli wracał do siebie. Do sali weszła Ilona.

— Cześć, kochani. Jak zdrowie, Andrzejku?

Uśmiechnął się blado.

— Zdaje się, że mogło być gorzej...

Przyjaciółka Marty popatrzyła na niego z udawaną złością.

— Nawet o tym nie wspominaj — odparła już zupełnie serio.

— Martuniu, chciałabym zamienić z tobą słówko...

Gdy wyszły z sali, Ilona powiedziała:

— Udało mi się odsłuchać taśmę ze zgłoszenia, tak jak prosiłaś.

— No i...? Kto to był?

— Przykro mi, ale tego się już nigdy nie dowiemy. Przynajmniej nie dzięki taśmie. Chyba była jakaś awaria maszyny rejestrującej.

Dyspozytorkę słycać doskonale, lecz poza tym... prawie nic. Tylko jakiś dziwny szum. Nigdy dotąd się coś takiego nie zdarzyło...

Marta wyczekująco wpatrywała się w przyjaciółkę.

— Dotarłam do tej dyspozytorki — ciągnęła Ilona. — Była zdziwiona, że nic się nie nagrało. Mówiła, że doskonale słyszała w słuchawce głos młodej dziewczyny, która spokojnie mówiła, że Andrzej prosił ją o wezwanie pomocy. Naprawdę nie wiesz, kto to mógł być? — Gdy dostrzegła bezradne spojrzenie Marty, wzięła ją za rękę. — Na pewno wszystko się wkrótce wyjaśni. Trzymajcie się. Teraz najważniejsze jest to, żebyś była przy Andrzeju. Wiesz, w takich sytuacjach... — Ilona zawiesiła głos.

— Czy on...? Czy może spróbować jeszcze raz?

— Na pewno nie można tego wykluczyć. Dobrze, że poprosił kogoś o pomoc, ale przy depresji to właściwie nic nie znaczy... Wiesz, jakie huśtawki nastrojów towarzyszą tej chorobie...

Gdy Ilona zobaczyła łzy w oczach przyjaciółki, przytuliła ją do siebie.

— Dobrze byłoby, gdybyś jeszcze raz spróbowała go namówić na leczenie — szepnęła.

— Spróbuję. Ale wiesz, jaki on jest...

— Wiem. Mam jednak nadzieję, że się uda. Może ja mogłabym wam pomóc?

— Byłabym ci bardzo wdzięczna.

Zaraz potem Ilona zajrzała do sali, w której leżał Andrzej.

— Panie Stolarczyk — zaczęła wesoło — teraz muszę iść do innych pacjentów, ale jeszcze tu wrócę i będę miała z panem do pogadania.

— Tak jest, pani doktor. — Mówiąc to, Andrzej roześmiał się i niezgrabnie zsalutował lewą ręką. W prawej wciąż tkwił wenflon, do którego przytwierdzona była przezroczysta rurka kroplówki.

## 20.

Ostatecznie, za usilnymi namowami Ilony, zgodził się na wizytę u psychiatry i przyjmowanie antydepresantów, choć w dalszym ciągu

nie wierzył, że mogła go dopaść depresja. Był przecież człowiekiem twardo stającym po ziemi, który nigdy dotąd nie miał problemów z własną psychiką. Lekarz, u którego zaczął się leczyć, usilnie przekonywał Andrzeja, że na tę chorobę może zapaść każdy, niezależnie od siły charakteru, on jednak i tak wiedział swoje.

Była jeszcze Marta, wobec której Andrzej czuł się podle, więc przynajmniej w ten sposób chciał jej zrekompensować to, co przez niego przeszła. Tyle że lekarstwa, które łykał, niewiele pomagały. Tak naprawdę podświadomie czuł, że to nie była jego ostatnia próba, jednak tego stanu rzeczy z pewnością nie przypisywał chorobie, w którą właściwie nie wierzył. Po prostu wciąż miał wyrzuty sumienia i nie wyobrażał sobie, aby mógł żyć z takim ciężarem.

Wiedział też, że jeśli nastąpi kolejna próba, to wtedy już wszystko zaplanuje tak, aby niczego nie pozostawić przypadkowi.

\*

Starali się do tego nie wracać. Mijały kolejne miesiące, a oni właściwie nie rozmawiali o majowym zdarzeniu. Raz tylko, na początku lipca, Marta spytała, kim była kobieta, która wezwała pogotowie.

— Jaka kobieta? O czym ty mówisz?

— Andrzej, proszę cię... Przecież chyba wiesz, że dzięki niej pomoc przysłała na czas. Mam do ciebie żal, że to nie do mnie wtedy zadzwoniłeś. Zastanawiam się też... Powiedz, czy ona miała klucze od twojego mieszkania? Wtedy, po... no wiesz, po tym wszystkim powiedziałeś mi, że pozamykałeś drzwi... Jak wytłumaczyć to, że jednak były otwarte?

— Nie wiem, na Boga... Niczego nie kojarzę, poza tym, że położyłem się do łóżka i zacząłem łykać te tabletki. Może nie pamiętam, jak wstałem i odryglowałem zamki...?

Zauważył, że dziewczyna przygląda mu się nieufnie. Odwrócił wzrok. Jeszcze tego brakowało, żeby pomyślała, że kogoś miał. Już wcześniej postanowił, że nie powie jej o swoich nocnych przywidzeniach. Bał się, że jego spojrzenie może coś zdradzić, patrzył więc w kąt pokoju,

śluchając, jak Marta opowiada o telefonie, który uratował mu życie, i o głosie kobiety, który słyszała jedynie dyspozytorka pogotowia.

Po dłuższej chwili znów popatrzył dziewczynie w oczy.

— Kochanie, przysięgam, nie wiem, kto dzwonił. Proszę, nie mówmy już o tym. Nigdy, dobrze?

Marta ujęła jego dłoń i przytuliła ją do swojej twarzy. Zbyt mocno kochała Andrzeja, aby w tej sytuacji dręczyć go kolejnymi pytaniami. Nawet jeśli była jakaś inna kobieta, uznała, że to nie jest w tej chwili istotne. Spokój — to było to, czego Andrzej potrzebował najbardziej. I postanowiła, że za wszelką cenę mu go zapewni.

— Widocznie tej dyspozytorce coś się pomieszało — powiedziała. — Dobrze, że jesteś. Tylko to się liczy.

## 21.

Busko-Zdrój. Niewielkie miasto położone na Ponidziu, w województwie świętokrzyskim. Tam właśnie zamierzał pojechać w pierwszy weekend po Wszystkich Świętych. Powiedział Marcie, że chce odwiedzić grób rodziców, w okolicach Bydgoszczy. Chciała jechać z nim, ale przekonał ją, że lepiej będzie, jak wyruszy sam.

— Powrót w rodzinne strony pozwoli mi odzyskać równowagę — przekonywał. — Zobaczysz, że potem wszystko wróci do normy. Potrzebuję tylko kilku dni spędzonych u siebie.

Drżała z niepokoju, że musi rozstać się z Andrzejem na dłuższy czas, jednak postanowiła zaryzykować i uwierzyć jego zapewnieniom. „Przecież gdyby chciał, to i tak zrobiłby to bez mojej wiedzy” — myślała.

\*

Jeszcze przed wyjazdem, szukając planu miasta w internecie, dowiedział się przypadkiem, że na cmentarzu, na którym pochowana jest Anna, leży też Wojtek Bellon, człowiek niegdyś bardzo ważny w życiu Andrzeja. Informacja o tym, że wkrótce będzie na grobie Wojtka, pochłaniała go teraz nawet bardziej niż cel planowanej wizyty

w Busku. Wydobywał z zakamarków pamięci wspomnienia o swoich wyjazdach w góry, podczas studiów, kiedy to utwory Wolnej Grupy Bukowina znaczyły dla niego bardzo wiele. Znał wszystkie piosenki tego zespołu na pamięć, a nawet dzięki nim nauczył się grać na gitarze i okazało się, że wychodzi mu to całkiem nieźle.

Andrzej ze zdumieniem uświadomił sobie, jak bardzo oszedł od własnych młodzięcych ideałów. Nie mógł pojąć, jak to się stało, że zmienił się w cynicznego realistę, którego interesuje tylko kariera. Te myśli jeszcze bardziej utwierdziły go w przekonaniu, że takie życie nie jest nic warte.

\*

Zanim wyjechał z Warszawy, odwiedził dwa sklepy. Pierwszym z nich był salon muzyczny, w którym kupił płytę Wolnej Grupy. W drodze z odtwarzacza sączyły się od wieków niesłyszane: *Majster Bieda*, *Chodzą ulicami ludzie*, *Zobacz*, *Anno*, *Ponidzie*, *Pejzaże Harasymowiczowskie*, *Jakże blisko...* „Jakże blisko zostało mi do końca tej podróży, przyspieszam więc Ikara lot, by cię ujrzeć” — śpiewał Wojtek, gdy Andrzej mijał rogatki Buska.

W bagażniku leżał drugi zakup, dokonany w sklepie sportowym. Był to, niedbale rzucony na pokrywę koła zapasowego, zwój cienkiej linki alpinistycznej.

\*

Było już ciemno, kiedy zatrzymał samochód przy cmentarnej bramie. Sądził, że bez problemu uda mu się znaleźć grób Wojtka. Ponieważ wciąż wiele osób odwiedzało mogiły swoich bliskich, spodziewał się łuny bijącej od dziesiątków zniczy. Błądził po alejkach przez wiele minut. Kilka napotkanych osób wzruszało ramionami, gdy pytał o grób artysty. Wreszcie kobieta, która — jak się okazało — w podstawówce chodziła z Bellonem do jednej klasy, wskazała mu grób, obok którego przechodził wcześniej parę razy. Zaraz potem stanął przed skromnym, zapomnianym pomnikiem. Kilka wypalonych zniczy, zwiędła wiązanka... I napis: „Wojciech Jerzy Belon”.

Zdziwiła go nie tylko pisownia nazwiska. To było niewiarygodne, że prawie nikt nie pamięta o osobie, która tak wiele znaczy dla pokoleń młodych ludzi. Przez chwilę Andrzej zapomniał, po co przyjechał do Buska. Stał, nie mogąc się ruszyć. Wreszcie zapalił przygotowany wcześniej znicz i odszedł w kierunku centralnej części cmentarza.

## 22.

W alejce dostrzegł pochyloną postać.

— Przepraszam panią, czy nie wie pani, gdzie jest grób Ani Marzec?

— Kogo? — Starsza kobieta drgnęła, wyraźnie zaniepokojona.

— Tej dziewczyny, która powiesiła się na wiosnę. Mówili o tym w telewizji...

— A, tak, wiem. Ta, co się zabiła przez tego reportera z radia?

— Tak. Chciałbym zapalić znicz na jej grobie. Jestem, to znaczy byłem, jej dobrym znajomym...

— No jakże bym mogła nie wiedzieć. — Staruszka ucieszyła się, że może pomóc nieznanemu. — Pójdzie pan prosto z pięćdziesiąt metrów, skręci w prawo i wtedy już będzie widać. Bardzo ładny pomnik. Dużo tam zniczy, sama dzisiaj zapaliłam. Taki duży, biały...

— Dziękuję.

Andrzej szybkim krokiem ruszył we wskazanym kierunku.

Gdy dotarł na miejsce, zauważył dziesiątki płomieni i mnóstwo kwiatów, które całkowicie przesłaniały napisy nagrobne. Kiedy odsunął jeden z flakonów, ujrzał zdjęcie młodego mężczyzny trzymającego w ramionach małe dziecko.

Rozejrzał się wokół. Tuż obok rosła olbrzymia lipa z odchodzącym w bok grubym konarem, do którego bez trudu mógł dosięgnąć. Linę miał w niewielkim plecaku. Wyjął ją i zarzucił na gałąź.

„Jeszcze chwila” — pomyślał i przysiadł na ławce stojącej obok nagrobka. Przymknął oczy i zaczął cicho odmawiać modlitwę. Zdawał sobie sprawę, że jego pomysł na skończenie ze sobą jest dość koszmarny, jednak chciał w ten sposób symbolicznie przyznać się do



winy. Teraz, gdy przejechał tyle kilometrów, powoli uzmysławiał sobie, że to dość głupie, bo przecież i tak po kilku dniach nikt nie będzie pamiętał o całej sprawie.

„Ale byłem przynajmniej na grobie Wojtka” — pomyślał.

Wokół panowała absolutna cisza. Wyglądało na to, że wszyscy odwiedzający opuścili już cmentarz. Bezwietrzna pogoda sprawiała, że znicze dawały poczucie przyjemnego ciepła. Andrzej siedział bez ruchu, starając się całkowicie wyciszyć. Chciał jeszcze raz przypomnieć sobie swoje życie, chciał po raz ostatni zapytać siebie, czy rzeczywiście to jest najlepsze i jedyne wyjście. Zaczął wpadać w stan lekkiego letargu. Czuł się całkowicie spokojny.

Gwałtownie drgnął, gdy jeden z wazonów przewrócił się na granitową płytę. Zobaczył zdjęcie Anny, zupełnie niepodobne do portretów nagrobnych. Dziewczyna z kolorowej fotografii patrzyła mu prosto w oczy. Czerwony żakiet, w który była ubrana, rozpoznał od razu. W jego mieszkaniu pojawiała się zawsze w nim.

Znów zamknął oczy. W tej samej chwili zaczęły wracać obrazy sprzed kilku miesięcy. Wydało mu się, że znów leży w swoim łóżku, a dziewczyna powolnym krokiem zmierza w jego kierunku...

— Słyszysz mnie? Pytam, czy mnie słyszysz...

Stukot upadającej butelki z resztkami jacka daniel'sa.

Usiadła na skraju łóżka i pochyliła się nad Andrzejem. Ze zdumieniem poczuł, że wzięła go za rękę. Jej delikatna dłoń była miła w dotyku i... bardzo ciepła. Nie tego się spodziewał.

— Tyle czasu czekałam, żeby ci to powiedzieć. Nie mogłam stąd odejść i już nie wrócić, dopóki tego nie zrobię... Tylko że ty... ty byłeś za daleko mnie. Nie słyszałeś, nie mogłeś słyszeć tego, co chcę ci przekazać... Teraz jesteś bliżej. Teraz jesteś bardzo blisko, prawie w moim świecie... Dlatego... bardzo ci dziękuję.

Twarz Andrzeja stężała. Był zupełnie zaskoczony.

— Jestem z tymi, których kochałam nad życie — ciągnęła. — Ale ty przeze mnie uciekasz od tej, którą kochasz... Nie pozwolę na to.

Poczuł na policzku delikatny powiew powietrza, jednak wciąż nie otwierał oczu.

— Nie pozwolę. — Po raz kolejny usłyszał te stanowcze słowa, jednak tym razem to już nie było wspomnienie. Ktoś szepnął je wprost do jego ucha.

Gwałtownie otworzył oczy. Na ławce obok dostrzegł mgiełkę, która natychmiast rozplynęła się w pachnącym parafiną powietrzu. Spojrzał w stronę grobowca. Wazon z chryzantemami stał na swoim miejscu, a zza kwiatów nie było już widać zdjęcia Anny.

Przez długą chwilę jeszcze siedział bez ruchu. Poczuł, że bardzo zmarzł w dłonie, więc schował je do kieszeni kurtki. Pod palcami wyczuł mały chłodny kształt. Był pewien, że to pierścionek zaręczynowy, który odłożył na nocny stolik tuż przed tym, gdy zaczął połykać pierwsze tabletki klonazepamu. Od tamtej pory go nie widział. Przez chwilę obracał pierścionek w palcach, po czym uśmiechnął się delikatnie, wstał, zapiał kurtkę i sięgnął po zwisającą obok jego głowy linkę.

---

## Dwie dychy na gwiazdkę

Dworzec kolejowy w Rzeszowie przygotowywał się do pasterki, tyle że akurat tutaj nie miał jej kto odprawić. Wszyscy księża, którzy mieli za chwilę rozpocząć nabożeństwo, właśnie przywdziewali liturgiczne szaty. Poza tym niby dla kogo miałyby być taka dworcowa msza? Oprócz mnie w budynku znajdowało się ledwie kilka osób. Najbardziej rzucał się w oczy „Zyga”, który uwalony w trupa spał niedaleko kas biletowych i było mu wszystko jedno, czy za chwilę narodzi się mały Jezusek. Jakiś młody chłopak nerwowo spacerował w kółko po poczekalni, od czasu do czasu wychodząc na zewnątrz, by za chwilę na ubraniu i butach nanieść do środka nową porcję świeżego puchu. Pewnie czekał na kogoś, kto miał po niego przyjechać z jednej z okolicznych wiosek. Biorąc pod uwagę śnieżycę, która nagle spadła na Podkarpacie, mógł chyba czekać do rana. Biedaczek.

Była jeszcze dwójka Ukraińców i ja.

Najważniejsze, że było mi ciepło. Schowałem buty do torby i przykryłem się grubym płaszczem, podkulając nogi i szczelnie otulając je miękką, przytulną tkaniną. Nieczęsto zdarzało się, że miałem dla siebie całą ławkę.

Płócienny worek z ubraniami podłożyłem pod głowę i usadowiłem się wygodnie na twardym legowisku. Wiedziałem, że wreszcie się porządnie wyspię. Ani policja, ani straż miejska nie przegoniłaby nikogo z dworca w Taką Noc, a „Czysty” z kumplami nie pojawiali się od ładnych kilku dni.

Zapadłem w sen, jednak tylko na krótką chwilę.

— Mogę usiąść koło pana?

Trudno mi było uwierzyć własnym uszom. Jakim człowiekiem trzeba być, żeby w środku wigilijnej nocy budzić bezdomnego, zatopionego w słodkim śnie? Postanowiłem udawać, że nie słyszę, lecz na niewiele

się to zdało. Energiczne szarpanie nie pozostawiło co do tego żadnych wątpliwości.

Otworzyłem oczy i obrzuciłem dziewczynę najbardziej wrogim spojrzeniem, jakie udało mi się wykrzesać z zaspanych oczu. Miałem nadzieję, że zrozumie nietakt i pójdzie do jednej z wielu pustych ławek. Nic z tego.

— Czy może się pan trochę przesunąć? — zapytała.

Wiedziała już, że się obudziłem. Zacząłem więc udawać głuchoniemego, żywo gestykulując wokół uszu i ust, ona jednak tylko się uśmiechnęła.

— Nie wygłupiaj się. Przecież wiem, że mnie słyszysz.

Usiadłem, starając się przyglądzić nieco potargane włosy i rozglądając się za jakimś bardziej spokojnym miejscem. Gdy zacząłem wkładać buty, powiedziała:

— Nie odchodź, proszę. Chciałabym, żebyś mi pomógł.

Spojrzałem na nią tak, jakby właśnie się urwała z choinki, może nawet tej oświetlonej, stojącej przed dworcem. Miałem już coś na końcu języka, gdy przypomniałem sobie o swoim udawanym kalectwie. Narysowałem tylko kółko na czole i wstałem, biorąc pod pachę swoje rzeczy.

— Wiedziałam, że mnie słyszysz!

Uśmiechnęła się i ja mimowolnie odpowiedziałem tym samym. Głuchego już nie mogłem udawać, ale wciąż mogłem zgrywać niemowę.

— Jeśli mi pomożesz, dostaniesz dwie dychy — rzekła.

Zastanowiłem się, stojąc bez ruchu. Jak na rok dwutysięczny, była to kwota nie do pogardzenia. Mogłem za nią mieć paczkę fajek, małą paczkę czystej, a i może jeszcze wystarczyłoby na coś ciepłego do jedzenia.

Zauważyła, że się waham.

— To nic trudnego, chcę tylko, żebyś poszedł ze mną w jedno miejsce...

Spojrzałem na zewnątrz. Za przeszkloną ścianą wiatr z ogromną prędkością przeganiał tumany śniegu z jednego końca placu

dworcowego na drugi. Gdy pomyślałem, że miałbym opuścić ciepłe pomieszczenie, przebiegł mnie dreszcz. Pokręciłem głową, odwróciłem się do niej plecami i ruszyłem w stronę pustej ławki.

— Dwie dychy i na zawsze spokój z „Czystym”.

Zatrzymałem się w pół kroku. Już mnie miała.

Jako były oficer dochodzeniówki nigdy nie miałem łatwego życia w miejscach takich jak to. W końcu jednak się przyzwyczaili, poza jednym sukinsynem, którego dawno temu przymknąłem za rozbój z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Nigdy nie marnowałem okazji, aby mnie wyrzucić z dworca i przy okazji zdrowo poturbować. Może i nie dałbym się mu tak łatwo, gdyby nie trzech jego nieodłącznych koleżków. Mówili na niego „Czysty”.

Spojrzałem na dziewczynę. Nie była ani ładna, ani brzydka. Brunetka, może nieco po dwudziestce. Zdziwiło mnie to, że nie miała na sobie ani płątka śniegu — jej czerwona kurtka była zupełnie sucha. Cóż, być może obserwowała mnie już wcześniej z ukrycia, tylko ja nie zdołałem jej dostrzec.

Popatrzyłem na dworcowy zegar. Było wpół do pierwszej. „Zyga” przekręcił się z boku na bok i znów zaczął pochrapywać, po młodego chyba jednak ktoś przyjechał, bo już go nie było, a dwójka wschodnich sąsiadów spokojnie spała obok siebie.

Dziewczyna w czerwonej kurtce przyglądała mi się wyczekująco.

— Proszę... — szepnęła.

Jej prośby na nic by się zdały, gdyby nie wspomniała o „Czystym”. Nie miałem pojęcia, jak może mi pomóc w tej kwestii, ale uznałem, że w najgorszym wypadku zostaną mi dwie dychy. Zdecydowałem, że przystanę na jej propozycję. Spojrzałem w kierunku ławki, na której przed chwilą siedziała, lecz nie zobaczyłem nikogo. Brunetka stała przy drzwiach, uśmiechając się zachęcająco.

Zasznurowałem buty, dokładnie zapiąłem płaszcz i ruszyłem w stronę wyjścia.

Uderzenie śnieżnego wichru o mało nie ścięło mnie z nóg. Złapałem równowagę i rozejrzałem się wokół. Szła wolnym krokiem w kierunku podziemnego przejścia na drugi peron. Nie miała nakrycia głowy, a mimo tego jej włosy pozostawały nieruchome, wciąż czarne, jakby biały puch się ich nie miał. Ruszyłem truchcikiem.

Niedługo później, po pokonaniu tunelu, wyszliśmy na peron. Dziewczyna zeszła z niego i stanęła na torach, kilka metrów ode mnie.

— Nie bój się. Chodź...

Byłem przekonany, że nie usłyszałbym nikogo z odległości metra, a jednak jej cichy głos zabrzmiał w moich uszach dokładnie tak, jakby stała tuż obok. Było mi zimno i chciałem wracać, jednak dwie dychy i sprawa „Czystego” zmusiły mnie do podjęcia marszu.

\*

Już myślałem, że ten wariacki spacer nigdy się nie skończy. Szliśmy torami, smagani mroźnymi podmuchami wiatru, chyba przez pół kilometra. Zacinający od przodu śnieg sprawiał, że lodowate drobinki zamarzały i zlepiały mi rzęsy. Chwilami nie potrafiłem nawet złapać oddechu. Na mojej towarzyszce burza śnieżna nie robiła kompletnie żadnego wrażenia. Dziewczyna szła powolnym krokiem, z odkrytymi włosami, które ani razu nie poruszyły się nawet odrobinę. Już miałem krzyknąć, że pieprzę to i wracam, gdy dziewczyna nagle przystanąła.

— Sięgnij ręką pod ten kawałek betonu.

Zrobiłem, co mi kazała, i z trudem wydobyłem nieduży worek foliowy, który zdawał się zawierać w środku kawałek jakiegoś materiału. Spojrzałem na nią pytająco. Stała z uśmiechem w bladym świetle latarni. Nagle jej twarz zaczęła się zmieniać. Wokół oczu wykwitły czerwonosine plamy, z ust zaczęła się sączyć brunatna krew. Dziewczyna lekko się zachwiała. Nie miałem pojęcia, co jej jest, ale rzuciłem się w przód, próbując chwycić mdlejące ciało, lecz ona w szaleńczym tempie zaczęła płynąć w tył i po kilku sekundach znikła wśród tumanów śniegu.

A moje dwie dychy?

Też zniknęły.

Popatrzyłem na woreczek, lecz nie zamierzałem na razie sprawdzać, co jest w środku, tylko schowałem go do torby.

Gdy mijałem pierwszy z peronowych zegarów, okazało się, że właśnie minęła pierwsza.

\*

Kilka dni później siedziałem na komendzie, w pokoju, który zajmował mój stary przyjaciel, jeszcze z czasów, gdy pracowałem w policji. Kiedyś to był mój pokój, ale nawet mi nie przeszło przez myśl, że mógłbym mieć za złe Bogdanowi, że wraz z pokojem zajął też moje stanowisko. Sam byłem sobie winien.

Moje największe życiowe przekleństwo miało na imię Jack, a na nazwisko — Black. Kiedy w hotelu Rzeszów przed kilkoma laty pojawiło się kasyno, całkiem oszalałem na punkcie gry, której głównym celem było zebranie nie więcej niż dwudziestu jeden oczek. Najpierw przegrałem wszystkie oszczędności, potem szczęśliwe małżeństwo, a na koniec, gdy moi zwierzchnicy odkryli, że „pożyczyłem” sobie kilka tysięcy z pieniędzy zabezpieczonych jako dowód w jednej ze spraw, panu Jackowi Blackowi udało się też pomóc mi pożegnać się z robotą.

Tego dnia, dwudziestego ósmego grudnia, siedziałem na kanapie i od dłuższego czasu czekałem na powrót Bogdana. Wreszcie się pojawił, a za nim do pokoju wszedł wysoki, siwy mężczyzna.

Kilka godzin wcześniej sprawdziłem zawartość woreczka, który od wigilijnej nocy nosiłem ze sobą w torbie. Znalazłem z nim zakrwawione rękawiczki i również upapraną we krwi apaszkę w trupie czaszki. Taką samą znałem prawie tak dobrze, jakby była moja. Od zawsze nosił ją „Czysty”. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego i natychmiast popędziłem na policję. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby ktoś oskarżył mnie o jakiś napad.

Bogdan przedstawił mi swojego towarzysza jako „pana Wiesława”, a ten, bez zwłoki podszedł bliżej, uściśnął mi dłoń i podziękował — jak

to ujął — „ze szczerego serca”. Później wręczył mi kopertę i już go nie było. Zapytałem Bogdana, o co chodzi, a ten odpowiedział:

— Widzisz, dzięki tobie udało nam się rozwikłać sprawę, nad którą pracowaliśmy od kilku miesięcy. Wtedy właśnie w parku została zamordowana i zgwałcona młoda dziewczyna. Nazywała się Aleksandra Przybyło.

Sięgnął do jednej z teczek. Wyjął zdjęcie ofiary i kilka fotografii wykonanych na miejscu zbrodni. Wyglądała na nich dokładnie tak, jak ją zapamiętałem, znikającą w śnieżnej zamieci.

— Kiedy dziś rano przyniosłeś tamte rzeczy i powiedziałeś, że podobną apaszkę nosił... Jak mu tam...? „Czysty”, tak?

Skinąłem głową.

— Natychmiast zaczęliśmy go szukać i znaleźliśmy po kilkunastu minutach. Wiesz, nawet wciąż miał przy sobie jej telefon... Do wszystkiego się przyznał.

Wstałem z kanapy.

— A co ty? Idziesz już?

Znow przytaknąłem. Bogdan znał moją sytuację i nie chciałem, żeby się nade mną litował. Kilka razy próbował mi jakoś pomóc, lecz ja za każdym razem odmawiałem, zawsze twierdząc, że dam sobie jakoś radę.

— Nie zapytasz, kim był ten facet?

Wzruszyłem ramionami, spoglądając na kopertę.

— To był ojciec tej dziewczyny. Za pomoc w odnalezieniu sprawcy wyznaczył nagrodę — dwadzieścia tysięcy. Zdaje się, że właśnie trzymasz je w ręku.

Rozerwałem papier i zajrzałem do środka. Bogdan miał rację.

Miał rację jak cholera...

\*

Do wieczora kręciłem się po mieście bez celu, co chwila sprawdzając, czy pieniądze wciąż tkwią w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wreszcie



poszedłem do sklepu i kupiłem sobie jakieś normalne ciuchy. Po kilku latach znów wyglądałem jak człowiek.

Potrzebowałem spokoju i gorącego prysznica. Do głowy przyszło mi jedno miejsce — hotel Rzeszów. Zameldowałem się na recepcji i zapłaciłem za trzy noce z góry. Wciąż byłem nieogolony, miałem tłuste włosy i wyswiechtaną torbę. Nikt by nie uwierzył, że stać mnie na trzy noclegi w niezłym hotelu.

Gdy byłem już czysty, zszedłem na dół, żeby coś zjeść. Wtedy zobaczyłem, jak kilku mężczyzn wchodzi do kasyna...

Walka trwała kilka godzin. Parę minut po dwudziestej trzeciej biegłem po pieniądze do pokoju. Pomyślałem, że dobre i to; właściwie byłem z siebie dumny, że miałem aż tak silną wolę.

\*

Godzinę później wpatrywałem się w dwie leżące przede mną karty. Były to dama pik i dziewiątka kier. Obstawiałem za dwa i pół tysiąca. Krupier sobie rozdał ósemkę, która leżała obok jego drugiej, zakrytej karty.

Nie byłem przesądny, ale to był właśnie ten układ! Moja dama to tamta dziewczyna, ona też miała ciemne włosy, a dziewiątka? Dziewiątka to dziewięć tysięcy, które wciąż tkwiło w wewnętrznej kieszeni płaszcza. To było oczywiste! Mało tego! W żetonach miałem dokładnie drugie... dwa i pół tysiąca. To był ten moment! Podwoiłem i spasowałem.

Następne chwile przebiegły jak w zwolnionym tempie. Krupier odkrył szóstkę, a potem dobrał sobie dwójkę. W tym momencie byłem pewien wygranej. Gorączkowo patrzyłem na kolejną kartę. Miał szesnaście oczek, więc ratowała go tylko piątka lub czwórka; trójka oznaczałaby remis i zwrot mojej stawki.

I wtedy pomyślałem o moich pięciu zmarnowanych latach.

Piątka karo wylądowała obok kart krupiera, a zaraz potem wszystkie moje żetony odjechały w jego kierunku.

„Spokojnie — pomyślałem. — Tylko spokojnie... Masz przecież jeszcze pieniądze i zaraz się odegrasz...”

Tyle że pieniędzy nie było w płaszczu. Przetrzęsnałem wszystkie kieszenie, torbę, zajrzałem do szuflad, a nawet do łazienki. Właśnie wybiegałem z pokoju, by zgłosić na recepcji kradzież, gdy za plecami usłyszałem:

— Na pewno tego chcesz?

Dziewczyna stała w kącie pokoju. W jej dłoni zobaczyłem plik banknotów.

— Tak, to właśnie ta dziewiątka, która została ci z obiecanych dwóch dych...

Powoli wróciłem do pokoju i usiadłem na skraju łóżka. Ukryłem twarz w dłoniach i przez dłuższą chwilę trwałem bez ruchu.

— Zrobisz jak zechcesz. Kładę je na stoliku, ale jeszcze się zastanów... Pomyśl, czy warto...

Gdy się odwróciłem, już jej nie było.

Przeliczyłem pieniądze — dokładnie dziewięć tysięcy. Wziąłem je i schowałem do kieszeni. Wyszedłem z pokoju i zamknąłem drzwi na klucz. Idąc na dół, myślałem o tych dwudziestu tysiącach, które miałem jeszcze rano — o dwóch dychach otrzymanych w prezencie gwiazdkowym. Dwa tysiące wydałem na ubrania i noclegi. Połowę pozostałych przerznąłem w blackjacka. Teraz miałem ze sobą ostatnie dziewięć tysięcy. Zbyt mało, żeby wrócić do życia, ale wystarczająco dużo, aby chociaż spróbować...

Stałem przed wejściem do kasyna.

„To będzie taka moja próba — pomyślałem. — Tylko popatrzę, jak grają inni...”

Pchnąłem drzwi i wszedłem do zadymionego, pachnącego pieniędzmi wnętrza.

---

## Retrowizje

*Pani Ewie Murawskiej, z podziękowaniem za wsparcie  
Fundacji Pomocy Dzieciom Tybetu „Nyatri”*

**1.**

*Styczeń 2002*

— Gdyby mnie tu zobaczył któryś z twoich przełożonych... — odezwałem się, przerywając ciężkie, przygnębiające milczenie — chyba miałbyś spore nieprzyjemności?

— Nawet nie chcę o tym myśleć — odparł. — Długo się wahałem, ale Ewa bardzo prosiła o spotkanie z tobą. Musicie to załatwić jak najszybciej, naprawdę dużo ryzykuję...

— Dobrze. Ile będziemy jeszcze czekać?

— Zaraz powinni ją przyprowadzić.

Staliśmy obok siebie, zaglądając przez weneckie lustro do pokoju, w którym znajdował się obskurny stół i kilka przypadkowo porozstawianych krzeseł.

— Będiesz tutaj podczas naszej rozmowy? — spytałem.

— Tak, ale nie będę was słyszał. Ewa ma coś do powiedzenia tylko tobie. Wcześniej konsekwentnie odmawiała zeznań na temat motywu. Nie wiem, o co chodzi, ale ze względu na naszą przyjaźń uznałem, że zrobię wszystko, co może jej pomóc w tej sytuacji. Chciała się widzieć z tobą, więc...

— Bardzo ci dziękuję, również w jej imieniu.

— Daj spokój.

Sławek sięgnął po kolejnego papierosa. Gdy podnosił go do ust, zauważyłem, że jego ręka drży. Pierwszy raz widziałem go tak zdenerwowanego. A znaliśmy się przecież od dziecka.

Wszyscy troje mieszkaliśmy w jednym bloku i przez całą podstawówkę chodziliśmy do tej samej klasy, stanowiąc naprawdę zgraną paczkę. Przed laty wzajemnie wyciągaliśmy się z tarapatów i moja wizyta na komendzie świadczyła o tym, że w tej kwestii niewiele się zmieniło. Sławek zaraz po średniej szkole wstąpił do policji, by

uniknąć wojska. Spodobało mu się i już od ponad dziesięciu lat pracował w dochodzeniówce. Mieszkał teraz na wsi, w odziedziczonym po rodzicach domu, ale wciąż spotykaliśmy się we trójkę przynajmniej kilka razy w roku. Oczywiście nigdy w takich okolicznościach.

Drzwi do pokoju otworzyły się i zobaczyliśmy, jak rosły policjant wprowadza ją do pomieszczenia. Przy barczystym mundurowym wydawała się jeszcze bardziej filigranowa, niż była w rzeczywistości. Usiadła przy stole, a funkcjonariusz spojrzął znacząco w naszą stronę, skinął lekko głową i wyszedł, zostawiając Ewę samą.

— Macie najwyżej piętnaście minut — powiedział Sławek.

Jeszcze przez dłuższą chwilę przyglądałem się kobiecie, którą — jak mi się zdawało — tak dobrze znałem. Na jej drobnej twarzy widać było zmęczenie, lecz siedziała wyprostowana, z podniesioną głową. W pewnym momencie spojrzała prosto w moje oczy i uśmiechnęła się delikatnie.

— Jesteś pewien, że nas nie widzi? — zapytałem zmieszany i przesunąłem się o kilka kroków w prawo.

Nie poruszyła się ani odrobinę, tylko podążyła za mną wzrokiem.

— Nie wygłupiaj się — odparł. — Przecież ona może zobaczyć tam tylko siebie w lustrze.

— Cieszę się, że przyszedłeś, Mirku. — Drgnąłem, gdy usłyszałem jej cichy głos. — Wiedziała, że mogę na ciebie liczyć.

\*

Wychodząc z komendy, byłem kompletnie przybity.

Przed spotkaniem z Ewą znałem jedynie kilka suchych faktów, które Sławek przekazał mi wcześniej przez telefon. Gdybym z nim wtedy nie rozmawiał, sądziłbym, że to jakiś koszmarny żart. Przez dłuższy czas po odłożeniu słuchawki nie mogłem dojść do siebie, aż wreszcie uznałem, że przecież musi istnieć jakieś w miarę rozsądne wytłumaczenie. Z tą nadzieją oczekiwałem spotkania, przekonując się w duchu, że to, co Ewa ma do powiedzenia tylko mnie, pozwoli mi cokolwiek zrozumieć.

I rzeczywiście, dokładnie tak się stało, tyle że teraz czułem się o wiele gorzej. Wszystko wskazywało na to, że to właśnie ja jestem głównym winowajcą.

Na pograżonym w ciemnościach parkingu znalazłem swojego granatowego passata, włączyłem silnik i przez długi czas wpatrywałem się tępo w niebiesko-białą tablicę z napisem „POLICJA”. Wreszcie nie wytrzymałem i rozplakałem się jak dziecko.

## 2.

Ewa mieszkała na drugim piętrze, o dwie kondygnacje niżej ode mnie. Sprowadziła się do naszego bloku, gdy byłem przedszkolakiem. Uważałem wtedy — jak zresztą wszyscy moi kumple — że wszystkie dziewczyny są „głupie i beznadziejne”, a w dodatku w ogóle nie da się z nimi bawić. Pewnego dnia — samemu trudno mi było w to uwierzyć — owo święte i niepodlegające dyskusji przekonanie legło w gruzach.

Niewiele pamiętam z wczesnego dzieciństwa, lecz tamtą chwilę, gdy przedszkolanka wprowadziła do sali i przedstawiła nam „nową koleżankę, która od dziś będzie w naszej grupie”, przez te wszystkie lata miałem przed oczyma tak wyraźnie, jakby całe zdarzenie rozegrało się ledwie kilka dni wcześniej.

\*

Nie była to żadna atrakcja, że dołączył do nas ktoś nowy. Wszystko przez rozbudowującą się w pobliżu fabrykę sprzętu gospodarstwa domowego, zatrudniającą coraz więcej pracowników. Sprowadzali się całymi rodzinami, więc i dzieci w przedszkolu było z roku na rok coraz więcej. Jednak kiedy popatrzyłem na niewielką, nawet jak na swój wiek, dziewczynkę, byłem bardzo zdziwiony. Zwykle podobne sceny wyglądały w ten sposób, że nowi płakali albo przynajmniej podświadomie starali się trochę schować za opiekunką grupy, natomiast ta dziewczynka zachowywała się zupełnie inaczej. Podeszła kilka

kroków w naszą stronę i, zatrzymując się mniej więcej w połowie drogi, przelotnie przebiegła wzrokiem po naszych twarzach.

— Cześć. Nazywam się Ewa Murawska — powiedziała wyraźnie, głosem, w którym nie było słyhać nawet cienia tremy.

Wpatrywaliśmy się w jej wielkie zielone oczy i okrągłą buzię, otoczoną czarnymi jak smoła włosami, związanymi w mysie ogonki cienkimi jaskrawoczerwonymi wstążeczkami. Nikt z nas nie odpowiedział nawet słówkiem. Wyglądało na to, że po raz pierwszy nowo przybyła osoba nie boi się nas. Mało tego, nasze milczenie mogło świadczyć o tym, że jest dokładnie odwrotnie. Wzruszyła lekko ramionami, jakby miała do czynienia z bandą głupków, i odwróciła się z bezradną miną w stronę przedszkolanki.

Później wszystko wyglądało niby tak jak zazwyczaj. My z chłopakami bawiliśmy się w swoim gronie, a dziewczyny zajęte były sobą i jakimiś głupimi lalkami. Ewa trzymała się nieco na uboczu, jednak od czasu do czasu zagadywała do którejś z koleżanek, a potem żywo o czymś rozprawiła. Jak to „baby”.

Zabawa jakoś nam się nie kleiła, ponieważ nie tylko ja często spoglądałem z zainteresowaniem w stronę dziewczyn. Wreszcie Waldeczek (tak nazywała go mama), który zawsze najbardziej im dokuczał, wstał i cicho podszedł do Ewy. Nie widziała go, bo akurat była do nas odwrócona tyłem. Rzucił okiem w stronę wychowawczyni i gdy stwierdził, że nie patrzy, znenacka pociągnął dziewczynkę za włosy. Ta obróciła się powoli i odważnie spojrzała mu prosto w oczy. Waldeczek był gruby, o wiele od niej wyższy i przynajmniej dwa razy cięższy. W zasadzie miała szczęście, bo tak naprawdę nie szarpnął jej aż tak mocno, jak miał w zwyczaju. Zarejestrowałem to dokładnie, bo stałem najbliżej całego zajścia.

— Zrób to jeszcze raz, a zobaczysz — powiedziała cicho i bardzo spokojnie, lecz stanowczo.

Nie było mu trzeba dwa razy tego powtarzać. Sięgnął tłuścą łapą do drugiej kitki i chwycił ją. Cała akcja trwała ułamek sekundy. Ewa

błyskawicznie podniosła rękę nad głowę, zamachnęła się i z całej siły grzmotnęła chłopaka nadgarstkiem w sam środek tłustej gęby. Ten puścił jej włosy i zaczął się cofać, zahaczając nogą o jakąś zabawkę. Gruchnął na plecy, aż zadudniło, i zaraz potem zaczął ryczeć, puszczać nosem purpurowe krwawe bańki, zmieszane ze smarkami.

Minęło dobrych kilka lat, nim Ewa przyznała mi się, że za ten występek oberwała od mamy tęgie lanie. Ale może było warto, bo Waldeczek od tamtej pory przestał dokuczać nie tylko jej, ale też innym dziewczynkom.

\*

Wspomnienia sprawiły, że znalazłem się w zupełnie innym miejscu. Patrzyłem przed siebie, uśmiechając się do dawnych czasów. Wreszcie przyszło otrzeźwienie, a przerażająca rzeczywistość uderzyła mnie ze zdwojoną siłą. Wyjąłem chustkę, otarłem łzy i popatrzyłem przed siebie. Jaskrawy napis ponownie stał się czytelny. Zbyt czytelny.

Wrzuciłem jedynkę i chciałem ruszyć z miejsca, lecz dodałem za dużo gazu, przez co koła tylko zabuksowały w zmrożonym śniegu. Był późny wieczór i wyglądało na to, że znów chwycił styczniowy mróz, czego, idąc do samochodu, zupełnie nie odczuwałem. Za drugim razem przygazowałem o wiele delikatniej i auto powoli potoczyło się do przodu.

„Muszę uważać, bo na drodze na pewno będzie szklanka” — pomyślałem, uświadamiając sobie natychmiast, że akurat ten fakt nie jest w zaistniałych okolicznościach moim największym zmartwieniem.

### **3.**

Zaparkowałem przed blokiem i powlokłem się w kierunku wejścia do klatki schodowej. Z trudem pokonywałem kolejne stopnie, a gdy dochodziłem do drugiego piętra, poczułem gwałtowne dławienie w gardle.

Często wracając z miasta, w drodze do domu wstępowałem do niej na herbatę albo kieliszek wina. Oboje odziedziczyliśmy mieszkania po

rodzicach i od chwili śmierci matki Ewy żyliśmy samotnie. Przez kilka lat ona mieszkała gdzie indziej, ale jej małżeństwo okazało się zupełnym nieporozumieniem i już jakiś czas temu wróciła na stare śmieci.

Popatrzyłem na tak dobrze znane drzwi i westchnąłem ciężko, mimowolnie zastanawiając się nad tym, kiedy (o ile w ogóle) znów otworzą się przede mną. Zdając sobie sprawę z absurdalności własnego zachowania, zbliżyłem się i nacisnąłem dzwonek (krótco, długo, a potem znów dwa razy krótco). Gdyby była w środku, wiedziałyby, że to ja. Przez moment nawet zdawało mi się, że słyszę odgłos jej kroków, lecz wrażenie to znikło prędzej, niż się pojawiło, a korytarz niespodziewanie utonął w ciemnościach. Uświadomiłem sobie, że po prostu zbyt dużo czasu zajął mi marsz; zwykle spokojnie zdążyłem wejść na czwarte piętro, zanim automat wyłączył żarówki na całej klatce. Postąłem jeszcze przez chwilę, potem ponownie pstryknąłem włącznik światła i ruszyłem dalej.

Chłodny prysznic dobrze mi zrobił. Natychmiast po kąpieli wskoczyłem pod kołdrę. Byłem piekielnie zmęczony i chciałem, aby sen przyszedł jak najprędzej.

Godzinę później wciąż leżałem z dłońmi splecionymi za głową, wpatrując się w sufit, rozjaśniony mleczną poświatą ulicznych latarni.

\*

Sławek sprowadził się do naszego bloku niecałe dwa lata po tym, jak Waldeczek wylądował na podłodze z rozwalonym nosem. Zbliżał się rok szkolny, a ponieważ wszyscy troje byliśmy w jednakowym wieku, wkrótce razem rozpoczęliśmy naukę.

Już po kilku miesiącach okazało się, że szkoła będzie dla mnie prawdziwą gehenną i nawet mało brakowało, a powtarzałbym pierwszą klasę. Dzięki Ewie, która za uszy wyciągnęła mnie z kłopotów, wszystko skończyło się happy endem. Potem jakoś szło. Zawsze gdy byłem zagrożony z jakiegoś przedmiotu, mogłem na nią liczyć i szczęśliwie skończyliśmy podstawówkę.



Nie pamiętam dokładnie, kiedy się w niej zakochałem. Raczej nie w przedszkolu, bo wtedy miałem inne, ważniejsze sprawy na głowie, ale stało się to chyba najpóźniej w drugiej klasie. Miałem w domu adapter i kilkanaście płyt należących do moich rodziców. Na jednej z nich znajdowała się piosenka zespołu Wawele o tym, jak to ona „miała włosy pachnące miętą”. Romantyczna i melodyjna, czyli w sam raz dla zakochanego ośmio- czy dziewięciolatka. Puszczając ją w kółko, aż prawie niczego poza trzaskami i szumami nie było słychać. Nie przeszkadzało mi to zupełnie. Ważne, że to był nasz — mój i Ewy — utwór.

Przez te wszystkie lata ani razu nie zdradziłem się przed nią jakimś nieostrożnym gestem, choć naprawdę nie było to łatwe. Czasem myślałem, że może jednak warto jej wszystko wyznać, i gdy już-już zamierzałem to zrobić, spoglądałem w lustro i dostrzegałem w nim chudego dryblasza ze szparami między zębami, wyłupiastymi oczyma i odstającymi uszami. Lustrzane odbicie nieodmiennie studziło mój zapał. Myślałem wtedy, że jestem głupi i powinienem się cieszyć, iż taka ładna dziewczyna w ogóle ma ochotę się ze mną przyjaźnić.

Po podstawówce każde z nas poszło do innej szkoły; na dodatek Sławek przeprowadził się do domu, który wybudowali jego rodzice. Nie przeszkodziło nam to jednak w podtrzymywaniu naszej trójstronnej przyjaźni.

Później Ewa rozpoczęła studia, Sławek poszedł do policji, a ja po zawodówce i technikum mechanicznym, które jakimś cudem udało mi się zakończyć zdaną maturą, rozpocząłem chwalebłą zasadniczą służbę wojskową. Na dwa tygodnie przed opuszczeniem jednostki, gdy moja chusta rezerwisty była już gotowa i kończył się metr krawiecki, od którego odcinałem dni pozostałe do wyjścia (jeden centymetr — jeden dzień), dostałem list od Ewy. Pytała w nim, czy zgodziłbym się być świadkiem na jej ślubie. Oczywiście, miałem na to ochotę jak jasna cholera. Zamierzała się pobrać z niejakim Waldemarem Pycią. Ewa Pycia... Boże, jak to strasznie brzmiało!

Waldemar Pycia studiował medycynę, nosił okulary i był prawie całkiem łysy. Trochę zeszczupłał, ale ja i tak zawsze będę go pamiętał jako grubasa, który leży na podłodze przedszkola, wyjąc wniebogłosy i zalewając się krwawymi smarkami z rozkwaszonego nochała.

#### 4.

Od rana sypał drobny śnieg, świat za oknem wydawał się cichy i spokojny, a ja nie mogłem sobie znaleźć miejsca w mieszkaniu.

Postanowiliśmy z moim współnikiem, że w tym tygodniu nasz warsztat będzie nieczynny. Miasto przykryła gruba pierzyna białego puchu, ruch był niewielki, a pomieszczenia wymagały odkładanego przez lata remontu.

Na jedzenie nie miałem ochoty, za to wypilem chyba ze cztery kawy. Włączałem i wyłączałem telewizor, zaczynałem czytać jakieś artykuły w gazetach, po kilku liniijkach zapominając, co było w poprzednim akapicie. Wreszcie, po raz pierwszy od dłuższego czasu, pożałowałem, że mam wolne i nie muszę iść do pracy. Przynajmniej mógłbym zająć myśli czym innym niż wczorajsze spotkanie z Ewą.

\*

Gdy wszedłem, nic nie powiedziała, tylko powitała mnie szerokim uśmiechem. Miałem wrażenie, że znów jest tą samą dziewczyną, w której kochałem się na zabój. Szczerze mówiąc, używanie w tym przypadku czasu przeszłego było nie do końca właściwe.

Spojrzałem w kierunku weneckiego lustra. Podejrzywałem, że Sławek wciąż za nim stoi, jednak były to tylko moje domysły. Zamiast powitania powiedziałem:

— Skąd wiedziałaś, że tam jestem? Przecież nie mogłaś mnie zobaczyć...

Uśmiechnęła się tajemniczo i odparła:

— Nie mogło cię tam nie być. W przeciwnym wypadku nie przyprowadziliby mnie tutaj.

— Miałem wrażenie, że patrzysz mi prosto w oczy.

Znów ten sam uśmiech.

— Może tak było? — W jej oczach błysnęły figlarne ogniki. — Wiesz przecież, że ostatnio dużo nad tym pracowałam...

Usiadłem naprzeciw niej. Nie wydawało mi się, żeby to był najlepszy moment na żarty i słowną szermierkę. Popatrzyłem na nią.

— Ewa, co się stało? — Słowa z trudem przechodziły mi przez zaciśnięte gardło. — Dlaczego to zrobiłaś?

Spoważniała na moment, lecz po chwili jej twarz znów rozjaśnił uśmiech.

— To działa, Miras! Gdyby nie ty, wahałabym teraz kwiatki od spodu, a tak żyję i mam się, jak widzisz, całkiem nieźle. Dziękuję, że powiedziałaś mi o retrowizjach. Na początku myślałam, że to jakaś ściema, lecz w końcu przekonałeś mnie, że jest to możliwe. — Wpadła w słowotok, a ja nie zamierzałem jej przerywać. — W tajemnicy przed tobą spotkałam się z kilkoma ludźmi, którzy podpowiedzieli mi, jak można przejść na drugi poziom. Ty go osiągnąłeś już dawno, więc wiesz, o czym mówię. Wiele razy próbowałam i zawsze bezskutecznie, aż wreszcie nadeszła ta chwila. Prawdopodobnie stało się to w najlepszym z możliwych momentów. Mam nadzieję, że ten skurwysyn smaży się teraz w piekle.

Jej oczy płonęły. Na policzkach wykwitły purpurowe rumieńce. Nawet nie wiem, kiedy chwyciła moją rękę i ścisnęła ją lodowatymi, spoconymi dłońmi.

— Zawdzięczam ci życie i nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłeś — ciągnęła. — Jestem twoją dłużniczką.

— Więc chodzi o retrowizje?

— No pewnie, że tak! Miałam być czwartą ofiarą, jednak gdy tylko spojrzałam w jego oczy, zorientowałam się, co zamierza, i nie mogłam czekać. Szczęśliwy traf sprawił, że złapaliśmy gumę, więc... Chyba rozumiesz, że musiałam to zrobić?

Milczałem.

— To był gwałciciel, sadysta i morderca — znów się odezwała. Tym razem jej głos brzmiał zupełnie inaczej. Był chłodny, beznamiętny i przerażająco spokojny. — Trzy kobiety gryzą teraz glebę i czekają, aż ktoś wreszcie odkryje, kim naprawdę był ten zwyrodnialec. Pomożesz mi ujawnić prawdę światu, prawda?

Wszystko wskazywało na to, że Ewa postradała zmysły. Nie było sensu ciągnąć tej rozmowy.

— Oczywiście, że pomogę — powiedziałem, wstając i próbując uwolnić się od jej uścisku. — Wiesz przecież, że zrobię dla ciebie wszystko.

— Poczekaj, nie idź jeszcze. — To był bardziej rozkaz niż prośba.

Ponownie usiadłem, rzucając niespokojne spojrzenie w stronę lustra. Miałem nadzieję, że Sławek kontroluje całą sytuację.

— Nie widziałam wszystkiego, więc musi ci wystarczyć tyle, ile wiem. Do reszty dojdiesz sam. Może Sławek trochę pomoże...? — Wbiła we mnie pełen nadziei wzrok.

— Na pewno, Ewcia. Na pewno...

— Trzy kobiety, dwie z nich około trzydziestki, jedna o jakieś dziesięć lat młodsza — ciągnęła uspokojona. — Widziałam jakiś drewniany domek pod lasem, może to jest miejscowość wypoczynkowa, bo obok było kilka podobnych budynków. Zakopywał je dość głęboko, chyba na grządkach, nie wiem dokładnie, ale na pewno w pobliżu tego domku. Wcześniej przez tydzień lub dwa zabawiał się z nimi. Dwudziestolatce i jednej ze starszych kobiet odciął głowy, trzeciej rozplątał brzuch. Tak zginęły po tym, gdy je dręczył całymi dniami...

Umilkła nagle i ze łzami w oczach wpatrywała się w ścianę za moimi plecami. Nagle drgnęła i ponownie spojrzała na mnie.

— Dwudziestolatka chyba nie miała kciuka — odezwała się znów, lecz teraz nie mówiła już z taką pewnością, jak poprzednio. — Zdaje się, że prawego... Tak, na pewno prawego! Przepraszam, że jestem taka niedokładna, ale to trwało naprawdę krótko. Zresztą retrowizje są tak

ulotne, że... — Nagle się roześmiała. — I komu ja to mówię? Przecież kto jak kto, ale ty to wiesz o wiele lepiej niż ja.

— Oczywiście. — Miałem nadzieję, że uśmiech, który pojawił się na mojej twarzy, wyglądał choć trochę naturalnie. — No to w takim razie muszę się brać do roboty. Nie ma zbyt wiele czasu... Nie chcemy przecież, żebyś tu tkwiła bez potrzeby, prawda?

Ponownie wstałem. Tym razem natychmiast puściła moją dłoń.

— Trzymaj się, Ewcia. Dam znać, jak się czegoś dowiem — zapewniłem fałszywie i ruszyłem w kierunku drzwi.

— Miras... — usłyszałem za plecami — mogę cię o coś zapytać?

Przystanąłem. Po chwili znów patrzyłem w jej wielkie zielone oczy.

— No pewnie, wal! — odrzekłem.

Była zmieszana, niepewna siebie, zupełnie inna niż przed kilkoma sekundami. Wydawało się, że ma wątpliwości, czy naprawdę chce mi zadać swoje pytanie, jednak po chwili usłyszałem:

— Wiem, że to może nie jest najlepsza chwila na tego typu rozmowy, ale... być może nieprędko się zobaczymy...

Stałem, czekając, aż odezwie się ponownie.

— Musisz tu podejść — powiedziała. — To pytanie jest przeznaczone tylko dla twoich uszu.

— Sławek zapewniał, że nikt nas nie będzie podsłuchiwał...

Ewa odwróciła twarz w stronę lustra, znów się uśmiechając.

— Podejdz, Miras. On słucha, skubaniec jeden.

Po chwili byłem obok niej. Skinęła ręką, dając znak, że chce, abym się pochylił. Zrobiłem to, czując, jak włosy jeżą mi się na karku.

— Dlaczego mnie nie chciałeś? — szepnęła.

Wyprostowałem się nagle.

— Co powiedziałaś?

Pokręciła z niezadowoleniem głową.

— Csiii... Nie muszą słyszeć. To jest rozmowa tylko między nami.

— Znów przywołała mnie ruchem dłoni.

Byłem bardzo blisko niej i czułem przyjemny zapach jej dezodorantu.

— Nie podobałam ci się? Przecież to niemożliwe, żebyś nie wiedział, jak bardzo chciałam być z tobą... Zawsze byłeś taki... na dystans...

Do tej pory nagła suchość w gardle wydawała mi się wymysłem pisarzy, którzy mają zbyt wybujałą wyobraźnię. Teraz jednak nie potrafiłem przełknąć śliny. Prawie się dusiłem. Wreszcie pomyślałem, że chyba moja przyjaciółka naprawdę oszalała. Przecież to niemożliwe, że...

Spojrzałem jej w oczy. Nie było w nich ani krztyny szaleństwa.

— Tak długo czekałam na ciebie, aż wreszcie straciłam wszelką nadzieję i postanowiłam jakoś ułożyć sobie życie — szeptała. — Powiedz, czego mi brakowało?

To była ta sama Ewa, którą znałem od lat. Wpatrywała się we mnie z niepokojem, bojąc się odpowiedzi. Pokręciłem tylko głową, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Pogadamy o tym kiedy indziej — rzekłem. — Muszę sobie to wszystko poukładać, Ewcia. Nie gniewaj się, dobrze?

— No jasne. — Wciąż nie przestawała się uśmiechać. — Teraz są ważniejsze sprawy. Musisz ich przekonać, że jestem niewinna, prawda?

— Tak. Pójdę już.

Wstała i przytuliła mnie mocno. Bardzo mocno.

## 5.

Zadzwoił telefon. W słuchawce odezwał się głos Sławka:

— Cześć, Miras. Chciałem ci tylko powiedzieć, że sąd zdecydował o areszcie na trzy miesiące. Można się było tego spodziewać, ale... no cóż, to i tak dla mnie wielki szok. Dla ciebie pewnie też, co nie?

— Tak, Sławku. Dzięki za wiadomość.

Przez chwilę milczeliśmy.

— Dobra — powiedział. — Będę kończył, mam masę roboty...

— Sławek...

— Tak?

— Wczoraj, na komendzie... Nie wiem, czy powinienem o to pytać...

— Chyba wiem, o co chodzi — odparł. — Przepraszam cię, stary, ale jak zobaczyłem, że Ewa nie pozwala ci odejść, włączyłem mikrofon. Wiem, obiecałem, że będzie inaczej, ale...

— Bałeś się, czy nie stanie się coś złego?

— Właśnie. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe?

— No pewnie, że nie.

— I tak niczego nie usłyszałem, naprawdę — zapewniał.  
— Mówiliście zbyt cicho.

— Okej. Dzięki za telefon. Trzymaj się — powiedziałem i odłożyłem słuchawkę, nie czekając na odpowiedź.

Mimo wszystko czułem się trochę oszukany, lecz to uczucie natychmiast zostało przytłumione pytaniem: „Skąd ona mogła wiedzieć, do jasnej cholery?!”.

\*

Po rozmowie z Ewą Sławek odprowadził mnie do wyjścia. Zatrzymałem się przed drzwiami i zapytałem:

— Jak to się stało? Możesz mi o tym opowiedzieć?

Zawahał się tylko przez chwilę.

— Pewnie. W sumie to żadna tajemnica... Zresztą pismaki i tak zaraz wszystkiego się dowiedzą i rozdmuchają do granic możliwości. Może wrócimy do mojego pokoju? Korytarz nie jest najlepszym miejscem na tego typu rozmowy...

— Nie, Sławek — zaprotestowałem. — Chcę jak najszybciej wrócić do domu. Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać teraz...

— Dobrze, wobec tego będę się streszczał. Mówiłem ci przez telefon, że Ewa zatłukła faceta. Jan Zakrocki, lat czterdzieści jeden, mieszkaniec Olsztyna. Dwójka dzieci w gimnazjum. Motywów, jak wiesz, nie znamy... W tej sprawie chciała rozmawiać tylko z tobą. A może... — przerwał — może mógłbyś mi coś powiedzieć? Przecież musi być jakieś wytłumaczenie...

— Nie teraz, Sławek. Jeszcze nie teraz. Nie miej mi tego za złe, po prostu na razie jest za wcześnie. Co jeszcze wiadomo?

— Poza przyczynami tego morderstwa, wiemy właściwie wszystko, bo Ewka całe zdarzenie opowiedziała ze szczegółami. Wraciała z Zalesia, dokąd pojechała, żeby uporządkować grób rodziców po świętach Bożego Narodzenia. Był wczesny wieczór, uciekł jej autobus, więc stała na przystanku. Właśnie zastanawiała się, czy zamówić taksówkę, czy odwiedzić rodzinę w Zalesiu, gdy tuż obok niej zatrzymał się Zakrocki. Zaproponował podwiezienie do miasta.

— Sam się zatrzymał?

— Tak. Po przejechaniu kilku kilometrów złapali gumę i Zakrocki skręcił w leśną drogę, by bezpiecznie zmienić koło. Nie zdążył. Właśnie odkręcał śruby, gdy Ewka rozwalila mu głowę łyżką do opon. Mówię ci, masakra! Jak wiesz, pracuję już trochę w policji, ale czegoś takiego nie widziałem...

— Czego mianowicie?

— Nie wiem, co w nią wstąpiło, ale ten facet po prostu... Ona go normalnie pozbawiła głowy. Kawałki czaszki przemieszane były z resztkami mózgu. Wszystko to rozbryzgane na samochodzie i kilkunastu metrach kwadratowych śniegu...

Zamilkł. Było mi niedobrze, lecz trzymałem się dzielnie, starając się nie dać niczego po sobie poznać.

— A ona?

— Jak głąz. Spokojna, opanowana. Chwilę potem zadzwoniła na policję, w skrócie opowiedziała o tym, co się stało, podała dokładną lokalizację i poprosiła o przysłanie radiowozu. Gdy nasi pojawili się na miejscu, stała oparta o samochód Zakrockiego. Nie uwierzysz, ale po prostu się uśmiechała. Zapytana, czy to było w obronie własnej, odparła, że poniekąd tak, lecz stwierdziła też, że nie została napadnięta.

Zapadła cisza. Sławek stał, przypatrując mi się uważnie.

— Rozumiesz coś z tego? — spytał wreszcie.

— Coś mi świta. Jakby co, skontaktuję się z tobą.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i już miałem wyjść z budynku, gdy do głowy przyszło mi jeszcze jedno pytanie:



— A ten Zakrocki... był tu przejazdem? Olsztyn jest na drugim końcu Polski...

— No właśnie, badamy ten wątek, bo tu są pewne niejasności. Jego żona była przekonana, że mąż jest na delegacji w Niemczech. Ustaliliśmy, że dzwonił do domu kilkadziesiąt minut przed spotkaniem Ewy, utrzymując, że jest w Monachium i zostanie tam jeszcze co najmniej przez tydzień. Dziwna sprawa...

— Dziwna — przyznałem i wyszedłem.

## 6.

Gdy przestała być Ewą Pycią, na powrót stając się Ewą Murawską, i po rozwodzie znów zamieszkała w naszym bloku, świat wypiękniał, a wszystko wyglądało o wiele bardziej optymistycznie. Postanowiłem, że drugi raz jej nie stracę.

Jej mama jeszcze wtedy żyła i natychmiast zaskarbiłem sobie sympatię starszej pani, choć w przeszłości różnie między nami bywało. Wiedziałem, jak bardzo Ewa liczy się z jej zdaniem, więc pierwsze punkty zdobyłem bardzo łatwo. Starłem się im jak najwięcej pomagać. Wiadomo, dwie samotne kobiety potrzebują męskiego wsparcia, więc byłem na każde ich skinienie. Oczywiście uważałem, aby nie wyglądało to zbyt podejrzanie — nie miałem przecież zamiaru sprawiać wrażenia, że się narzucam. Wszak bardzo łatwo przekroczyć granicę pomiędzy szczerą, bezinteresowną chęcią pomocy a nieznośnym natręctwem.

Gdy matka Ewy zachorowała, często bywałem u niej w szpitalu, nawet sam. Przywoziłem owoce i książki (wiedziałem przecież doskonale, jakie lubi najbardziej). Wszystko to trwało około dwóch miesięcy. Na pogrzebie szliśmy z Ewą tuż za trumną. Szczerze mówiąc, czułem się dokładnie tak, jak pogrążony w żałobie kochany zięć. I zdawało mi się, że tak też zaczynam być traktowany przez dalszą rodzinę mojej przyjaciółki. Wszystko szło w najlepszym kierunku.

Kiedy została sama, długo nie mogła się otrząsnąć po śmierci matki. Wiedziałem, że musi minąć trochę czasu, więc dyskretnie usunąłem się

na bok, by wrócić, gdy tylko będzie mnie potrzebowała. I to być może był mój błąd. Z drugiej jednak strony, nie mogłem przecież przewidzieć, że mojej przyjaciółce aż tak bardzo będzie brakowało matki... Byłem w szoku, gdy dowiedziałem się, że Ewa poważnie zainteresowała się okultyzmem, a zwłaszcza parapsychologią. Bywała na kilku spotkaniach tygodniowo, kupowała dziesiątki książek o tej tematyce i — co najgorsze — nie potrzebowała już mojej pomocy. Poczułem, że znów zaczynam ją tracić.

Znałem Ewę od dzieciństwa i doskonale wiedziałem, że nie zniosłaby, gdybym zaczął wyśmiewać czy kwestionować jej nową pasję. Cóż więc mi pozostało? Mogłem tylko wejść w to po same uszy, a potem spróbować udowodnić, jaki jestem dobry w te klocki.

O retrowizjach usłyszałem w radiu i od razu wiedziałem, że to jest właśnie to, czego szukam. Bywałem z Ewą na tych jej spotkaniach i przypuszczałem, że może to być strzał w dziesiątkę. Jeszcze nie zajmowali się tą kwestią, więc już na starcie miałem ogromną przewagę. Oczywiście absolutnie nie wierzyłem w te bzdury, jednak by zyskać uznanie, musiałem być bardzo przekonujący. Najpierw dotarłem do mojego starego kumpla, który — jak się dowiedziałem — przyjaźnił się z byłym mężem Ewy. Kosztowało mnie to kupę forsy, wydanej na piwo i inne napoje wyskokowe, ale dzięki temu dowiedziałem się o małżeństwie Waldemara i Ewy Pyciów więcej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Potem wystarczyło tylko te informacje odpowiednio dozować, nie zapominając o dodatkowej otoczce i ubarwiając rewelacjami o szczegółach życia innych ludzi, które można poznać dzięki — jak to sam nazwałem — „spojrzeniu wewnętrznemu”.

Ewa znów była moja. Przestała chodzić na spotkania; poświęciła się bez reszty kwestii retrowizji, próbując pójść drogą swojego guru, który potrafił odgadywać ludzką przeszłość. Nie sądziłem, że potrwa to jakoś szczególnie długo. Ewa zawsze charakteryzowała się słomianym zapalem, więc wystarczyło spokojnie poczekać. Najważniejsze było to, że znów byłem dla niej kimś ważnym.

Szło mi świetnie, aż do tego popołudnia, gdy znalazła się w samochodzie Zakrockiego. W tym jednym momencie wszystko się zawaliło, by nie powiedzieć, że totalnie wzięło w łeb...

\*

Mijały kolejne dni. Remont w warsztacie się skończył i wreszcie mogłem wrócić do pracy, i zrobiłem to z niekłamaną przyjemnością. Próbowałem zapomnieć o tym wszystkim, ale — co chyba oczywiste — z bardzo miernym skutkiem. Ciężko mi, że to przeze mnie Ewa ogląda teraz świat zza krat, no ale któż mógł przypuszczać, że aż tak bardzo weźmie sobie do serca durnoty, którymi ją karmiłem. Na to, że siedziała w pierdlu, nie mogłem nic poradzić, ale mogłem przynajmniej (dla spokoju sumienia) spełnić swoją obietnicę, że spróbuję coś dla niej zrobić. Od naszego spotkania nie kiwnąłem nawet palcem. Fakt, może zwariowała, ale przecież wciąż była moją przyjaciółką i — przede wszystkim — najdroższą mi osobą na świecie.

Zadzwoiłem do Sławka i poprosiłem, żeby mi pokazał miejsce zbrodni. Nie pytał, dlaczego chcę je zobaczyć. Po prostu się zgodził i następnego dnia znaleźliśmy się na tej leśnej drodze.

— Nic nie zobaczysz, Miras — powiedział, wysiadając z auta. — Od tamtej pory minęło sporo czasu i śnieg już kilka razy porządnie sypał, więc to na nic. Zresztą nie sądzę, aby nasi ludzie pominęli cokolwiek.

Miał rację. Pokręciłem się chwilę tu i tam, brnąc po kolana w śniegu. Płatała mi się pod czaszką myśl, że może jednak Zakrocki ją zaatakował, a ona po prostu tego nie pamiętała — ludzie przecież różnie reagują w skrajnych sytuacjach. Ta hipoteza niemal natychmiast wydała mi się jednak całkowicie nieprawdopodobna. To miejsce było zbyt blisko ruchliwej drogi, z której byliśmy widoczni jak na dłoni. Gdyby planował napad, z pewnością odjechałby dalej w las, tym bardziej że wtedy nie było jeszcze ciemno, o czym wcześniej zapewnił mnie Sławek.

— Wiesz... — usłyszałem nagle własne słowa — zdaje się, że to wszystko moja wina...

Nie mogłem się już wycofać. Opowiedziałem mu całą historię mojej retrowizyjnej manipulacji i wszystko, co przekazała mi Ewa. Mówiąc to, stałem w białym puchu, z pewnością mając pod butami, gdzieś tam poniżej grubej warstwy śniegu, nieuprzątnięte resztki Zakrockiego. Jedyne, co zachowałem dla siebie, to słowa, które powiedziała mi, gdy kończyliśmy naszą rozmowę.

Czułem się jak najgorsza kanalia, Sławek przez całą drogę powrotną nie odezwał się do mnie ani słowem, lecz mimo tego było mi lżej.

Odwiozłem go pod dom. Początkowo sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar od razu wysiąść, lecz się rozmyślił. Wreszcie powiedział:

— Miras, skłamałbym, mówiąc, że pochwalam twoje postępowanie wobec Ewki, ale... — Poruszył się niespokojnie w fotelu. — ...ale to jest jedna strona medalu. Druga jest taka, że nikt nie mógł tego przewidzieć. Kto mógłby się spodziewać po niej... po kimkolwiek... czegoś takiego? Nie jesteś przecież jasnowidzem, prawda?

W odpowiedzi skinąłem tylko głową. Przebiegło mi przez myśl, że to, co się stało kiedyś w przedszkolu, nie wzięło się z niczego. Może był to zbyt daleko idący wniosek. Zresztą Sławek przecież nie widział tamtego zajścia.

Wysiadł i zatrzasnął drzwi, by po chwili otworzyć je znowu.

— Nikomu nie powiem tego, czego się od ciebie dowiedziałem. Możesz być pewien...

— Dzięki.

— ...ale postaram się, żeby Ewę przebadali najlepsi biegli psychiatrzy. Tyle tylko mogę zrobić.

Zatrzasnął ponownie drzwi, a ja miałem wrażenie, że tym jednym ruchem zamknął również okres naszej przyjaźni, która miała się przecież nigdy nie skończyć.

*Październik 2002*

Minęło wiele miesięcy, zanim znów zobaczyłem się ze Sławkiem.

Był późny jesienny wieczór. Wraciałem z pracy, zmęczony jak siedem nieszczęść, gdy ujrzałem go, siedzącego na ławeczce przed naszym blokiem. Na mój widok podniósł się i ruszył w moją stronę.

— Witaj, Miras! — usłyszałem.

— Cześć! — odparłem, nieco zaniepokojony. — Coś się stało?

Tylko jakieś wyjątkowe zdarzenie mogło tłumaczyć to spotkanie. Jak przewidywałem, po naszej wspólnej wizycie na miejscu zbrodni, prawie rok temu, ani razu się ze mną nie kontaktował. Ja też nie potrafiłem przerwać milczenia. Czułem się cholernie winny. Wiele razy żałowałem, że wtedy tak się przed nim otworzyłem. Straciłem przyjaciela, a przecież fakt, że wszystkiego się dowiedział, nie miał najmniejszego znaczenia i w żaden sposób nie mógł pomóc Ewie.

— Tak, stało się — powiedział. — Słyszałeś, że dziś zapadł wyrok?

— Wiem, że miał zapaść. Cały czas jestem na bieżąco, ale dziś nie miałem jak dowiedzieć się czegokolwiek. Właśnie zamierzałem...

— Dostała dwadzieścia pięć lat — przerwał mi. — Sąd nie dopatrzył się żadnych okoliczności łagodzących, poza niekaralnością. Biegli sądowi...

— Stwierdzili, że była wtedy całkowicie poczytalna, prawda?

Skinął głową.

— Może wejdiesz? — zapytałem, przerywając przeciągające się milczenie.

— Nie, dzięki. Wiesz, widziałem się z nią dzisiaj po ogłoszeniu wyroku. Prosiła, bym ci przekazał, że jest jej przykro... Nie odwiedziłeś jej przez cały ten czas.

Nie odezwałem się ani słowem, bo i cóż mogłem powiedzieć? Że przez te wszystkie miesiące bałem się dowiedzieć prawdy? Że bałem się usłyszeć przeprosiny za jej nieodpowiedzialne słowa wypowiedziane na komendzie pod wpływem emocji? Zachowywałem się jak skończony egoistyczny dupek, zostawiając Ewę samą sobie, to prawda.

Najpierw przez kilka tygodni wahałem się, a później było coraz trudniej. Nie chciałem jej znów zobaczyć i potem zadrezczać się myślą, że będę ją widywał tylko na więziennych widzeniach.

— ...tak samo.

— Przepraszam, możesz jeszcze raz powtórzyć? — poprosiłem.

— Wyłączyłem się na chwilę.

— Mówiłem, że prosiła też, bym ci przekazał, że nie ma do ciebie żalu, bo sama pewnie zachowałaby się dokładnie tak samo.

— Aha — odrzekłem, siląc się na obojętność.

— Jest jeszcze jedna rzecz. Pewnie będziesz się wściekał...

— Ja? — Prawie się roześmiałem. — Myślisz, że po tym wszystkim, co zrobiłem i jak się zachowałem wobec niej, mógłbym się z jakiegoś powodu...

— Ona wie, że przekazałeś mi to wszystko, co było przeznaczone dla twoich uszu.

A jednak się wkurzyłem, i to porządnie.

— No to świetnie. Naprawdę, powiedziec ci coś, to jak w studnię...

Chciałem go ominąć, ale chwycił mnie za ramię.

— Miras, jak Boga kocham! Ona nie wie tego ode mnie...

\*

Kilka minut później siedzieliśmy w moim mieszkaniu.

— Nie pytaj, jak mi się to udało, ale mogliśmy po rozprawie przez jakiś czas porozmawiać sam na sam.

Usiadł w dużym pokoju, nawet nie zdejmując płaszcza.

— Sławek, rozbierz się. Zaraz mi wszystko opowiesz, ale na spokojnie. Napijesz się czegoś?

— Wódki bym się napił, ale jestem autem.

— Może wrócisz taksówką? Albo przenocujesz u mnie? Wiesz... Po tym wszystkim — szczerze mówiąc — nie sądziłem, że jeszcze kiedyś zechcesz się ze mną napić.

— Ja też nie sądziłem, ale po dzisiejszym dniu... Dobra, zaraz ci wszystko opowiem, tylko zadzwonię do Anki, że nie wrócę dziś na noc.

Naprawdę mogę zostać? — upewnił się.

— No jasne. Dzwon, a ja tymczasem pościelę ci w gościnnym.

\*

Najpierw wypiliśmy kilka kolejek i pogadaliśmy trochę na niezobowiązujące tematy, jakby odwlekając przejście do meritum. Przez moment zastanawiałem się nawet, czy przypadkiem nie wolę trwać w nieświadomości, zwyczajnie ciesząc się chwilą i spotkaniem z przyjacielem. Wkrótce jednak okazało się, że Sławek nie odpuści tematu.

— Jak ci już mówiłem... — zaczął — Ewa wie, że powiedziałaś mi o tym, o czym wtedy rozmawialiście na komendzie. Powtórzę to jeszcze raz — nie dowiedziała się ode mnie. Teraz chciałem cię zapytać o trzy rzeczy. Tylko skup się, zanim odpowiesz, dobra?

— Dobra.

— Wierzysz mi?

— To ma być pierwsze pytanie?

— Tak, i to chyba najważniejsze. Tylko wtedy dwa kolejne będą miały sens.

Zastanowiłem się i odparłem:

— Wierzę. Po pierwsze dlatego, że nie widzę powodu, dla którego miałbyś kłamać, a po drugie... po drugie... ty nigdy mnie nie okłamałeś...

Uświadomienie sobie tego faktu było dla mnie nagłym olśnieniem. Rzeczywiście, Sławek nigdy mnie nie oszukał, zawsze zachowywał się wobec mnie w porządku. No, może poza włączeniem głośnika na komendzie, ale zrobił to przecież w trosce o moje bezpieczeństwo.

Skinął głową, jakby usłyszał, że ładna dziś pogoda.

— Drugie pytanie: jesteś pewien, że nie wie tego od ciebie?

Patrzyłem na niego zaskoczony.

— Ale czego? — spytałem wreszcie.

Przewrócił oczami.

— No tego, że mi wtedy powiedziałeś o tym, co ona mówiła ci na komendzie — wytłumaczył cierpliwie, jak siedmiolatkowi.

— Przecież wiesz, że od tamtego czasu ani jej nie widziałem, ani się z nią w żaden sposób nie kontaktowałem...

— A może wie o tym ktoś jeszcze, kto jej mógł przekazać...

— Na pewno nie — przerwałem. — Tylko z tobą o tym rozmawiałem. Mogę przysiąc.

— Dobra, dobra, spokojnie. Ja też ci wierzę... Trzecia rzecz: nie powiedziałeś mi wtedy wszystkiego?

— To znaczy?

— No, nie przekazałeś mi treści całej rozmowy?

— Nie — odparłem i sięgnąłem po kieliszek.

— Ona mi też nic nie powiedziała. Wiem tylko, że coś zataiłeś, i to mi wystarczy. Tak samo stwierdziła Ewka. Wiesz, co to wszystko może oznaczać?

Podnosiłem wódkę do ust, lecz nagle zastygłem. Trwałem tak przez kilka sekund, po czym wychyliłem do dna.

— Oszalałeś, prawda? — zapytałem, odstawiając kieliszek. — Czy dobrze rozumiem? Ty naprawdę wierzysz, że ona, patrząc w oczy, może odgadnąć czyjąś przeszłość?

— Być może — odparł. — Ale nie wiesz jeszcze najlepszego. Zanim do tego przejdę, mógłbym najpierw zapalić?

Wstałem, żeby poszukać popielniczki. Chwilę to trwało, bo gdy wróciłem do stołu, Sławek zdążył już wypalić prawie połowę papierosa.

— Nie wiedziała o tym, że wiem, o czym rozmawialiście, nie wiedziała też, że byliśmy na miejscu zdarzenia — mówił, strzepując popiół. — A zgadnij, jakie było jej pierwsze pytanie, gdy zostaliśmy sami?

— Skąd mam wiedzieć?

— Zapytała, dlaczego nie przeszukaliśmy dokładnie tamtego miejsca. Patrzyłem na niego jak cielę na malowane wrota.



— Mówi do mnie: „Musicie znaleźć klucze”. Ja jej na to, że klucze były wśród zabezpieczonych na miejscu zbrodni rzeczy, a ona pokręciła tylko głową i powiedziała, że to nie te i że właściwe, które mogą pomóc w rozwiązaniu całej sprawy, może tam jeszcze leżą.

— Aha. — Nie była to zbyt błyskotliwa odpowiedź, ale nic innego nie przyszło mi w tym momencie do głowy.

— No, i resztę już znasz. Wiedziała o naszej rozmowie, a więcej nie udało mi się z niej wyciągnąć, bo czas naglił. I co ty na to wszystko?

— Nic. Sławek, sorry, ale... jeśli by to wszystko miało być prawdą, to dlaczego nie powiedziała tego w sądzie?

— Nie była pewna, nie ma twardych dowodów, nikt by jej nie uwierzył, wzięliby ją za wariatkę... Mam wymieniać dalej? Ona wiedziała, że tylko my możemy jej pomóc, więc tylko nam mogła to przekazać.

— A dlaczego mi wtedy nie powiedziała o tych kluczach?

— Właśnie, zapomniałem dodać, że to dotarło do niej dopiero niedawno, jak po raz kolejny przypominała sobie tę całą, jak jej tam... retrowizję, tak?

— Przecież ci mówiłem, że to wszystko bzdury...

— Może tak, a może nie. Jest jeszcze jedna rzecz...

— Nie możesz wszystkiego powiedzieć od razu?

— Mówię przecież! — zirytował się. — Chodzi o to, że ja też w to wszystko nie mogłem uwierzyć. Zresztą... nawet teraz nie mam jakiegoś stuprocentowego przekonania. Zrobiłem więc dziś po południu coś, co mogłoby uprawdopodobnić całą tę historię.

— Pojechałeś szukać kluczy?

— To też, ale nic nie znalazłem, co zresztą było do przewidzenia, biorąc pod uwagę czas, jaki upłynął...

— Więc?

— Sprawdziłem w rejestrze zaginionych kobiet w wieku od piętnastu do trzydziestu lat te, których cechą szczególną był brak kciuka.

Nabrałem powietrza, kręcąc z niedowierzaniem głową.

— W ciągu ostatnich kilku lat był tylko jeden taki przypadek. Dwudziestojednoletnia studentka, mieszkanka Grójca pod Warszawą...

— No, widzisz. Więc to zniknięcie nie może mieć nic wspólnego z...

— Zniknęła pierwszego listopada, niecałe dwa miesiące przed tym, jak Zakrocki został zamordowany.

— No i co z tego?

— W związku z tym, że w śledztwie były niejasności odnośnie do służbowego wyjazdu Zakrockiego, przesłuchano też jego żonę, czego dowiedziałem się, dzwoniąc na komendę w Olsztynie. Zeznała, że wcześniej jej mąż też wyjeżdżał do Niemiec. Ostatni taki wyjazd, wyłączając ten zakończony feralnym spotkaniem z Ewką, miał miejsce w przeddzień Święta Zmarłych dwa tysiące drugiego roku. Zakrockiego nie było wtedy w domu prawie przez dwa tygodnie...

## 8.

Nigdy byśmy nie znaleźli tych kluczy pod grubą warstwą liści, gdyby nie wykrywacz metalu, który Sławek pożyczył rano od znajomego z pracy. Leżały niemal dokładnie w miejscu, gdzie znaleziono zabitego mężczyznę. Oczywiście nie mogliśmy być na sto procent pewni, że należały do niego, lecz było to bardzo prawdopodobne. To, że nie natrafiono na nie w dniu zabójstwa, można było tłumaczyć faktem, że wysunęły mu się z kieszeni, gdy padał pod wpływem uderzeń, a potem ktoś — może Ewa, a może któryś z policjantów lub prokurator — przypadkowo wdeptał je jeszcze w śnieg.

Trzy klucze typu yale oraz jeden dużo większy, starego typu, były nanizane na metalowe kółko. Do kółka przypięta była plastikowa czerwona przywieszka z miejscem na opis. Pod przezroczystym plastikiem widniały dwie niedbale nakreślone długopisem lub piórem litery — „Z” oraz druga, nieczytelna, rozmazana pod wpływem wilgoci.

Sławek pieczołowicie zabezpieczył znalezisko, tak aby nie naruszyć odcisków palców, które mogły się zachować na kluczach.

Potem odwiózł mnie do domu

— I co o tym sądzisz? — zapytał.

— Nie wiem... Trzeba chyba sprawdzić, czy to jego — odparłem.

— A nawet jeśli tak, to jaki te klucze mogą mieć z tym wszystkim związek?

— Tego właśnie spróbuję się dowiedzieć.

\*

Za sprawą Sławka wydarzenia sprzed miesiący wróciły do mnie ze zdwojoną mocą. Znów przypominałem sobie, co powiedziała mi Ewa, tyle że teraz patrzyłem na to z diametralnie innej perspektywy. Czy to możliwe, że przez te wszystkie lata, kiedy spędzaliśmy ze sobą tyle czasu, ona faktycznie czekała na choćby najmniejszy znak z mojej strony? Nie chciało mi się w to wierzyć, ale przecież wyraźnie mi to zakomunikowała.

Było jeszcze za wcześnie, aby zastanawiać się, co by się stało, gdyby w jakiś niewytłumaczalny sposób okazało się, że miała rację i facet, któremu rozwalila głowę tępym narzędziem, rzeczywiście był zwyrodniałym gwałcicielem i zabójcą. Nie znałem procedur, jakie mógłby w takiej sytuacji zastosować sąd. Nie wykluczałem jednak, że cała sprawa mogłaby się skończyć rewizją wyroku i nadzwyczajnym złagodzeniem kary. W takim przypadku być może Ewa już niedługo mogłaby znowu zamieszkać obok mnie. Drugi raz nie zmarnowałbym takiej szansy.

I wtedy dotarła do mnie myśl, która mnie wręcz sparaliżowała. Jeśli Ewa Murawska w istocie wypracowała w sobie zdolności retrowizyjne, jeśli rzeczywiście, spoglądając komuś w oczy, może odgadnąć minione zdarzenia, to...

— Boże święty — szepnąłem i zacząłem sobie przypominać nasze spotkanie na komendzie. Minuta po minucie, sekunda po sekundzie.

Próbowałem wydobyć z najgłębszych zakamarków pamięci coś, co mogłoby świadczyć o tym, że Ewa choćby próbowała wtedy przejrzeć moją przeszłość. Uznałem wreszcie, że nic takiego raczej nie miało miejsca. Była zbyt wzburzona i przejęta sprawą, a także

niespodziewanym wyznaniem tego, co do mnie czuła. Czy jednak mogłem mieć pewność? W żadnym wypadku.

## 9.

*Marzec 2003*

Minuty w sądowym holu ciągnęły się w nieskończoność.

Siedziałem na niewygodnej ławce, czekając, aż zostanę poproszony do sali rozpraw numer cztery. Po raz pierwszy od ponad roku miałem spojrzeć w oczy Ewie, która kolejny raz zasiadała na miejscu dla oskarżonych. „Spojrzenie w oczy” nie było najtrafniejszym określeniem. Dziesiątki mijających mnie osób ze słabo ukrywanym zainteresowaniem spoglądały na faceta w ciemnych lustrzanych okularach. Wielu z nich z pewnością brało mnie za niewidomego. Najważniejsze było to, że nikt nie mógł spojrzeć mi w oczy.

Dzień wcześniej odwiedziłem lekarza. Zdiagnozował zapalenie spojówek i zalecił noszenie ciemnych okularów, nawet w zamkniętych pomieszczeniach. Sztuczka z solą wcieraną w oczy była wprawdzie bolesna, ale za to bardzo skuteczna. Odruchowo sięgnąłem do kieszeni marynarki, by upewnić się, że orzeczenie lekarskie wciąż w niej tkwi.

Wszystko zdarzyło się poniekąd na moje własne życzenie. Sprawy przybrały zupełnie nieoczekiwany obrót i musiałem stawić im czoło, najlepiej jak potrafię.

\*

Po naszym październikowym spotkaniu Sławek zaczął działać jak burza. Na kluczach odnaleziono odciski palców Zakrockiego. Wdowa po nim nigdy nie widziała takich kluczy. To tylko potwierdziło podejrzenia. Kolejne czynności odkrywały coraz to nowsze fakty związane z przeszłością zamordowanego.

Sławek spotkał się ponownie z Ewą. Najdokładniej jak to było możliwe opisała mu ona miejsce, które udało się jej zobaczyć podczas retrowizji. Z jej wypowiedzi wynikało, że może chodzić o jakąś miejscowość, w której znajdowało się osiedle domków letniskowych.

Takich w naszej okolicy było sporo. W dodatku policyjny nos podpowiedział mojemu przyjacielowi, że litery na przywieszce niekoniecznie musiały być inicjałami zamordowanego. Zjeździł setki kilometrów, aż wreszcie trafił do miejscowości Zarzeczce Osada.

Jeden z domków wyglądał na zupełnie opuszczony. Sąsiedzi od wielu miesięcy nie widzieli mężczyzny, który w nim wcześniej bywał. Od nich też Sławek dostał namiary na właściciela posesji, po czym spotkał się z nim i dowiedział, że domek został wynajęty na pięć lat „panu, który zapłacił za cały okres z góry”.

— Czy to ten mężczyzna? — zapytał Sławek, pokazując zdjęcie Zakrockiego.

— Tak. To pan Jasiewicz. Czy coś mu się stało?

— Można tak powiedzieć — odrzekł mój przyjaciel.

Nazwisko Jasiewicz było — rzecz jasna — zmyślane, ale kto pyta o dowód, gdy delikwent płaci z góry?

Po tym zdarzeniu jedynym problemem było uzyskanie nakazu przeszukania posesji w kolonii domków w miejscowości Zarzeczce Osada. I na to znalazł się jednak sposób. Sławek wysłał do komendy powiatowej anonim o takiej mniej więcej treści:

*Szanowny Panie Komendancie!*

*Uprzejmie informuję, że w domku, który wynajmuje pan Jasiewicz w miejscowości Zarzeczce Osada, działy się różne podejrzane rzeczy.*

*Kilka miesięcy temu słyszałam tam krzyki i wołanie o pomoc. Myślę, że mogło się tam wydarzyć coś naprawdę strasznego. Proszę o interwencję.*

*Zaniepokojona*

Pierwszą czynnością, którą podjęła grupa policjantów, dowodzona przez Sławka, było dokumentne rozkopanie ogródka. Po piętnastu minutach natrafili na pierwsze zwłoki.

Sekcje zwłok trzech kobiet jota w jotę potwierdziły wizję Ewy.

Teraz miałem zeznawać jako świadek. Sławek w prokuraturze poinformował o retrowizjach Ewy, chodziło przecież o jej dobro,

i wskazał mnie jako osobę, która pierwsza się o nich dowiedziała. Nie przeszkadzało mu, że może oberwać za to, że załatwił nasze widzenie.

„Facet ma jaja” — pomyślałem dokładnie w tym momencie, gdy otworzyły się drzwi do sali i strażnik sądowy wywołał moje nazwisko.

\*

W tych pedalskich ciemnych okularkach z pewnością wyglądałem jak kosmita. Mogłem postawić każde pieniądze na to, jak zareaguje sędzia, którym okazała się energiczna chuda kobieta koło pięćdziesiątki.

Stałem przy balustradce dla świadków.

— Proszę świadka, niech świadek zdejmie okulary.

— Proszę wysokiego sądu — odezwałem się niepewnie — mam zaświadczenie lekarskie, że muszę ich stale używać. Bardzo przepraszam, ale... — ciągnąłem, idąc w jej kierunku z białym świstkiem w dłoni.

Popatrzyła krytycznie na to, co jej podałem.

— No dobrze — burknęła. — Skoro tak, to może w nich świadek zostać. Proszę wrócić na miejsce.

Gdy szedłem z powrotem, Ewa była na wyciągnięcie ręki. Zauważyłem jej zaniepokojone spojrzenie i z trudem pohamowałem uśmiech, myśląc z satysfakcją, że nie może spojrzeć mi prosto w oczy.

## 10.

*Kwiecień 2003*

Dwa tygodnie później odwiedził mnie Sławek z wiadomością, że wszystko idzie po naszej myśli.

— Miras! — mówił podekscytowany. — Może się okazać, że Ewka wkrótce będzie wolna. Jest szansa, że dostanie trzy lata za przekroczenie granic obrony koniecznej. Biorąc pod uwagę fakt, że przesiedziała ponad rok i nie sprawiała żadnych problemów, może wyjść za dobre sprawowanie już w lipcu! Miała szczęście — ta sędzia to straszna kosa na facetów, zdeklarowana feministka. Oczywiście sąd

drugiej instancji może jeszcze zaostrzyć wyrok, ale chyba nie będzie tak źle. — Popatrzyl na mnie uważnie. — A co ty? Nie cieszysz się?

Przywdziałem na twarz sztuczny uśmiech.

— No coś ty. Oczywiście, że się cieszę — zapewniłem. — Trzeba będzie to oblać.

— No pewnie, ale już we trójkę, nie?

— Jasne, że we trójkę.

Następnego dnia udałem się do pośrednika sprzedaży nieruchomości.

## 11.

*Czerwiec 2003*

Miała zostać zwolniona z więzienia za niecałe trzy tygodnie, dziesiątego lipca.

Stałem przed klatką, po raz ostatni spoglądając na blok, w którym się wychowałem. Zastanawiałem się, jak Ewa zareaguje, gdy po wyjściu zapuka do mojego mieszkania i otworzą jej obcy ludzie. O mojej przeprowadzce nie wiedział nikt, nawet Sławek. Odsprzedałem udziały w naszej spółce wspólnikowi i za uzyskane środki kupiłem małe mieszkanko pod Trójmiastem. Zmieniłem też nazwisko. Wiedziałem wprawdzie, że w razie potrzeby tak doświadczony policjant, jak Sławek bez problemu mnie namierzy, jeśli zechce, ale miałem nadzieję, że uszanuje moją decyzję o nagłym zniknięciu. Zresztą zamierzałem do niego zadzwonić następnego dnia i poprosić go o to.

Wynająłem niewielką halę w Sopocie na warsztat samochodowy, dzięki któremu zamierzałem urządzić się w nowym miejscu. Miałem całą kwotę uzyskaną ze sprzedaży mieszkania, więc byłem pewien, że bez problemu przetrwam okres rozkręcania interesu.

Westchnąłem i ruszyłem do auta. Cały mój majątek zmieścił się do passata kombi. Meble, szpargały i kupa ubrań — to wszystko wylądowało na śmietniku albo zostało przekazane potrzebującym.

Usiadłem za kierownicą i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Po chwili, nie wyłączając silnika, wyszedłem na zewnątrz i otworzyłem tylną klapę. Z leżącej na wierzchu walizki wydobyłem zdjęcie Ewy. Moje ulubione, na którym uśmiecha się tak, jak tylko ona potrafi. Zabrałem je ze sobą i położyłem na siedzeniu pasażera. Tuż obok małego znicza.

\*

Zatrzymałem samochód w niewielkim lasku, jakieś trzysta metrów za ostatnimi zabudowaniami miasta. Zgasilem silnik, sięgnąłem po znicz i wyszedłem na zewnątrz.

Zbliżał się wieczór, a w powietrzu wciąż było czuć upał mijającego dnia. Koszula przywarła do spoconych pleców. Zastanawiałem się, czy było mi gorąco z powodu... gorąca, czy z emocji, które od pewnego czasu towarzyszyły mi, gdy pojawiałem się w okolicach tego miejsca.

Tamten jesienny wieczór tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku był zupełnie inny. Chłodny i szary. Padał drobny deszcz. Wracałem po grillu u znajomych. Uparłem się, że nie zostanę u nich na noc, chociaż wcześniej wypilem kilka piw i trochę wódki. Nie zamierzałem jeszcze wracać do domu, o czym powiedziałem gospodarzom.. Nigdy później niczego nie podejrzewali i dzięki temu nie naprowadzili policji na mój ślad.

Z naprzeciwka jechał samochód na długich światłach. Chciałem odwdziżyć mu się tym samym i także włączyłem długie. Zaczął trąbić, a ja wymachiwałem pięścią w kierunku niewidocznego kierowcy. Gdy znów spojrzałem na drogę, było za późno i nic już nie mogłem zrobić.

Pierwsza z dziewczynek odbiła się od maski jak piłka. Później znaleźli ją kilka metrów od drogi z pogruchotanymi nogami. Do końca życia będzie jeździła na wózku. Druga poleciała na wprost i zaraz potem poczułem, jak koła przejeżdżają po jej ciele. Zatrzymałem samochód. Leżała na poboczu i — jak mi się zdawało — zginęła na miejscu. Gdzieś z oddali usłyszałem jęk drugiej z dziewczynek. Rozejrzałem się wokół siebie. W dali, na prostej drodze majaczyły jeszcze tylne światła



samochodu, który mijałem tuż przed wypadkiem. Nikogo więcej nie zauważyłem.

Bóg mi świadkiem, że przez wiele długich nocy śniłem o tym, jak dzwonię wtedy po pogotowie, po chwili przyjeżdżają, by z powodzeniem uratować życie i zdrowie tym dzieciakom. Niestety, tylko we śnie mogłem się zdobyć na coś takiego.

Wsiadłem do samochodu i ruszyłem przed siebie. Dojechałem do warsztatu i przez całą noc pracowałem nad tym, by następnego dnia nie było najmniejszego śladu na karoserii. To było łatwe — byłem przecież świetnym, znanym w okolicy lakiernikiem.

Nazajutrz wszystkie lokalne media trąbiły o wypadku. Okazało się, że dziewczynka, którą przejechałem, prawdopodobnie przeżyłaby, gdyby ktoś natychmiast udzielił jej pomocy lub wezwał pogotowie. Leżały obok drogi przez dłuższy czas (dlatego nie ustalono dokładnej godziny zdarzenia). Wreszcie znalazł je przypadkowy rowerzysta...

\*

Stanąłem obok skromnego białego krzyża, zmówiłem krótką modlitwę i zapaliłem znicz. Wsiadając do samochodu, jeszcze się rozejrzałem, czy aby na pewno nikt mnie nie widział.

Wziąłem do ręki fotografię. Ewa przypatrywała mi się z uwagą. „Całe szczęście, że to tylko zdjęcie” — przeszło mi przez myśl. Byłem pewny, że patrząc na mnie w ten sposób, nie odkryje prawdy.

— Retrowizje nie działają poprzez zdjęcie, prawda? — upewniłem się, wypowiadając pytanie na głos.

Nie odpowiedziała. Poglądziłem jej włosy na zdjęciu. Dotknąłem oczu i ust.

— Lepiej, żebyś nie wiedziała o mnie całej prawdy — odezwałem się znów. — Wystarczy, że ja ją znam, Ewuś, i muszę z tym jakoś żyć. Trzymaj się, kochana, i... przepraszam, że tak to wszystko spaprałem.

Ruszyłem ze świadomością, że mam przed sobą długą i cholernie trudną drogę.

---

# Spójrz na to z drugiej strony

*Bo śmiałkiem jest ten, kto podejmuje decyzje wbrew obawom, ten, kogo na każdym kroku nękają demony, kogo nurtują rozterki, czy ma rację, czy nie.*

*A mimo to działa — bo również wierzy w cuda.*

Paulo Coelho

## Magda

Niepotrzebnie o to poprosił. W stanie, w jakim się znajdowała, z równowagi mógł ją wyprowadzić byle drobiazg. Prawie nieprzespana z powodu silnego bólu menstruacyjnego noc i guzdrzące się podczas śniadania dzieciaki, to i tak było dosyć, jak na jej nerwy. A teraz jeszcze to.

— Może coś jeszcze, do cholery, mam zrobić?! Może samochód ci umyję przed wyjazdem, co? Zrobię ci kanapki do pracy... A, nie, przepraszam, kanapki już przygotowałam, to w takim razie...

— Magda, proszę cię... — Zerknął na bliźniaków, którzy na szczęście zupełnie nie zwracali uwagi na podniesiony głos matki; prawdopodobnie dlatego, że ostatnimi czasy tego typu sprzeczki były w domu Załuskich na porządku dziennym. — Zapytałem tylko, czy nie sprawiłoby ci to kłopotu. W porządku, przełożę ostatnie spotkanie i załatwimy wszystko tak jak zawsze. Nie denerwuj się już...

— Wiesz przecież, ile jeszcze rzeczy mam do zrobienia — powiedziała nieco spokojniej, lecz w jej głosie wciąż słychać było wyrzut. — Wyjeżdżamy na trzy dni. Muszę tu trochę ogarnąć, przygotować dla nas wszystkich ubrania, potem zrobić zakupy...

— Wiem, kochanie...

— Nie przerywaj mi! — warknęła. — Zanim łaskawie pojawicie się w Zarzeczu, dobrze byłoby też posprzątać trochę w domku, bo przez ostatnie dwa tygodnie na pewno czyściej się w nim nie zrobiło. Szczególnie że Damian ma alergię i nie może przebywać w zakurzonych pomieszczeniach, nie pamiętasz?

Krzysztof zamierzał coś powiedzieć, ale w końcu zrezygnował. Chcąc jak najszybciej zakończyć rozmowę, która najwyraźniej zmierzała donikąd, zwrócił się do chłopców:

— No, panowie, wychodzimy. Jeszcze trochę takiej guzdraniny i się spóźnicie.

Nie musiał im tego dwa razy powtarzać. Nawet wyjście do szkoły było lepsze od mdłej owsianki, której obaj szczerze nie znosili. Magda posłała mężowi nieprzyjazne spojrzenie, ale zanim zdążyło ono dotrzeć do adresata, ten był już za progiem kuchni.

Dominik złapał tornister i natychmiast podążył w ślady ojca, natomiast drugi z synów podszedł do Magdy.

— Cześć, mama! — powiedział, przywierając do jej spódnicy. — Ale po południu już nie będziecie się kłócić, dobrze?

Kobieta przykucnęła i spojrzała Damianowi w oczy.

— Tak, kochanie. Obiecuję.

Chłopiec złapał ją za szyję i mocno uścisnął.

\*

Sama nie wiedziała, co się z nią dzieje. Była roztrzęsiona, nie mogła skupić myśli na konkretnej czynności. Kiedy jeden z talerzy wypadł jej z rąk, gdy usiłowała upchnąć go w zmywarce, i roztrzaskał się na tysiąc kawałeczków o kuchenne płytki, uznała, że chyba jednak powinna sobie zrobić chwilę przerwy.

— To na szczęście — mruknęła bez przekonania i sięgnęła do szafki po pudełko z melisą.

Kilka minut później rozciągnęła się na kanapie w salonie z kubkiem ziołowej herbaty. Połknęła dwie tabletki no-spy i jedną ketonalu z nadzieją, że tym razem zmniejszą choć trochę promieniujący z podbrzusza tępy ból.

Związane z okresem dolegliwości towarzyszyły Magdzie od pierwszej miesiączki i wyglądało na to, że będzie tak aż do menopauzy. Swego czasu lekarz dawał nadzieję, że po ciąży bóle mogą być mniej intensywne, ale nic takiego nie nastąpiło.

— Wszystko przez moją siostrunię — powiedziała, odstawiając kubek na stolik, po czym ułożyła się w pozycji embrionalnej. — Cholera jasna, że też nie może znaleźć sobie jakiegoś...

Przerwał jej dzwonek komórki. Odebrała, nie patrząc nawet na wyświetlacz.

— Cześć, kochana siostrzyczko. Właśnie cię przed chwilą zwymyślałam na czym świat stoi.

— Kiepska noc i bóle brzucha? — usłyszała w słuchawce głos Marzeny.

— Taaa... Ciekawe, skąd masz takie precyzyjne wiadomości — odparła z lekkim uśmiechem. — Wiesz, ta nasza telepatia przez prawie czterdzieści lat zdążyła mnie już trochę znudzić.

— Mnie to mówisz? Lepiej mi powiedz, dlaczego od rana chodzę taka podkurwiona.

— No jak to? PMS cię dopadł zapewne...

— PMS miałam do wczoraj, a dziś jest jakoś tak... inaczej. Właśnie przed chwilą stłukłam szklankę, tak mi się ręce trzęsą. Coś nie tak z Krzyśkiem?

Magda przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

— Tak — odparła wreszcie. — Zresztą ciebie i tak nie oszukam, no nie? — Uśmiechnęła się. — Od pewnego czasu między nami nie jest w porządku, zresztą już ci o tym wspominałam. Teoretycznie niby wszystko gra, ale jednak coś niedobrego wisi w powietrzu. A teraz to już w ogóle, odkąd Dominik...

Przerwała. Zaczęła się zastanawiać, czy mimo wszystko nie mówi zbyt wiele. To przecież trwa od niedawna, więc może...

— Co z nim?

— Wiesz, nie jestem do końca pewna, ale wydaje mi się, że Krzysiek nastawia go przeciwko mnie. To przecież dziwne, że dziewięcioletni bliźniacy aż tak bardzo różnie zachowują się wobec matki...

Marzena milczała.

— Czasem ten łeppek patrzy na mnie z taką złością, jakbym była jego największym wrogiem. Skąd coś takiego mogło się u niego wziąć?

— Nie wiem — odezwała się po chwili milczenia siostra. — Jak na bunt nastolatka to chyba trochę za wcześnie, ale na twoim miejscu nie wyciągałabym raczej pochopnych wniosków. Osobiście nie wierzę, żeby Krzysiek był zdolny do czegoś takiego...

— No ale dlaczego w takim razie Damian wciąż jest taki jak wcześniej? Powinni być przecież tacy sami albo przynajmniej bardzo podobni. My takie byliśmy, prawda?

— Niekoniecznie, siostra. Chyba cię pamięć zawodzi. — Marzena roześmiała się. — Pamiętaj, że nawet jednojajowe bliźniaki to tak naprawdę dwie różne istoty. O nas też rodzice mówili, że może to prawda, że mamy jedną duszę rozdzieloną pomiędzy dwa ciała i jesteśmy prawie identyczne, ale to podobieństwo jednak zawsze dotyczyło głównie naszego wyglądu zewnętrznego.

Z piersi Magdy wydobyło się ciężkie westchnienie.

— Nie wiem, co mam z tym wszystkim robić — powiedziała zrezygnowana. — Czasem mam już dość.

— Wyjedźcie gdzieś razem, odpocznijcie. Może wtedy łatwiej będzie ci złapać dystans. Porozmawiaj z Dominikiem, może to jego zachowanie da się w jakiś bardzo prosty sposób wyjaśnić.

— Wyjeżdżamy właśnie. — Prychnęła. — Do Zarzecza, dasz wiarę? Jak co drugi tydzień i — wyobraź sobie — jak co drugi tydzień wszystko jest na mojej głowie.

— Nie nakręcaj się. Przecież Krzysztof pracuje. Sama przed urodzeniem dzieci zaproponowałaś ten układ.

— Ale ja myślałam, że to wszystko będzie inaczej wyglądać, że jak pojawią się dzieci, to będzie tylko lepiej, a tu...

— Porozmawiaj z Dominikiem — powtórzyła Marzena. — Mam wrażenie, że tak naprawdę to jego zachowanie dręczy cię teraz najbardziej.

— Dobrze, pani psycholog, porozmawiam, a potem zdam szczegółową relację. — Powstrzymała się od odruchowego zasalutowania wolną ręką. — Siostra... to wszystko zaczyna mnie trochę przerastać.

— Może więc nadszedł dobry moment, żebyś rozejrzała się za jakąś pracą? Wiem, że to przewróciłoby wasze życie do góry nogami, ale może właśnie tego tobie... wam potrzeba? Chłopcy są już na tyle duzi, że chyba byłoby to możliwe?

Myślała o tym od pewnego czasu, ale w jej przypadku nie byłoby to wcale proste. Pomimo doświadczenia w biurze pośrednictwa w handlu nieruchomościami, gdzie pracowała przed urodzeniem dzieci, zdawała sobie sprawę, że lata przerwy mocno komplikowały ponowne odnalezienie się na rynku pracy. Nie bez znaczenia był też wiek. Gdyby miała o jakieś dziesięć lat mniej, pewnie byłoby to o wiele łatwiejsze.

— Nie musisz przecież wracać do starego zawodu — dodała Marzena, czytając w myślach siostry. — Może jakiś własny biznes? Sklep z ciuchami albo coś w tym guście. A może...

— Pomyślę — ucięła sucho Magda. — Nie mam teraz ochoty o tym rozmawiać.

— Dobra, w takim razie już cię nie męczę. Mimo wszystko mam nadzieję, że wyjazd będzie udany.

— Oby.

— Ucałuj ode mnie wszystkich swoich chłopaków. — Zaakcentowała słowo „wszystkich”. — Usłyszymy się w niedzielę wieczorem albo jakoś w przyszłym tygodniu... Chyba że macie już tam zasięg?

— Nie, akurat to się nie zmieniło. W dzisiejszych czasach trudno znaleźć zadupie, do którego nie można się nawet dodzwonić, ale Krzyškowi się to oczywiście udało bez problemu.

— Daj spokój. Zresztą może to nawet lepiej. Przynajmniej nikt nie będzie wam zawracał gitary. Pa!

Swoim zwyczajem Marzena przerwała połączenie, nie czekając nawet na odpowiedź. Zanim jednak telefon zdążył ponownie znaleźć się na

stoliku, obok kubka, dzwonek odezwał się raz jeszcze.

— To znowu ja. Zapomniałam o najważniejszym... Pamiętasz może, co ci się dzisiaj śniło?

— Prawie nie spałam... Nie wiem, chyba nic, a dlaczego pytasz?

— Dziś znów miałam ten sen.

Lodowaty dreszcz przebiegł po plecach Magdy.

— Jaki znowu sen? — zapytała, siląc się na obojętność, chociaż doskonale znała odpowiedź.

— Wiesz przecież, dokładnie taki, jak przed śmiercią taty. I taki sam, jak przed katastrofą, w której zginął stryj Wiktor, a potem przed samobójstwem stryjenki. Wiesz, o czym mówię, prawda?

— Tak, wiem — przyznała cicho.

W tamte noce obie śniły dokładnie o tym samym, a potem wielokrotnie wracały do tego w rozmowach. Nie mogła zapomnieć.

— Chciałam ci o tym powiedzieć, żebyście na siebie uważali. Na razie.

Zanim Magda zdążyła się odezwać, jej siostra już się rozłączyła.

Pomimo że bała się zasnąć po tym, co powiedziała jej Marzena, tabletki w połączeniu z melisą i tak zrobiły swoje. Po niecałej godzinie płytkiej drzemki poczuła się zdecydowanie lepiej. Ból prawie minął, więc znów mogła normalnie funkcjonować. A oprócz tego, nic jej się nie przyśniło.

Najpierw spakowała ubrania i przybory toaletowe dzieci i męża, po czym zaniósła je do stojącej na podjeździe corsy. Później wrzuciła do torby swoje rzeczy i już miała wyjść, gdy przypomniała sobie o liście zakupów, którą zostawiła na stole w kuchni. Dopiero tam uświadomiła sobie, że nie sprzątnęła jeszcze rozbitego talerza. Czasu było coraz mniej, więc starała się jak najszybciej uwinąć. Jeden nieuważny ruch i ostra krawędź rozcięła opuszki palców prawej dłoni. Magda spojrzała na płynącą krew i świat nagle zawirował. Pobiegła do łazienki, podniosła klapę sedesu i zaraz potem jej ciałem wstrząsnęły gwałtowne torsje.

I ta reakcja bynajmniej nie była spowodowana widokiem zakrwawionej dłoni.

\*

— Wiesz, Krzysiek, wydaje mi się, że jednak powinniśmy zrezygnować z tego wyjazdu.

Siedziała przy kuchennym stole, trzymając w lewej ręce komórkę. Jej kredowobiała twarz nie wyrażała żadnych emocji, tylko oczy z niezdrowym zainteresowaniem obserwowały spływającą po skaleczonej dłoni krew. Zdenerwowanie zdradzały drżące wargi, które co chwilę musiała z całych sił zaciskać.

— Magda, co ty wymyślasz? Wszystko już ustaliłem tak, by się wyrwać wcześniej.

Próbowała coś z siebie wydusić, ale wzbierający w gardle płacz pozwolił tylko na ciche westchnienie.

— Stało się coś? — Tym razem Krzysiek wydawał się zaniepokojony.

— Skaleczyłam się — szepnęła.

— To coś poważnego? Jeśli tak, zadzwoń po karetkę.

„Kiedyś powiedziałbyś, że zaraz przy mnie będziesz” — pomyślała z żalem.

— Nie, nie aż tak, poradzę sobie. — Teraz nie miała już problemów z mówieniem. Rozzalenie powoli zamieniało się w złość. — Po prostu nie mam siły, trochę źle się czuję. W nocy dostałam okres, a wiesz doskonale, co to dla mnie oznacza. Poza tym skaleczona ręka raczej nie pomoże mi w porządkach...

— Och, ty i te twoje porządki! — zirytował się. — Przecież jedziemy tam wypocząć, a nie do pracy. Mogłabyś choć raz wrzucić trochę na luz.

— Dyskomfort Magdy, związany z miesiączką, jakby zupełnie go nie obchodził.

— Właśnie chcę to zrobić! Od dwóch lat jeździmy co dwa tygodnie do tego pieprzonego Zarzecza. Co dwa tygodnie od początku kwietnia do końca września, jak jakieś pieprzone cyborgi! Nie moglibyśmy chociaż raz tego zmienić?



Po kilku sekundach ciszy odparł spokojnie:

— Po pierwsze, jak wyjeżdżamy na wakacje w lipcu, to nas tam nie ma, czyli NIE ZAWSZE co dwa tygodnie.

Wiedział, jak ją doprowadzić do szału, i tym razem też zamierzał to zrobić. Słyszała to w jego chłodnym, pozbawionym emocji głosie. Doskonale знаła ten sposób mówienia. Cedzone z premedytacją, na pozór beznamiętne słowa.

— Po drugie... — ciągnął — pamiętasz chyba, że już ponad tydzień temu obiecałem Dominikowi, że pogramy w kometkę, i wiesz, jak bardzo się na to cieszy...

— To może pojedziecie tylko we dwóch? Może ja i Damian wcale nie jesteśmy wam...

— Jesteśmy rodziną i wyjeżdżamy razem. A Damian też może do nas dołączyć i będzie...

— O ile wcześniej nie udusi się kurzem z tej pieprzonej chałupy! Przecież jeśli nie posprzątam, to...

— Nie histeryzuj! — przerwał jej ostro. — Może jakby więcej się ruszał, przynajmniej tyle co Dominik, to i te jego dolegliwości by minęły.

— Jasne! A może to tobie najbardziej zależy na tym badmintonie, bo masz nadzieję zrzucić trochę sadła?! Gdybyś mniej siedział przed telewizorem...

— Masz mi jeszcze coś ważnego do powiedzenia czy to wszystko? Zaraz mam spotkanie i szkoda mi czasu na wysłuchiwanie tych pierdół.

— To wszystko, cholerny egoisto!

Nim zdążyła się rozłączyć, usłyszała jeszcze:

— W porządku. Wobec tego widzimy się po południu w Zarzeczu.

O ile w momencie, gdy wybierała numer Krzyśka, zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu o śnie, to w trakcie rozmowy uznała ten pomysł za najgorszy z możliwych. Jej mąż zawsze był sceptyczny odnośnie do przekazywanych mu — jak to określał — „rewelacji” na temat zjawiska niewyjaśnionej więzi łączącej jednojajowe bliźnięta. Magda i Marzena

często na ten temat rozmawiały, a to, czego wspólnie doświadczyły, przekonałoby najgłupszego osła; niestety, jeśli chodzi o niektóre kwestie, Krzysztof w swoim uporze był niedoścignionym mistrzem. Tym bardziej teraz, gdy rozmowa poszła w tym, a nie innym kierunku, wzmianka o jej obawach powodowanych snem, który miały równocześnie, w najlepszym wypadku skończyłaby się kpinami podszytymi sporą dawką sarkazmu.

Gdy trochę ochłonęła, spojrzała na całą sprawę bardziej trzeźwo. Sen niekoniecznie musiał zwiastować nieszczęście w jej najbliższej rodzinie. Przecież zdarzyło się, że był zapowiedzią śmierci stryjenki, a więc osoby niespokrewnionej bezpośrednio z bliźniaczkami, a gdy zaczęła iść tym tropem, uznała, że liczba potencjalnie zagrożonych osób jest na tyle duża, że jej początkowa reakcja była stanowczo przesadzona. Może to nawet i lepiej, że Krzysiek tak kategorycznie postawił sprawę? Jeśli tylko nie zapomni włożyć do torebki tabletek, brzuch będzie ją tak samo bolał w domu, jak w Zarzeczcu, a tam, gdy zajmie się swoimi rzeczami, dużo łatwiej będzie odpędzić ponure myśli związane ze snem. No i brak zasięgu sprawi, że nie będzie musiała co chwilę spoglądać na wyświetlacz. Aż do niedzielного wieczoru.

Nie wiedzieć czemu, przypomniała sobie w tym momencie o teściu, który mieszkał w Krakowie, w prawie stumetrowej kamienicy nieopodal rynku. Był już stary, mocno schorowany, a mieszkanie mogło mieć wartość...

— Dobra, dość tych pierdół — powiedziała do siebie, nie dowierzając, że właśnie teraz myśli o takich rzeczach, po czym wstała zza stołu. — Czas wziąć się w garść, kobieto!

Zaraz potem z irytacją uświadomiła sobie, że w pierwszym zdaniu użyła sformułowania Krzyśka sprzed kilku minut. Mimo wszystko wciąż była na niego wściekła.

\*

Koniec kwietnia dwa tysiące trzeciego roku temperaturami bardziej przypominał początek lata niż ledwie zbliżającą się do połowy wiosnę.

Magda po raz kolejny przekonała się o tym, gdy stała obok auta, zapakowanego już rzeczami niezbędnymi w trakcie weekendowego wyjazdu. Natychmiast zdjęła pikowany płaszcz, który spoczął na tylnym siedzeniu corsy. Na szczęście udało się nie poplamzić go krwią — prowizoryczny opatrunek sprawił się nadspodziewanie dobrze. Przeciągnęła się jak leniwy kocur i rozejrzała wokół.

Otoczające dom krzewy jaśminu już jakiś czas temu wystrzeliły soczystą zielenią, a powietrze nasycone było wonią rozkwitłych kilka dni wcześniej bzów. Stożące szpalerem przy ulicy kasztany zaczynały bielić się pierwszymi kwiatami. Po niebie majestatycznie sunęły puszyste, mleczone cumulusy, zwiastujące dobrą pogodę.

Magda wystawiła twarz do słońca i uśmiechnęła się. „Właśnie tego było mi trzeba” — pomyślała.

Zwykle wyjeżdżała z domu około wpół do dziesiątej. Teraz, pomimo że zbliżała się jedenasta, wciąż nie było jej śpieszno do robienia zakupów. Wprawdzie zaczął się pierwszy poświęcony weekend i tłumów w sklepie raczej nie przewidywała, to jednak chciała jeszcze przynajmniej na jakiś czas opóźnić wyjazd. Spojrzała w kierunku położonego za ogrodzeniem podwórka. Nie dostrzegła ciemnozielonego seata Sylwii, więc raczej nie było jej w domu — sąsiadka zazwyczaj nie fatygowała się wprowadzaniem auta do garażu. Jednak na wszelki wypadek Magda przeszła na posesję obok przez furtkę, która łączyła obie działki. Miała ochotę na chwilę rozluźniającej rozmowy.

Sylwia kupiła swój dom w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, prawie dwa lata po tym, gdy Załuscy skończyli budowę. Wzięła jakiś kosmiczny kredyt, ale twierdziła, że z państwowej pensji powinna go spłacić, nim jeszcze skończy pięćdziesiątkę (biorąc pod uwagę fakt, że niedawno świętowała trzydzieste urodziny, nie była to zbyt optymistyczna perspektywa). Pracowała w szkole podstawowej jako nauczycielka wychowania fizycznego w starszych klasach. Dominik i Damian wręcz za nią przepadali i bez przerwy dopytywali się, kiedy „ciocia Sylwia” będzie miała z nimi lekcje.

Przeszła obok zadbanej rabatki z kwiatami, a potem nacisnęła dzwonek przy szerokich dębowych drzwiach. Po drugiej stronie rozległ się dobrze znany świergot jakiegoś zwariowanego ptaszyska. Gdy po jakimś czasie drzwi się nie otworzyły, irytujący dzwonek odezwał się raz jeszcze. Nie było sensu dzwonić, ale Magdę ogarnął dziwny niepokój. A co jeśli jej przyjaciółce się coś stało? Mieszkała przecież sama, więc w razie czego nie byłoby nikogo, kto mógłby jej przyjść z pomocą.

— W razie czego, kretynko? — mruknęła do siebie. — Przecież jest piątek, a ona ma dziś wolne.

W każdy piątek, gdy pogoda sprzyjała, Sylwia wyjeżdżała za miasto, by się trochę poruszać. Była niezwykle energiczną osobą i pomimo lekcji oraz prowadzenia trzy razy w tygodniu treningów, wciąż było jej mało, więc każdą wolną chwilę spędzała w ruchu. Magda zdawała sobie z tego sprawę, ale obawy nie mijały. Pamiętała przecież, co śniło się jej w nocy. Wprawdzie do tej pory była to zapowiedź śmierci w rodzinie, ale przecież Sylwia była dla niej jak siostra. Dla świętego spokoju wyjęła komórkę i wybrała numer.

— Abonent jest czasowo niedostępny lub ma wyłączony telefon — poinformowała nokia.

Aby rozwiać wszelkie wątpliwości, podeszła do niewielkiego murowanego garażu. Przez okienko zobaczyła, że w środku jest pusto, po czym, ostatecznie uspokojona, wróciła na swoje podwórze.

Siedząc już za kierownicą, znów pomyślała o Sylwii. A jeśli ktoś ją napadł, gdy biegała? Samotna kobieta w lesie to przecież doskonały cel dla jakiegoś...

— Jasne — odpowiedziała swoim myślom i roześmiała się na głos. — Gdyby ktoś był na tyle nierozsądny, żeby zaczepić instruktorkę kendo w lesie, to z pewnością miałby się z pyszna! Kijów ci tam przecież dostatek.

Otworzyła pilotem bramę i, wciąż lekko się uśmiechając, wyjechała na ulicę.

Zmierzając w kierunku centrum handlowego, zwróciła uwagę na wskaźnik paliwa, który sygnalizował pilną konieczność zatankowania. Podjechała na stację i zatrzymała corse przy dystrybutorze. Dokładnie gdy włożyła pistolet do wlewu, przyszło jej do głowy coś, o czym do tej pory zupełnie nie pomyślała.

Zarzecz od kilku miesięcy nie cieszyło się dobrą sławą. Od kiedy w ogródku przy jednym z domków policja znalazła zakopane zwłoki kilku kobiet, ceny posesji, a nawet nieodrolnionej ziemi w tej uroczej miejscowości gwałtownie zwały. Zabójca został wprowadzie skutecznie i na zawsze unieszkodliwiony przez niedoszłą ofiarę, więc teoretycznie zagrożenie minęło, jednak świadomość, że przebywa się, nawet przez niedługi czas, w sąsiedztwie miejsca, w którym rozegrały się sceny jak z brutalnych horrorów, nie należała do przyjemnych.

„A może to chodzi o mnie?”. Do tej pory myślała tylko o innych, a przecież sen o jej rodzinnym domu, zatopionym do dolnej krawędzi okien w krwawej brei, mógł równie dobrze dotyczyć właśnie jej...

— Przepraszam, czy mogę pani pomóc? — Nawet nie zauważyła pracownika stacji, który stał tuż obok niej i przyglądał się z ciekawością. — Pistolet nie działa? Może pani pozwoli...?

— Nie, dziękuję, wszystko w porządku — odparła. — Po prostu na chwilę się zamyśliłam i zapomniałam o bożym świecie.

Odpowiedział jej wystudiowany uśmiech, niezbyt dobrze maskujący opinię mężczyzny na temat „bab za kierownicą”. Zatankowała, zapłaciła przy kasie kartą i odjechała na położony przy stacji parking. Jej myśli nie uspokoiły się na tyle, by mogła od razu prowadzić.

\*

Wpatrując się tępo przed siebie, sama się sobie dziwiła, że sen, który przyszedł nad ranem, przypominał się jej dopiero w chwili, gdy spojrzała na zakrwawioną dłoń. Do tej pory budziła się w środku nocy z krzykiem, cała złana potem. Być może tym razem było inaczej dzięki środkiem nasennym, połkniętym późną nocą w rozpaczliwej próbie, by złapać przed świtem choć chwilę odpoczynku.

Patrząc na całą sytuację z obecnej perspektywy, wolałaby nie zmrużyć oczu nawet na sekundę. Znów ten sam sen. Niesione purpurową falą, odwrócone na wznak ciało małego chłopca zbliżało się, przyprawiając Magdę o atak niekontrolowanej paniki. Ale to jeszcze nie był koniec, to jeszcze nie była pora na przerwanie nocnych wizji. Bładosine zwłoki nieznajomego dziecka zatrzymywały się pomiędzy nią i Marzeną, a malec siadał, zwracał buzię w jej stronę i otwierał oczy. Błękitne, upiornie kontrastujące z wszechobecną czerwienią źrenice wpatrywały się w nią przez chwilę, po czym mały uśmiechał się szeroko, a z jego ust zaczynały wypływać białe, tłuste robaki, z głośnym pluskiem spadające w krwawą maź. Chciała uciekać, ale nie potrafiła zrobić nawet kroku w tył. Wtedy on gwałtownym ruchem przybliżył twarz do jej policzków i zaczął mówić... Ani ona, ani jej siostra (we śnie Marzeny chłopiec zwracał się w przeciwną stronę), nie pamiętały jego słów.

Z zamyślenia wyrwał ją klakson przejeżdżającego obok stacji tira. Wyjęła komórkę, by wybrać numer Krzyśka i oznajmić mu, że z dzisiejszego wyjazdu nici. Po chwili włożyła telefon z powrotem do torebki. Wysiadła z auta, by zaczerpnąć kilka głębokich oddechów. Ten sen był na tyle przerażający, że jego wspomnienie nawet w pełni słonecznego dnia przyprawiało o gęsią skórę i szybsze bicie serca.

Ucieszyła się, zauważając, że przy jednym z dystrybutorów zatrzymuje się ciemnozielona Ibiza Sylwii. Zaraz potem okazało się, że samochód należał do leciwego staruszka, który z trudem wygramolił się z wnętrza. Mimo wszystko myśl o przyjaciółce po raz kolejny tego dnia zmieniła decyzję Magdy.

„Ona nigdy by nie pękła z powodu jakiegoś durnego snu”.

Silnik zaskoczył za pierwszym razem i corsa potoczyła się na podbój centrum handlowego.

\*

Ostatnią rzeczą z listy zakupów, przygotowanej wcześniej, był węgiel drzewny na grilla. Na kartce przy tej pozycji postawiony był mały znak

zapytania, ponieważ Magda nie miała pewności, czy w Zarzeczcu nie zostały jeszcze jakieś zapasy z poprzedniego wyjazdu. Sięgnęła po komórkę, by zapytać Krzyska, jednak ostatecznie zdecydowała, że i tak kupi worek, najwyżej zostanie na następny raz.

„Ten ciamajda i tak by nie wiedział”.

Słowo „ciamajda” pozostało jej w głowie na długo i tłukło się pod czaszką nawet wtedy, gdy mijala rogatki miasta. Nie wiadomo, po raz który uświadamiała sobie, jak bardzo Krzysztof jest nieporadny w zwykłych, codziennych sprawach. Bez niej zginąłby bez reszty, gdyby miał ogarnąć chociaż część spraw związanych z prowadzeniem domu. Dobrze, że przynajmniej starał się pomagać chłopakom w lekcjach i chodził do szkoły na zebrania rodziców.

Co ciekawe, ten obraz zmieniał się diametralnie, gdy jej mąż znajdował się w otoczeniu kolegów z pracy. Nie trzeba było daleko szukać — Krzysztof, który dziś rano przed wyjściem z domu całkowicie dał się zdominować, podczas rozmowy telefonicznej prowadzonej z kancelarii prawnej, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki z misiwatego safandudy przeobraził się w zdecydowanego, nieznoszącego sprzeciwu macho. Była pewna, że rozmawiając z nią, nie pofatygował się, by opuścić pokój, w którym pracowały jeszcze dwie osoby.

„Jak pojawi się w Zarzeczcu, znów będę nim mogła powycierać podłogę”.

W pierwszej chwili rozbawiła ją ta myśl. Jednak zaraz potem Magda zmarszczyła w zadumie czoło.

„A może to jakiś psychol? Może spędziłam kawał życia z jakimś cholernym doktorem Jekylllem i panem Hyde'em w jednej osobie? Może to właśnie on może mi dziś zagrozić?”.

Z jednej strony taka idea była tak niedorzeczna, że aż śmieszna, ale z drugiej... Mało to naczytała się artykułów o takich typach?

W końcu jednak uznała, że zbyt wiele czasu (w tym również podczas wspólnych weekendów poza miastem) spędzili razem, by mogła

potraktować tego typu dywagacje na serio. Przez te wszystkie lata z pewnością by coś zauważyła.

— Ty cholerny debilu! Jak jedziesz?! — krzyknęła do kierowcy w czarnej terenówce, który jadąc z naprzeciwka, wyprzedzał na tyle niebezpiecznie, że aż musiała zjechać na pobocze. Przez przyciemnione szyby nie dostrzegła jego twarzy, ale miała nadzieję, że wyraźnie usłyszał przeciągły dźwięk klaksonu i dokładnie obejrzał sobie wyprostowany środkowy palec, który starała się jak najlepiej wyeksponować w momencie, gdy oba samochody się mijają.

Włączyła radio. *The Show Must Go On*, które rozległo się w niewielkim wnętrzu, zadziało na jej napięte nerwy jak balsam. Nie tylko zapomniała o drogowym incydencie, ale też przestała zamęczać się myślami o zakompleksionym małżonku. Po chwili czystym głosem dołączyła do Freddiego, który nie żył już od ponad jedenastu lat.

\*

Zauważyła go dopiero, gdy zjechała z głównej drogi. Trzymał się w bezpiecznej odległości, najwyraźniej chcąc pozostać nierozpoznanym, ale to, co sprawdziło się na ruchliwej krajówce, na wąskiej asfaltowej drodze prowadzącej do Zarzecza, teraz nie zdało już egzaminu.

Magdzie nie chciało się wierzyć, że kierowca czarnego terenowego auta był aż tak zawzięty, by jechać za nią przez kilkanaście kilometrów, a jednak lusterko wsteczne nie kłamało. Najgorsze było to, że nie dogonił jej natychmiast, tylko czaił się, jakby zamierzał wdrożyć w życie coś więcej niż tylko zwyczajowy w takich sytuacjach zestaw gestów i przekleństw.

— Na cholerę ci to było? — szepnęła, wściekła na siebie, że nie potrafiła powstrzymać emocji. — Musiałaś koniecznie pokazać mu, żeby spierdalał, tak? Lepiej ci się od tego zrobiło?

Kręta droga łagodnymi łukami wznosiła się wśród porośniętych lasem wzgórz. Magda przyspieszyła, żeby przekonać się, czy śledzący ją kierowca zrobi to samo. Przez chwilę nie widziała reflektorów



terenówki, jednak zaraz potem czarne auto wyłoniło się zza zakrętu. Było o wiele bliżej niż jeszcze przed chwilą. Ten ktoś najwyraźniej bał się stracić ją z oczu.

Spojrzała na wyświetlacz telefonu. W sprawie braku zasięgu nic się nie zmieniło, a więc w tej chwili była już zdana tylko na siebie. Najbezpieczniej byłoby teraz dojechać do zabudowań i zatrzymać się przy jednym z zamieszkałych domów (znajdujące się w Zarzeczcu domki letniskowe raczej jeszcze stały puste). Problem w tym, że nie miała pojęcia, w których budynkach ktoś mieszka na stałe, a które są wynajmowane lub używane przez właścicieli tylko w sezonie. Stwierdziła więc, że dojedzie do wjazdu prowadzącego do jej posesji i zobaczy, co robi kierowca terenówki. Przecież chyba jej nie zabije...

Wjechała pomiędzy pierwsze domy. Miała nadzieję kogoś dostrzec przy którymś z nich, jednak wieś wyglądała na zupełnie wymarłą. Czarne auto wciąż jechało za nią w pewnym oddaleniu. Domek należący do Załuskich stał prawie na samym końcu miejscowości; za nim zlokalizowane były najwyżej dwie lub trzy zabudowane działki. Aby do niego dotrzeć, należało skrócić w prawo, w wąską zwirową dróżkę, biegnącą ostro pod górę, między gęsto posadzonymi sosnami. Po przejechaniu około pięćdziesięciu metrów dojeżdżało się do metalowej bramy, stanowiącej wrota do wiejskiej posiadłości. Najgorszy był fakt, że w tym miejscu dróżka się kończyła, jeśli więc czarny samochód wjedzie za nią...

Nie było już czasu na dalsze dywagacje. Skręciła gwałtownie kierownicą i znów dodała gazu, mieląc żwir przyspieszającymi oponami. Nim dojechała do bramy, w lusterku zobaczyła ciemny kształt, który — o dziwo! — pojechał dalej na wprost. Przy swojej działce poczuła się zdecydowanie bezpieczniej. Wysiadła z samochodu i zaczęła nasłuchiwać. Dźwięk potężnego silnika wciąż jeszcze przez jakiś czas był dobrze słyszalny, jednak po chwili zaczął cichnąć.

Otworzyła bramę i wjechała na porośniętą trawą płaską przestrzeń. Na wszelki wypadek zawróciła i stanęła przodem do wjazdu. Chciała

mieć pewność, że ze strony kierowcy terenówki nic jej nie grozi, więc podeszła do otwartej bramy i znów spojrzała w kierunku drogi. Żwirowy podjazd ciągle był pusty, ale kątem oka, pomiędzy rosnącymi z prawej sosnami, dostrzegła delikatny ruch. Skierowała tam wzrok i długo lustrowała przestrzeń pomiędzy drzewami. Była coraz bardziej zdenerwowana.

„Przecież nie zdążyłby dotrzeć tu w tak krótkim czasie!”

Nie odważyła się podejść bliżej. Zamiast tego zamknęła bramę na kłódkę i, wciąż uważnie przypatrując się lasowi za ogrodzeniem, szła powoli w stronę domku. Otworzyła drzwi i ponownie odwróciła się w kierunku sosen. Właśnie wtedy zrozumiała, że gdyby on tam rzeczywiście był, to znalazła się w zastawionej przez siebie pułapce.

„Zalóżmy, że on wychodzi spomiędzy drzew, przeskakuje ogrodzenie, a ty zamykasz się w domku od środka. I co? Nawet zadzwonić nigdzie nie możesz...”

Ale jego nie mogło tam być. Zdawała sobie doskonale sprawę, że te wizje podsuwa jej wybujała wyobraźnia. Jednak na wszelki wypadek postanowiła jeszcze upewnić się, że pomiędzy drzewami nie ma nikogo. Usiadła na schodkach prowadzących na niewielką werandę i zastygła w bezruchu. Miała też nadzieję usłyszeć silnik czarnej terenówki, która zawróciła gdzieś trochę wyżej, a teraz rusza w drogę powrotną — tam, skąd przyjechała.

Po jakimś czasie, gdy Magdzie nie udało się ani nic niepokojącego zobaczyć, ani usłyszeć niczego poza szumem lasu i intensywnym ptasim świergotem, postanowiła odrzucić precz obawy i wziąć się ostro do roboty. Było już wpół do drugiej, a Krzysiek i chłopcy mieli pojawić się około czwartej. Nie zostało już zbyt wiele czasu.

Pierwsze, co musiała zrobić, to otworzyć okiennice, ponieważ odcinały zupełnie dopływ światła z zewnątrz. Zabezpieczające je metalowe sztaby mocowane były śrubami w środku budynku. Gdy do niego wchodziła, zwróciła uwagę na kilka świeżych desek ułożonych na

werandzie w mały stosik. Nie przypominała sobie, by ostatnim razem tam były, ale mogła ich po prostu nie zauważyć.

„Pewnie Krzysiek je po coś przywiózł i potem zapomniał schować do środka”.

Ponieważ ból brzucha znów zaczął się nasilać, zaraz po zapaleniu światła wyjęła z torebki po tabletkę ketonalu i no-spy. Miała nadzieję, że tyle na razie wystarczy. Popiła lekarstwa, po czym ruszyła do największego pokoju, by zająć się odkręcaniem śrub. Była przy trzecim oknie, kiedy usłyszała skrzypnięcie drzwi wejściowych. Zamarła, uświadamiając sobie, że zostawiła je uchylone. Gdy do nich dobiegła, były już zamknięte. Bała się wyjść, choć zdawała sobie sprawę, że drzwi mogły zamknąć się pod wpływem podmuchu wiatru. Klucze, na szczęście, miała w kieszeni, więc włożyła jeden z nich do dziurki i, starając się zrobić to jak najciszej, przekręciła zamek.

Chwilę potem usłyszała dobiegający z drugiej strony piskliwy odgłos pracującej wiertarki.

## **Sylwia**

Czekała na ten dzień z niecierpliwością. Była perfekcyjnie przygotowana, a wszystkie rzeczy niezbędne do realizacji planu już poprzedniego wieczora spakowała do bagażnika seata; pozostawało mieć tylko nadzieję, że wszystko potoczy się zgodnie z zamierzeniami i wydarzenia nie odbiegną nadmiernie od utartego scenariusza. Nie na wszystko mogła mieć wpływ, niemniej jednak poczynione wcześniej obserwacje zdawały się utwierdzać ją w pozytywnym nastawieniu.

Wstała przed szóstą, wypila mocną kawę z ekspresu i mniej więcej od siódmej co chwilę wyglądała przez okno, przez które widać było podwórze Żałuskich. Nie chciała, by umknął jej moment, gdy Krzysztof i chłopcy opuszczą dom. Wyszli mniej więcej za kwadrans ósma, a więc nieco później niż zwykle w piątki. Sylwia z uśmiechem przyglądała się, jak maluchy toczą udawaną wojnę o miejsce na przednim siedzeniu. Uwielbiała ich i te beztrioskie dziecięce zabawy. Z przyjemnością

patrzyła też na Krzyśka, który z anielską cierpliwością starał się pełnić jak najlepiej rolę rozjemcy.

„Ojciec idealny” — pomyślała z czułością.

Gdy odjechali, założyła na siebie wojskowe spodnie koloru khaki, kurtkę moro, ciężkie martensy i zieloną bejsbolówkę. Wyprowadzając samochód z garażu, uważnie przypatrywała się sąsiedniemu domowi; bała się, że Magda może wyjść na zewnątrz. Nawet niezobowiązująca rozmowa zahaczyłaby na pewno o dość nietypowe, jak na planowany trening biegowy za miastem, ubranie.

„Błagam, tylko nie dzisiaj!”

Błagania zostały wysłuchane, ponieważ w drzwiach domu Załuskich nie stanęła jego gospodyni, a szczelnie zasunięte zasłony świadczyły o tym, że nawet nie wyjrzała przez okno.

— Zadanie numer jeden wykonane — zameldowała sama sobie z wyraźnym zadowoleniem w głosie.

\*

Od jakiegoś czasu w małżeństwie Załuskich nie działo się najlepiej. Wiedziała o tym doskonale nie tylko dlatego, że była świetnym obserwatorem — również dlatego, że ostatnio Magdzie coraz częściej zdarzało się w czasie niezobowiązujących babskich pogaduszek narzekać na Krzysztofa. Sylwia nie mogła dopuścić, by proces ten postępował dalej, dlatego postanowiła działać. Coś z tyłu głowy podpowiadało jej, że plan jest trochę zwariowany, ale czego się nie robi dla przyjaciół!

Dobrze знаła drogę do Zarzecza, również dlatego, że od czasu do czasu była zapraszana do domku sąsiadów, nawet na kilkudniowe pobyty. Tydzień przed Wielkanocą, a potem jeszcze raz, w Wielką Niedzielę, wybrała się tam już sama. Za pierwszym razem nikt jej nie zauważył, a za drugim takie niebezpieczeństwo już nie groziło, ponieważ w najbliższej okolicy domku Załuskich nie było zamieszkanego domostwa.

Na miejscu była po niecałej półgodzinie jazdy, która minęła nie wiadomo kiedy. W drodze Sylwia zastanawiała się raz jeszcze, czy wszystkie elementy niespodzianki (a właściwie Niespodzianki) ma dokładnie przemyślane. Jedyne, czego się obawiała, to przyjazdu Magdy z jej rodzicami. Zdarzało się to czasem w przeszłości, ale uspokajające było to, że podczas ostatniej rozmowy jej przyjaciółka nie wspomniała o tym ani słowem.

„Wszystko by się skomplikowało — pomyślała. — Bądźmy jednak dobrej myśli...”

Chwilę wcześniej minęła odchodzącą w prawo dróżkę, prowadzącą do domku Załuskich, i wjechała w następną, niemal identyczną, która świetnie maskowała ciemnozieloną ibizę.

Minęło wpół do dziewiątej, więc Magda powinna wyjechać z domu za jakąś godzinę. Jeśli dodać do tego zakupy i podróż, to nie powinna być w Zarzeczcu wcześniej niż o wpół do jedenastej. Dwie godziny — sporo czasu, ale Sylwia musiała przecież dobrze się przygotować na jej przyjazd. Natychmiast przystąpiła do pracy, a kwadrans po dziesiątej, gdy wszystko już zrobiła, usiadła wśród drzew w miejscu, z którego jak na dłoni widać było wijącą się przez wieś drogę.

\*

Po dwunastej zaczęła obawiać się, że jednak wszystko weźmie w łeb. Magdy nie było zbyt długo, chyba że faktycznie nagle wpadła na pomysł, by przywieźć z sobą swoich staruszków, ale wtedy... też by się przecież nie udało zrealizować planu.

„Poczekam jeszcze. Zbyt wiele czasu poświęciłam”.

Gdy minęła trzynasta, Sylwia zaczęła zastanawiać się, czy może cała rodzina Załuskich po prostu nie przyjedzie tego dnia razem. Był wprawdzie problem z Damianem, ale przecież chłopiec mógłby poczekać na zewnątrz, zanim kurze nie zostaną pościerane...

I wtedy ją zobaczyła. Corsa wyłoniła się zza zakrętu, a Sylwia uśmiechnęła się i wstała. Zaraz potem dojrzała jadącą w pewnej odległości za Magdą terenówkę. Ruch na drodze był wręcz śladowy,

więc dwa jadące jeden za drugim samochody nie były częstym widokiem.

„Możliwe, że jadą razem...”.

Kiedy jednak terenówka pojechała dalej, Sylwia szybkim krokiem ruszyła pod górę, w stronę domku. Nie chciała się ujawnić, przynajmniej jeszcze nie teraz, więc ostrożnie przemykała pomiędzy drzewami. Mimo tego Magda i tak ją dostrzegła. Stała przy ogrodzeniu, patrząc na...

„Jednak nie. Zaczęła się rozglądać, więc najwyżej tylko zainteresował ją ruch. Muszę być ostrożniejsza! Byle tylko nie zaczęła iść teraz w moją stronę, bo wszystko by zepsuła”.

Aż do momentu, gdy Magda zniknęła we wnętrzu domku, Sylwia ani drgnęła.

## **Magda**

Serce waliło jej jak młotem, a lodowaty pot cieniutkimi strużkami spływał po twarzy. Nie miała pojęcia, jak to się stało, że tak łatwo udało mu się ją podejść. Była pewna, że silnik terenówki nie został wyłączony, a po prostu ucichł w oddali. Teraz jednak okazało się, że się myliła. Będąc w domu, nie wsłuchiwała się już zbyt w odgłosy dobiegające z dworu. Cholerny błąd!

Siedziała nieruchomo na podłodze, tuż przy drzwiach. Wiedziała też, że teraz już nie jest w stanie ich otworzyć. Wciąż pracujące urządzenie nie wierciło otworów, ale najwyraźniej miało za zadanie za pomocą wkrętów i desek uwięzić ją w domku. Drzwi otwierały się na zewnątrz, więc do tego celu tak naprawdę wystarczyłaby jedna poprzecznie przykręcona deska. Jednak ten ktoś pracował bardzo skrupulatnie i najwyraźniej zamierzał dla pewności użyć wszystkich.

„Że też Krzysiek musiał o nich zapomnieć...”.

Zupełnie nie wiedziała, co robić. Była uwięziona, ale mimo tego chwilowo czuła się w miarę bezpieczna. Urządzenie ucichło, a na werandzie rozległy się ciężkie kroki. Facet z terenówki spacerował tam

i z powrotem, jak stróż, który ma za zadanie pilnie strzec powierzonego mu majątku.

— Czego pan ode mnie chce? — usłyszała swój chrapliwy głos. — Proszę mnie stąd wypuścić — dodała bez przekonania, bo wcale nie była do końca pewna, czy tak naprawdę chce stanąć twarzą w twarz z napastnikiem.

Spojrzała na zegarek. Krzysiek z dziećmi będą najwcześniej o czwartej, czyli za jakieś dwie godziny.

„Do tego czasu może ze mną zrobić wszystko, na co tylko przyjdzie mu ochota...”

— Halo, proszę pana! Wiem, że nie powinnam w taki sposób zareagować tam, na drodze, ale to chyba nie jest powód... Hmm... To znaczy chciałam bardzo przeprosić. Poniosło mnie, nie powinnam tak się zachować, przepraszam.

Czuła, że najważniejsze teraz, to wciągnąć go w rozmowę. Gdy tylko się odezwie, z pewnością później będzie już łatwiej.

— Wiem, że pan tam jest. Naprawdę, bardzo mi przykro...

Usłyszała, jak napastnik schodzi po schodkach, a zaraz potem trawa wytłumiła jego kroki.

„Może to już? — zapytała z nadzieją w myślach samą siebie. — Dał nauczkę głupiej babie i może pójdzie swoją drogą...”

Chciałaby, żeby to była prawda, jednak coś podpowiadało jej, że to na pewno jeszcze nie koniec. Cicho przeszła do kuchni i wyjęła z szuflady najbardziej masywny nóż, jaki udało jej się znaleźć. Zaraz potem skierowała się w stronę okna, by zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz. Przy odrobinie sprytu można było na tyle wypchnąć sztabę, by rozszczelnić zewnętrzne okiennice. Gdyby tylko mogła go zobaczyć, gdyby wiedziała, w którym miejscu się znajduje...

Spróbowała lekko popchnąć gwintowany drut, przyspawany do zewnętrznej sztaby, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu. Napała mocniej — również nic. Próby przy drugim oknie przyniosły dokładnie ten sam skutek.

W tym momencie zgasło światło.

Magda znalazła się w całkowitych ciemnościach. Mikroskopijne szparki w okiennicach były na tyle małe, że ani nie rozpraszały mroku, ani nie dało się przez nie zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz. Po omacku przeszła do kuchni i z jednej z szuflad wyjęła paczkę zapalek. Ciemną przestrzeń rozświetlił słaby płomyk.

Znów usłyszała kroki na werandzie. Zapaliła kolejną zapalke i podeszła do drzwi.

— Bardzo pana proszę, niech mi pan da spokój... — Choć starała się ze wszystkich sił, nie potrafiła zapanować nad drzeniem głosu.

Cisza.

„Mógłby się chociaż słówkiem odezwać, do cholery”.

— Jeśli pan mnie za chwilę nie wypuści, będę musiała zadzwonić na policję. Nie wiem, czy zdaje sobie pan sprawę, że narusza pan cudzą własność, a ponadto pozbawił pan wolności...

Huk, który dobiegł od strony drzwi, zabrzmiał jak wystrzał z karabinu. Odskoczyła odruchowo i łapiąc gwałtownie oddech, oparła się plecami o ścianę.

„Facet kopie w drzwi, zaczyna być agresywny. Niedobrze...”.

Niepotrzebnie wspominała o policji, tym bardziej że komórka nie miała tutaj zasięgu. Ale przecież on nie musiał tego wiedzieć... Znów zapaliła zapalke i spojrzała na zegarek. Minęło zaledwie pięć minut. Nie może go denerwować, bo nie dożyje do czwartej...

Przypomniała sobie słowa Krzyśka, który dwa dni wcześniej zaproponował, by zaprosili na weekend Sylwię.

„Gdyby tu była, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. Na pewno dałaby nieźle popalić temu skurwielowi!”.

Przyjaciółka często była dla niej inspiracją. Podziwiała ją za zdecydowanie i bezkompromisowość. W takiej sytuacji Sylwia na pewno nie dałaby się zastraszyć byle stukniętemu pajacowi.

— Sam się o to prosiłeś, gnoju! — krzyknęła do zamkniętych drzwi.  
— Właśnie wybieram numer policji, więc lepiej dla ciebie będzie, jeśli



znikniesz stąd, zanim przyjadą.

Mogłaby przysiąc, że z drugiej strony dobiegł zduszony chichot, a zaraz potem znów dało się słyszeć odgłos kroków na schodach.

\*

Magda usiadła na wprost drzwi. Z zewnątrz docierały do niej beztroskie głosy ptaków. Zastanawiała się nad tym, w jak głupi sposób dała się odciąć od słonecznego, ciepłego dnia. Co jakiś czas zapalała zapałkę, by sprawdzić godzinę.

Przez chwilę w jej głowie zakiełkowała nadzieja. Przypomniała sobie o małym pokoiku, w którym Krzysztof trzyma narzędzia — między innymi siekierę i piłę łańcuchową. Rozważała, w jaki sposób mogłaby ich użyć, gdy uświadomiła sobie, że do pokoju prowadzą masywne metalowe drzwi, które mają chronić co cenniejsze rzeczy przed złodziejami, a klucz do nich Krzysiek ma zawsze przy sobie. Nadzieja zgasła dokładnie tak samo, jak następna, bezużyteczna już zapałka. Kolejne dziesięć minut przybliżyło ją do przyjazdu Krzysztofa.

„Boże, żeby już była czwarta!”

Znów kroki na schodach, a potem na werandzie.

— Policja już jedzie! — krzyknęła. — Odebrali telefon i powiedzieli, że będą najpóźniej za dziesięć minut!

— Jakim cudem, skoro nie masz tu zasięgu?

Poderwała się na równe nogi. Ten głos poznałaby wszędzie!

— Sylwia! Bogu dzięki! — Poczula, jak łzy radości napływają jej do oczu. — Jezu, a skąd ty się tu wzięłaś? Zresztą nieważne! Boże, jak się cieszę — trajkotała. — Myślałam, że ten wariat naprawdę mi coś zrobi. Szybko, otwórz drzwi, a jak się nie da, to przynajmniej okiennice, bo ten psychol mnie tu na amen uwięził...

— Poczekaj chwilę.

Sylwia zeskoczyła z werandy. Magda w tym czasie odmawiała dziękczynne modlitwy i cieszyła się na myśl o rychłym oswobodzeniu ze swojej ciemnicy. Tymczasem zamiast dźwięków odbijanych desek

lub przynajmniej otwierania okiennic, usłyszała uruchomiony silnik corsy.

„No tak. Zabrałam ze środka torebkę, a kluczyki zostały w stacyjce. Co za idiotka ze mnie!”

Samochód podjechał przed dom. Zaraz potem silnik przestał pracować. Trzasnęły drzwi. Znów kroki na schodach i głos Sylwii zza drzwi:

— Jakoś tak dziwnie stanęłaś. Jak Krzysiek przyjedzie z dziećmi, to przestraszy się, pomyśli, że się coś stało...

— No bo... stało się! Gdyby nie ty... No ale nie to jest już teraz najważniejsze. Chciałabym stąd jak najszybciej wyjść. Pomożesz mi?

Chwila ciszy, która nastąpiła w tym momencie, była najbardziej niespodziewaną w niemal czterdziestoletnim życiu Magdy. Zaraz potem usłyszała jeszcze bardziej nieoczekiwane słowa:

— Przykro mi, moja droga, ale nie.

\*

W pierwszej chwili łudziła się, że skoro Sylwia nie pozwala jej wyjść z domku, to robi to dlatego, że nie jest jeszcze do końca bezpiecznie, jednak po chwili, gdy Magda usłyszała miarowe kroki na werandzie, przestała mieć złudzenia. Sposób ich stawiania, częstotliwość i siła nie pozostawiały wątpliwości — na zewnątrz od samego początku była jedna i ta sama osoba.

— Sylwia? Posłuchaj, proszę, wypuść mnie. To wcale nie jest zabawne.

Kroki ustały.

— Dlaczego mnie zamknęłaś? Co się stało?

Odpowiedziała dopiero po dłuższym czasie:

— Posłuchaj, masz wspaniałego męża i cudowne dzieciaki, a tylko w kółko narzekasz. Nawet, kurwa, nie wiesz, jak wielu ludzi na świecie chciałoby mieć taką rodzinę.

Mówiła spokojnie, niemal beznamiętnie, a wtrącone przekleństwo zupełnie nie pasowało do tego tonu. W uszach Magdy zabrzmiało ono

tym bardziej złowieszczo, że Sylwia nigdy nie używała wulgaryzmów.

— Wiesz o tym, że wychowałam się w pierdolonym domu dziecka — ciągnęła. — Zawsze chciałam mieszkać z rodzicami, ale oni mieli gdzieś mnie i wszystkie moje marzenia. Nie tylko jako twoja przyjaciółka, ale też jako nauczyciel, który zawsze powinien dbać o los dzieci, nie mogę beczynnie patrzeć, jak marnujesz życie twojej rodziny...

— Sylwia, posłuchaj, przecież w naszym małżeństwie nie dzieje się źle. Ot, czasem są jakieś nieporozumienia...

— Zamknij się, idiotko! — wrzasnęła, a po sekundzie kontynuowała tonem identycznym jak poprzednio: — Nie rozumiesz, że od tego wszystko się zaczyna? Później będzie już tylko gorzej, aż w końcu dojdzie do rozwodu. Dzieci będą rozdarte pomiędzy miłością do ojca a koniecznością mieszkania z matką. Nigdy nie będą szczęśliwe. Za bardzo mi zależy na ich szczęściu i nie dopuszczę do tego, czy ci się to podoba, czy nie.

Magda w osłupieniu słuchała słów kobiety, którą przez lata miała za przyjaciółkę. Teraz już nie miała wątpliwości — Sylwia po prostu oszałała. Postanowiła jednak spróbować jeszcze raz:

— Masz rację, prawdopodobnie źle oceniłam całą sytuację. Obiecuję, że teraz się poprawię i jestem ci bardzo wdzięczna za zwrócenie uwagi. Zobaczysz, zrobię wszystko, aby dzieci były szczęśliwe. Możesz mnie teraz wypuścić?

Znów usłyszała miarowe kroki.

— Sylwia, proszę. Masz stuprocentową rację. Wypuść mnie, napijemy się razem herbaty i porozmawiamy o tym na spokojnie.

— Nie mogę cię wypuścić — odparła. — Po pierwsze dlatego, że już między nami nigdy nie byłoby tak jak dawniej, a mnie bardzo zależy na twojej przyjaźni.

— Ależ nie masz racji! Wręcz przeciwnie! Bardzo się cieszę, że jesteś ze mną szczerą i to może tylko scementować naszą...

— Zamknij się, suko — przerwała jej ze spokojem, wciąż spacerując po werandzie. — Nie myślisz chyba, że za to wszystko, co zrobiłaś, nie

spotka cię zasłużona kara?

\*

Dalsza rozmowa nie miała dla Magdy sensu. Stało się dla niej jasne, że musi wydostać się z domku, bo inaczej Sylwia, w której głosie z każdą chwilą słychać było więcej szaleństwa, naprawdę może ją skrzywdzić. Przyświecając sobie zapalkami, ruszyła w głąb budynku, by raz jeszcze sprawdzić okiennice. Kiedy podeszła do pierwszej z nich i używając wszystkich sił, próbowała ją odryglować, z zewnątrz dało się słyszeć lekkie pukanie, a zaraz potem cichy głos:

— To wszystko na nic, kochana. Okiennice są od mojej strony solidnie zablokowane. Miałam mnóstwo czasu dziś rano. Nie wątpiłam, że jak przyjedziesz, nie zwrócisz na to uwagi, jesteś zbyt tępa do takich rzeczy. — Na chwilę przerwała; Magdzie znów zdawało się, że słyszy dziwny dźwięk, najprawdopodobniej zduszony śmiech. — Bałam się tylko, że zauważysz deski, które musiałam zostawić na werandzie. Na szczęście jesteś większą idiotką, niż myślałam.

— Czego ode mnie chcesz? — Nowa nadzieja wiązała się z wrodzoną gadatliwością Sylwii. Jeśli, jak jej się czasami wcześniej zdarzało, zacznie gadać, jest szansa, że zapomni o upływającym czasie, a dzięki temu Krzysiek zdąży, nim stanie się coś naprawdę złego. — Dlaczego mnie zamknęłaś? Przecież równie dobrze mogłaś mnie ukarać bez tych całych przygotowań. Wiesz, że nie dałabym ci rady.

— Chciałam wcześniej na spokojnie z tobą porozmawiać, żeby w pełni mogło do ciebie dotrzeć, jak wiele zła wyrządziłaś swojej rodzinie. Poza tym kara dopiero wtedy jest skuteczna, gdy winowajca wie, za co go ona spotkała — tłumaczyła spokojnie i cierpliwie, jak małemu niezbyt rozgarniętemu dziecku.

Magda zapaliła przedostatnią zapalkę, zlokalizowała łóżko i usiadła na jego skraju. Była zdenerwowana, ale nie na tyle, by przestać logicznie myśleć.

— Co zamierzasz ze mną zrobić? — zapytała. — W jaki sposób mnie ukarzesz?

Najbardziej bała się podpalenia budynku, ale mimo wszystko nie mogła sobie wyobrazić, by Sylwia, nawet w tym stanie, była zdolna do czegoś tak okrutnego.

— Krzysiek z dziećmi powinni się pojawić gdzieś tak około czwartej, prawda? — usłyszała z zewnątrz; a więc jednak Sylwia kontrolowała czas. — Zawsze tak przyjeżdżają, więc pewnie i dziś nie będzie inaczej...

— Od dawna obserwujesz nasze wyjazdy? — Magda poczuła, jak cieniutkie włoski podnoszą się na jej karku, a ciałem wstrząsa lodowaty dreszcz. — Zdaje się, że tak, skoro tak dobrze znasz nasze zwyczaje.

— Oczywiście, kretynko! — Głośno się roześmiała. — Myślisz, że dlaczego zawsze mam wolne piątki? — Teraz Sylwia wręcz zanosila się chorem, wymuszonym śmiechem, rechotała tak, jakby chciała przekonać nie tylko Magdę, ale też samą siebie, że powiedziała przed chwilą coś naprawdę bardzo zabawnego.

— Zwariowałaś — powiedziała spokojnie Magda, gdy na zewnątrz wreszcie zapanowała cisza. — Wiem, że nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale potrzebujesz lekarza.

Rechot samoistnie przeszedł w szaleńcze rzenie.

— Coś... ty... powiedziała? — Tu nastąpiła przerwa na nabranie powietrza. — Lekarza?! A po co mi lekarz na dwie godziny przed śmiercią? — Teraz śmiech zabrzmiał już naturalnie.

Magda wsłuchiwała się w następujące jedna po drugiej eksplozje wesołości, ale jej nie było wesoło nawet przez chwilę.

„Dwie godziny przed śmiercią?”

Potarła o draskę główkę ostatniej zapalniczki i spojrzała na zegarek. Kilka minut temu minęło wpół do trzeciej. Czas płynął zdecydowanie zbyt wolno.

Kiedy Sylwii udało się już uspokoić, Magda zapytała:

— Co dla mnie szykujesz? Jaka to będzie kara? Mam nadzieję, że weźmiesz pod uwagę fakt, że przyznałam ci rację i obiecałam poprawę?

— Za późno, kochana, za późno. Teraz to już musztarda po obiedzie. Powinnaś była sama wcześniej zmienić swoje postępowanie.

— Nie zawsze jesteśmy w stanie sami to zrobić, prawda? Czasem mogą w tym pomóc dobrzy przyjaciele...

— Nie bierz mnie pod włos, kurewko! — krzyknęła. — Nie jesteś na tyle głupia, by tak karygodne błędy popełniać nieświadomie! — Nawet przez ścianę słychać było jej ciężki oddech. — Powiedz, robiłaś to specjalnie, prawda? — dodała po chwili, o wiele spokojniej. — Z premedytacją chciałaś zniszczyć swoje małżeństwo i umieścić bliźniaki w domu dziecka?

Magda nie miała pojęcia, czy w tej sytuacji lepiej zaprzeczać, czy też skwapliwie przytakiwać. Postanowiła, że dla własnego bezpieczeństwa po prostu nie odpowie na to pytanie.

— Więc co mi zrobisz?

— Użyję tego. — We wnętrzu domku dał się słyszeć pobrzmiwający metalicznie stukot. — Wiesz co to jest?

— Nie mam pojęcia.

— Mój ostatni nabytek. Oryginalna japońska katana. Wiesz co to katana?

— Nie mam pojęcia.

— Naprawdę, skaranie boskie dla tych maluchów, że mają taką durną matkę. Ale to już niedługo. To miecz samurajski, idiotko! Piekielnie ostry i zabójczo skuteczny miecz samurajski.

„To już niedługo?”

— Nie dostaniesz mnie tak łatwo, wariatko! — krzyknęła Magda. — Wiesz, że mamy tu pomieszczenie z metalowymi drzwiami, do którego nie dasz rady się dostać. Jak tylko usłyszę, że próbujesz wejść, natychmiast się w nim zamknę i tyle będzie z twojej zasranej kary.

„O ile zaraz potem nie podłożysz ognia”.

— Przecież klucze od tego składziku ma zawsze przy sobie Krzysztof, prawda? — Po raz pierwszy głos Sylwii zdradzał nieskrywane

zdumienie. Przez chwilę milczała, by odezwać się jeszcze bardziej zdziwionym głosem: — A po co niby miałabym wchodzić do środka?

— Przed chwilą powiedziałaś, że ukarzesz mnie za pomocą miecza...

— Zaczynała mieć coraz gorsze przeczucia. — Jak to zrobisz, nie wchodząc do środka...?

— To przecież oczywiste i dziwię się, że tak proste rzeczy muszę ci tłumaczyć. Jestem tu po to, by ukarać CIEBIE! A w jaki sposób mogę to zrobić najbardziej skutecznie? Myślisz, że gdybym pocięła cię na strzępy, to kara byłaby dotkliwa? — W jej głosie wciąż było słychać zdziwienie. — Ty naprawdę jesteś głupsza, niż myślałam!

Magda, pomimo że bliska omdlenia i pełna jak najgorszych przeczuć, zdołała zapytać:

— Co więc chcesz zrobić?

— Zamierzam zadać moją kataną kilka bardzo precyzyjnych cięć, ale nie tobie, głupia kretynko. Chodzi mi o to, by blizny po tych cięciach goiły się w twojej duszy bardzo, bardzo długo — to dużo gorsze od ran na ciele... Mam mówić dalej?

— Nie, proszę... — Niemal sama nie słyszała własnego głosu.

— Za dwie godziny będziesz wdową. Do tego bezdzietną. Sama sobie na to zasłużyłaś. A dla nich to też będzie najlepsze wyjście. Krzysiek i chłopcy nie są niczemu winni, więc po co dłużej mają się z tobą męczyć? Pomogę im i wyzwolę od ciebie. W drugim życiu na pewno mi podziękują...

— Nie! Błagam cię, Sylwia! Jeśli chcesz kogoś skrzywdzić, to nie chłopców. — Szloch dławił jej głos w gardle, a łzy spływały po policzkach. — Zrób ze mną, co zechcesz, ale nie rób krzywdy chłopcom, nie krzywdź Krzyśka...

— Spokojnie, Madziu — usłyszała. — Przecież wiesz, że kocham ich jak własną rodzinę i nie pozwoliłabym ich skrzywdzić...

— Dlaczego więc bawisz się ze mną w tak okrutny sposób? — łkała Magda. — Czemu mnie straszysz?!

— Zrobię to tak, żeby nie cierpieli. Nie ma wprawdzie osób, które mogłyby to stwierdzić z pewnością, ale naukowcy uważają, że precyzyjne i szybkie odcięcie głowy jest całkowicie bezbolesne. W tym przypadku będzie to jedna głowa i dwie główki — dodała po chwili, hamując wesołość. — Może być trudno, ale jakoś sobie powinnam poradzić. Lata treningów nie poszły chyba na marne, jak sądzisz?

Ostatnie słowa powiedziała, stojąc już w pewnym oddaleniu od okna. Zaraz potem od strony drzwi wejściowych Magda usłyszała jej wesołe pogwizdywanie.

\*

Gdy minął pierwszy szok, po omacku dotarła do kuchni. Przetrzęsła szuflady w poszukiwaniu zapalek, jednak okazało się, że paczka, którą już zużyła, była ostatnią. W powrotnej drodze potknęła się o stojący na środku taboret, po czym zabrała go do pokoju. Był na tyle ciężki, że mogła za jego pomocą pokusić się o próbę sforsowania którejś z okiennic, jednak logika podpowiadała, że nic by to nie dało. Sylwia z pewnością czekałaby na nią po drugiej stronie i na pewno skutecznie zapobiegłaby ucieczce.

Z zewnątrz dobiegało miarowe dudnienie kroków w rytm Montypythonowskiego *Always Look on the Bright Side of Life*. Skuliła się na łóżku, niezdolna do jakiegokolwiek reakcji. Trzęsa się jak w febrze, a łyzy bezsilności i strachu, jedna po drugiej, wsiąkały w poduszkę. „Musisz coś zrobić, musisz coś zrobić...” — powtarzała w myślach, lecz żaden pomysł nie przychodził jej do głowy. Na ile było to możliwe w jej stanie, analizowała możliwości wydostania się z pułapki, ale każdą z nich musiała odrzucić.

Gdyby tylko mogła dać komuś znać, gdyby udało jej się sprawić, żeby Krzysiek z chłopcami nie przyjechali... Nagle usiadła. Myśl, która zaświtała jej w głowie, była prawie tak szalona, jak spacerująca po werandzie kobieta, niemniej jednak dawała jakiś cień szansy.

— Magda? — usłyszała głos z zewnątrz. — Posłuchaj, zmieniłam zdanie... Byłaś jednak przez te lata moją przyjaciółką, więc pójdę ci na



rękę.

Chwila ciszy.

— Jesteś tam? Żyjesz?

— Tak, jestem — odparła. — Poczekaj, podejść do drzwi...

Nadzieja znów ożyła.

— Posłuchaj... — usłyszała, gdy stanęła w korytarzu — będziesz ukarana, ale to wcale nie znaczy, że przestałam cię lubić. Dlatego pozwolę ci na jedną decyzję.

— Po prostu mnie wypuść i zapomnijmy o wszystkim, błagam...

— Nie zostawię cię samej — ciągnęła, zupełnie nie zważając na słowa Magdy. — Postanowiłam być wspaniałomyślna i zostawić ci jednego z bliźniaków.

— Co powiedziałaś?!

— Jesteś głupia, ale chyba nie głucha? Daję ci godzinę czasu na decyzję. Jeśli nie wybierzesz jednego, zginą obydwaj. — Jej zdecydowany ton nie pozostawiał wątpliwości, że zrobi dokładnie tak, jak zapowiedziała. — Masz godzinę, a nie, już tylko pięćdziesiąt dziewięć minut, i ani sekundy dłużej. Myśl, moja droga, myśl... Który z twoich milusińskich zostanie dziś jeźdźcem bez głowy? — Zachichotała.

— Jak możesz? Ty wredna kreaturo, jak w ogóle śmiesz...

— Nie mów tak do mnie, bo zmienię zdanie — przerwała jej chłodno.

— Jeszcze raz tak się do mnie odezwiesz i możesz zapomnieć o propozycji.

— Przecież wiesz, że matka nie może skazać na śmierć swojego...

— Spójrz na to z drugiej strony — przerwała. — Pomyśl, że w ten sposób uratujesz swoje dziecko, a nie skążesz na śmierć. Zawsze patrz na jasną stronę życia! — Roześmiała się i znów zaczęła pogwizdywać motyw z piosenki Monty'ego Pythona.

Magda wróciła do pokoju, bliska obłędu. W ciemnościach odnalazła taboret, stłukła szybę w oknie i zaczęła miarowo uderzać w okiennicę.

— Ratunku! — krzyknęła z całych sił. — Niech mi ktoś pomoże! Pomocy! Błagam, pomocy!

Zaraz potem pomiędzy uderzeniami usłyszała nasilające się metaliczne stukanie. Próbowwała je zagłuszyć krzykiem i hałasem. Jak zimny prysznic podziały na nią dopiero słowa:

— Jeszcze chwila i moja oferta przestanie być aktualna.

Z płaczem upadła na łóżko, czując, jak fragmenty szyby ranią jej ciało. Nie potrafiła, nie chciała podjąć tej decyzji, a z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że jeśli tego nie zrobi, to w ten sposób odbierze jakiegokolwiek szanse obu chłopcom.

— Grzeczna dziewczynka — dobiegło z zewnątrz. — A zresztą nawet jakby ktoś cię usłyszał i tu przyszedł, to tylko tyle byś zwojowała, że miałabym okazję wcześniej wypróbować moją szabelkę.

Magda wstała, zrzuciła na ziemię pokrytą szkłem kołdrę i ostrożnie przeszła do kuchni. W jednej z szafek wymacała prostokątną apteczkę. Wyłożyła z niej wszystko na stół, po czym wybrała niewielką plastikową butelkę. Nie była pewna, czy na pewno jest w niej to, czego szuka. Czasem przesypywała pigułki z większych do mniejszych opakowań, zdarzało się też, że przekładała je do niewielkich pojemników z niewygodnych blistrów. Nieporządek, który panował w apteczce, nie stanowił problemu, gdy można było dokładnie obejrzeć każdą z tabletek. Teraz sprawa była o wiele trudniejsza, jednak Magda przypominała sobie, że w jednej z buteleczek powinny znajdować się pigułki relanium. Przywiozła je już dość dawno, zaraz po zakupie domku. Nie mogła przyzwyczaić się do panującej tu w nocy ciszy, więc czasem wspomagała się środkami nasennymi. Teraz znów zamierzała ich użyć, mimo że prawdopodobnie były już przeterminowane.

W pojemniku wyczuła dwa rodzaje tabletek. Zdając się na dotyk, oddzieliła jedno od drugich. Tych, które brała za relanium, było siedem.

— Jest za dziesięć trzecia! — krzyknęła Sylwia. — Zostało ci jeszcze czterdzieści osiem minut. Wiesz już, który to będzie?

— Spierdalaj, dziwko — mruknęła pod nosem.

Ważyla na dłoni pigułki, jakby zastanawiając się, czy taka dawka będzie odpowiednia. Wiedziała, że bezpiecznie może wziąć dwie, najwyżej trzy. Przy czterech zaczynało się pewne ryzyko. Ostatecznie odłożyła na stół dwie, po czym pozostałe wzięła do ust, długo gryzła, a następnie popiła wodą z kranu. Zależało jej, aby zadziałały jak najszybciej i jak najbardziej skutecznie.

\*

Wróciła do łóżka. Zanim jednak się na nim położyła, raz jeszcze przemierzyła pomieszczenie i wyjęła z torebki komórkę. Leżąc już, sprawdziła na wyświetlaczu godzinę. Za cztery trzecia.

„Krzysiek z chłopcami wyjadą pewnie jak zwykle, o wpół do czwartej”.

Przypatrywała się komórce, mając nadzieję, że zobaczy choć jedną kreskę świadczącą o tym, że stał się cud i złapała jednak zasięg. Dla spokoju sumienia spróbowała wybrać numer alarmowy. Bezskutecznie.

Tabletki relanium powinny zadziałać mniej więcej po godzinie. Nie wiedziała, czy ryzykownie zwiększona dawka i przełknięcie jej w rozdrobnionej postaci mogły przyspieszyć reakcję organizmu, ale nie miała nic do stracenia. Natomiast do zyskania niewyobrażalnie wiele. Teraz chciałyby, żeby czas zwolnił, ale minuty biegły bezlitośnie.

„Którego bym ocaliła?”.

Sam fakt, że takie pytanie przeszło jej przez myśl, spowodował, że poczuła do siebie obrzydzenie.

„Ale przecież jeśli się nie uda, zginą obaj...”.

Pamiętała, że Dominik był ostatnio wobec niej wrogo nastawiony. Co będzie, gdy zacznie dojrzewać? A ona przecież będzie sama, nie będzie miała Krzyśka, który w razie potrzeby na pewno by ją wsparł.

„Z Damianem byłoby mi łatwiej”.

On z kolei był słaby i chorowity. A jeśli alergia przerodzi się w astmę? Potrzebne będą lekarstwa, a przecież nie wiadomo, jak będzie wyglądać ich sytuacja materialna. Przecież będą zdani tylko na siebie...

Przerazający był chłód, z jakim oceniała możliwe scenariusze, ale tak naprawdę nie wiedziała, czy takie rozważania rzeczywiście są oznaką jej wyrachowania. Wyrachowania w najgorszym, oddalającym ją o lata świetlne od człowieczeństwa znaczeniu.

— Trzydzieści pięć minut — dobiegło zza drzwi. — Lepiej się pośpiesz!

Jak mogłaby kiedyś spojrzeć ocalonemu synowi w oczy? Przecież prędzej czy później dowiedziałby się o tym, co stało się z jego bratem. Wiedziała, jak ważna jest dla niej Marzena, więc decydując o śmierci jednego z bliźniaków, tego drugiego unieszczęśliwiłaby na zawsze. No i czy sama dałaby radę z tym żyć? Może depresja pchnęłaby ją do samobójstwa i wtedy Damian zostałby...

Usiadła na łóżku. A więc jednak już podjęła decyzję?

„Boże święty! Błagam, pomóż mi!”

Spojrzała na zegarek w komórce. Było osiem po trzeciej, a ona zupełnie nie odczuwała senności.

„A może Damian by się jednak nie dowiedział?”

Znowu to samo. Przecież nie Damian, a „ten, który przeżył”. Tak i tylko tak powinna myśleć. Powinna rzucić los.

„Zagrasz o życie swojego dziecka...? A może TEN, KTÓRY PRZEŻYŁ, by się jednak nie dowiedział, jak to wszystko się odbyło?”

Wciąż siedząc, krzyknęła:

— Sylwia, chcę cię o coś zapytać.

— No, wreszcie. Myślałam, że kopnęłaś tam w kalendarz. Czego chcesz?

— A odpowiesz mi szczerze?

— Nie wiem, o co chcesz spytać, więc nic nie obiecuję.

— Jeśli dobrze zrozumiałam, mówiłaś wcześniej, że zostały ci dwie godziny życia. Co miałaś na myśli?

Usłyszała kroki na werandzie, a kilka sekund potem głos tuż zza okiennicy:

— A dlaczego pytasz? — W głosie Sylwii słyszalne było lekkie podniecenie.

— Z ciekawości.

Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili:

— Nie chcę zgnić w więzieniu. Wiem, że to, co zrobię, będzie dobre, ale oni tego nie rozumieją — mówiła tak cicho, że ledwie ją było słyhać. — Dlatego sprawę zakończę honorowo, zgodnie z kodeksem bushido. — Głos jej drżał ze wzruszenia. — Skończę ze sobą tak, jak prawdziwy samuraj — stwierdziła z dumą.

Była kompletną wariatką i Magda doskonale już o tym wiedziała. Trudno było ocenić, czy oszalała nagle, czy kiełkowało to przez miesiące lub lata. Choć właściwie jaka to różnica?

— Dwadzieścia dziewięć minut. — Znow inny, twardy i bezkompromisowy głos z zewnątrz. — I ani minuty dłużej.

Skoro Sylwia zamierzała się zabić, być może nie byłoby nikogo, kto mógłby ocalałemu synowi zdradzić całą prawdę. Jednak Magdy to już nie obchodziło. Nabrała głęboko powietrza i usłyszała swoje, wypowiedziane równie twardo i zdecydowanie, słowa:

— Pierdol się, niedojebana, zazdrosna suko. Prawdziwy japoński wojownik brzydziłby się nawet splunąć na taką szmatę jak ty.

\*

Mijały kolejne minuty odmierzane głośnymi, o wiele szybszymi krokami na werandzie. Cieszyła się, że przynajmniej w ten sposób mogła dopiec tej wariatce.

Nagle poczuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie. Po raz ostatni spojrzała na komórkę. Do czwartej pozostało dwadzieścia jeden minut.

„Marzena, jesteś mi teraz potrzebna jak nigdy dotąd. Proszę cię, powiedz im, żeby nie przyjeżdżali. Zadzwoń do Krzyska i powiedz mu, że mają zostać w mieście...”

W dzieciństwie często bawiły się w odgadywanie myśli. Jej siostra potrafiła je przesyłać o wiele lepiej. W każdej chwili, niezależnie od

pory dnia i nocy. Ale Magdzie też się czasem udawało. Zwłaszcza wtedy gdy właśnie zapadała w sen.

Nie miała pojęcia, czy to może znów zadziałać. Po raz ostatni próbowały tego chyba ze dwadzieścia lat temu. Nie miała żadnej pewności, zdawała sobie sprawę, że może było już za późno, ale wciąż powtarzała w myślach: „Powiedz Krzyskowi, że mają nie przyjeżdżać. Powiedz, żeby zostali w mieście. Zadzwoń i powiedz, żeby wracali do domu. Marzena, błagam, powiedz im, żeby...”.

## **Adam**

Zatrzymał samochód przy drodze i długo przyglądał się zaparkowanej w bocznej dróżce ciemnozielonej ibizie. Widywał ją w tym miejscu już wcześniej, ale nigdy nie zdarzało się, by stała tutaj przez całą noc.

Poprzedniego dnia jechał swoją niedawno kupioną terenówką za corsą Załuskich. Zobaczył z pewnego oddalenia, jak czarny pathfinder, dokładnie taki sam jak jego, na prostej drodze wymusił pierwszeństwo, niemal spychając małego opla do rowu.

Teraz jechał przez Zarzecze w przeciwnym kierunku. Mijając następną, wspinając się ostro w górę dróżkę, która prowadziła do domku letniskowego, spojrzął w lewo i zobaczył w oddali volkswagena Krzysztofa, stojącego przed bramą wjazdową.

— Cholera jasna! — zaklął.

Coś było nie tak. Był wczesny sobotni ranek, więc samochód nie powinien stać na zewnątrz ogrodzenia. Nie znał Załuskiego zbyt dobrze, jego żony nie spotkał ani razu, ale po kilkudziesięciu metrach gwałtownie zahamował. Nienawidził mieszać się w nieswoje sprawy, zawsze wolał trzymać dystans w stosunku do przyjeżdżających na weekendy mieszczuchów, ale w tym przypadku postanowił zachować się inaczej, bo coś najwyraźniej śmierdziało na kilometr.

Wrzucił wsteczny.

Długo przyglądał się zwłokom leżącym przy granatowym passacie. Krew już dawno zdażyła wsiąknąć w podłoże, ale i tak poranione ciała wyglądały koszmarnie. Dawno nie widział czegoś równie przerażającego. Tuż przy samochodzie leżał błyszczący, prawdopodobnie pochodzący z Dalekiego Wschodu miecz. Rozrzucone wokół zwłok herbaciane róże kontrastowały z zielenią trawy i z rozległymi rdzawymi plamami, zakrzepłymi na bardziej utwardzonym podłożu.

\*

Wrócił do domu i w stacjonarnym telefonie wystukał numer policji. Podał swoje dane, opisał z grubsza sytuację i oznajmił, że będzie czekał na drodze prowadzącej do domku Załuskich.

Gdy zatrzymał samochód na poboczu, miał chwilę na zastanowienie. Spodziewał się kolejnego śledztwa, które było mu całkowicie nie na rękę. Znów, jak kilka miesięcy wcześniej, na pewno będzie tu węszył ten wścibski gliniarz, Sławomir jakiś tam z komendy powiatowej.

„Całe szczęście, że ja raczej nie będę należał do grona podejrzanych”.

Niedługo potem usłyszał w oddali wycie policyjnych syren.

## **Magda**

— Zostaw mnie — szepnęła, gdy poczuła, jak ktoś potrząsa jej ramieniem. — Zostaw w spokoju moje dzieci. Daj nam spokój...

Świadomość wracała bardzo powoli. Magda miała wrażenie, że dopiero co zasnęła, więc oczywistym było, że to Sylwia dostała się do środka i próbuje ją obudzić.

„A jednak się domyśliła, co chcę zrobić”.

— Pani Załuska — usłyszała męski głos. — Jak się pani czuje? Nic pani nie jest?

Powoli otworzyła oczy, które z trudem przyzwyczajały się do światła dochodzącego od drzwi wejściowych. Zobaczyła nad sobą mężczyznę w policyjnym mundurze. Przez jakiś czas zbierała myśli, aż wreszcie jej twarz rozjaśnił delikatny uśmiech.

— Zdążyliście, Bogu dzięki. Tak bardzo się bałam, że ona...

— Wyważyliśmy drzwi, a pani spała bardzo mocno. Czy zażywała pani jakieś lekarstwa?

— Tak, przed chwilą kilka tabletek relanium, ale nic mi nie jest. Złapaliście ją? Czy moje dzieci są bezpieczne?

— Proszę poczekać, wezwę karetkę.

Policjant wyszedł na zewnątrz, wymienił z kimś kilka zdań, po czym wrócił i usiadł na taborecie obok łóżka.

— Powiedziała pani, że brała pani leki przed chwilą?

— Tak, koło piętnastej. Panie inspektorze, złapaliście ją?

— Ona już nikomu nie zagraża. Proszę się uspokoić.

— A chłopcy? Co z moimi dziećmi?

Przez chwilę przyglądał się uważnie jej zastygłej z niepokoju twarzy.

— Chłopcom nic nie jest. Są bezpieczni.

— Dziękuję. Bardzo dziękuję... — Westchnęła z ulgą i znów położyła głowę na poduszce.

— Spała pani kilkanaście godzin. Jest sobota rano.

— To niemożliwe, przecież...

— Pani Magdo, mam dla pani też bardzo przykrą wiadomość...

Spojrzała w jego oczy.

— Pani mąż został znaleziony dziś rano.

Znów się podniosła.

— Co z nim? Co się stało z Krzysztofem?

— Niestety, pan Załuski nie żyje. Proszę teraz odpocząć, karetka za chwilę tu będzie.

Patrzył, jak kobieta wpatruje się w niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

— Co pan powiedział? Jak to nie żyje? To niemożliwe... Przecież był razem z dziećmi!

— Bardzo pani współczuję. Proszę, niech pani się położy i spróbuje się uspokoić. Teraz już nic nie możemy zrobić.



## Magda

*Kwiecień—lipiec 2003*

Nie sądziła, że aż tak będzie za nim tęsknić. Tak naprawdę od momentu pogrzebu z każdym dniem coraz bardziej brakowało jej Krzyśka. Musiała się wprawdzie wziąć w garść i przede wszystkim myśleć o dzieciach, ale bezsenne, ciągnące się w nieskończoność noce były wręcz nie do zniesienia. Kilkakrotnie stała na granicy kompletnego załamania, ale wtedy wspierała ją Marzena. Bez niej nie dałaby rady. Na pewno.

Nie dałaby też, gdyby nie miała przy sobie dzieci. Kochała je teraz chyba jeszcze mocniej niż przedtem. Być może w ten sposób chciała im wynagrodzić to, o czym nigdy się nie dowiedzą. Również sobie chciała udowodnić, że nie jest złą matką. Wciąż czuła do siebie pretensje o to, że wtedy w domku na chłodno kalkulowała swoją przyszłość i zastanawiała się, z którym z bliźniaków będzie jej wygodniej w życiu. To wspomnienie zżerało ją od środka, paląc wstydem i obrzydzeniem, ale nie mogła przecież cofnąć czasu, mogła co najwyżej próbować się poprawić i postępować lepiej. Tylko tyle i aż tyle mogła zrobić.

Tak, nie mogła cofnąć czasu, mimo tego często myślała o tamtym ostatnim dniu i marzyła, że znów jest rano, a chłopcy przed wyjściem do szkoły jedzą owsiankę. Wtedy ona mówi: „Oczywiście, kochanie, nie ma problemu. Jasne, że odbiorę dzieci”. Dałaby też wszystko, żeby zmienić treść ostatniej rozmowy z Krzysztofem. Gdyby tylko mogła znów do niego coś powiedzieć, porozmawiać choć przez chwilę, wtedy wszystko byłoby inaczej.

„Cholerny egoisto” — to były ostatnie słowa, jakie do niego skierowała. Gdyby nie one, być może, zgodnie z sugestią Marzeny, wszyscy zostaliby wtedy w mieście. Kiedy zadzwoniła i powiedziała, że Magda prosi, aby nie przyjeżdżali na działkę, nie było jeszcze za późno. Piątkowe korki uniemożliwiły tym razem wyjazd o wpół do czwartej. Krzysiek odebrał telefon kilka minut przed szesnastą, akurat

w momencie gdy ruszał z chłopcami spod szkoły. Zapewne był przekonany, że jego żona wciąż jest na niego wściekła i nie chce go widzieć. Zostawił bliźniaków u rodziców Magdy, którzy od jakiegoś czasu mieszkali w bloku przy wyjeździe z miasta. Żegnając się, stwierdził, że być może jeszcze tego dnia wróci, tylko najpierw musi na spokojnie pogadać z żoną. Po drodze kupił herbaciane róże...

Nikt nie wie, co było dalej. Z ustaleń policji wynika, że najpierw został ugodzony ostrym narzędziem w lewe ramię, ale nie na tyle precyzyjnie, by uniemożliwiło mu to walkę. Na ziemi przy samochodzie widać było ślady zaciekłych zmagania, więc być może Krzysztofowi udało się wyrwać miecz napastniczce. Ona również zmarła od odniesionych obrażeń.

Poczucie winy dodatkowo przytłaczało Magdę w ostatnich miesiącach. Była jeszcze jedna kwestia, która ją dręczyła. Z perspektywy czasu zupełnie nie rozumiała, jak mogła pozwolić (a może sama do tego doprowadziła?), by pomiędzy nią a Krzysztofem zaczęło się coś psuć. Zdawała sobie sprawę, że w pewnym momencie najzwyczajniej zaczęła szukać dziury w całym. No i — co najważniejsze — gdyby nie zwierzała się Sylwii, być może wszystko potoczyłoby się inaczej...

Jedno jest pewne. Teraz była o wiele bardziej dojrzała i na swoje małżeństwo potrafiła spojrzeć z zupełnie innej strony. Tyle że ta zmiana perspektywy nastąpiła zbyt późno i została okupiona nieproporcjonalnie wysoką ceną.

\*

Lipiec spędzała samotnie. Dzieci wyjechały z dziadkami na miesiąc nad morze. Miała trochę czasu na gruntowne sprzątnięcie. Zdecydowała też, że w tym czasie uporządkuje rzeczy Krzysztofa. Zaczęła od ubrań, które postanowiła przeznaczyć dla potrzebujących. Później przyszła kolej na dokumenty i notatki. W jednej z szuflad znalazła PIN do telefonu komórkowego. W maju komórka Krzyśka całkowicie się

rozładowała i samoistnie wyłączyła, więc od tamtej pory leżała bezużytecznie. Teraz Magda mogła spróbować uruchomić ją ponownie.

„Jeśli będzie działać, podaruję ją Dominikowi”.

PIN został przyjęty za pierwszym razem. Podłączyła telefon do ładowarki, odczekała, czy nie wyświetlą się jakieś wysłane dawno temu SMS-y. Przyszły dwa, zachęcające do udziału w jakichś konkursach. Skasowała bez czytania całą skrzynkę nadawczą i odbiorczą, po czym wyszła na zewnątrz, by skosić trawę. Mimo wszystko przedmiot, którego tak często używał jej mąż, wywołał u Magdy sporo emocji, więc postanowiła odetchnąć świeżym powietrzem. Upał był niemiłosierny. Ledwie zdążyła wyprowadzić elektryczną kosiarkę z garażu, a już całą koszulkę miała mokrą od potu.

Chwilę później wróciła po swoją komórkę. Starła się mieć ją cały czas przy sobie, w razie gdyby chłopcy mieli ochotę porozmawiać. Niestety, zdarzało się to dosyć rzadko.

W należącym niegdyś do Sylwii domu wciąż nikt nie mieszkał, ponieważ bank miał problemy z odzyskaniem długu i sytuacja prawna budynku w dalszym ciągu pozostawała niejasna. Magda nienawidziła patrzeć w tamtą stronę, ciężko jej było radzić sobie z tymi wszystkimi wspomnieniami, ale przynajmniej na swoim podwórzu mogła czuć się swobodnie. Zamierzała pracować w miejscu niedostępnym dla ciekawskich oczu, więc zdjęła koszulkę i została tylko w szortach i lekko prześwitującym staniku. Uruchomiła kosiarkę.

Pół godziny później postanowiła zrobić sobie przerwę i napić się czegoś chłodnego. Weszła do domu, otworzyła lodówkę i napełniła szklanek zimną niegazowaną wodą. Łapczywie upiła kilka łyków. Uświadomiła sobie, że praca kosiarki mogła zagłuszyć dźwięk komórki, więc wyjęła z kieszeni szortów telefon i spojrzała na wyświetlacz. Miała jedną nową wiadomość. Jej nadawca zapisany był jako „Krzysiek”. Usiadła na krześle, wciąż nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Gdy jednak przekonała się, że wzrok nie płata jej psikusa, odczytała SMS-a:

*Świetnie wyglądasz, Kochanie! :-) Miło Cię obserwować przy pracy, zwłaszcza gdy masz na sobie tak skąpy strój ;-) Całuję, Twój K.*

Telefon wypadł jej z ręki i głośno uderzył o blat stołu. Po chwili raz jeszcze przebiegła wzrokiem wiadomość, a później sprawdziła godzinę jej przyjscia. SMS przyszedł niecałe dziesięć minut wcześniej. Na nogach jak z waty przeszła do pokoju. Na komórce Krzyśka w katalogu „wysłane” znalazła ten sam tekst, nadany dziesięć minut wcześniej.

Usiadła na kanapie i rozplakała się. Niedługo potem z uśmiechem odpisała:

*Dobrze wiedzieć, że jesteś obok... Kocham Cię! Twoja M.*

Przez następne dni często sprawdzała komórkę z nadzieją na kolejne wiadomości, te jednak nie przychodziły.

\*

Dwudziestego piątego lipca, gdy w imieniny Krzyśka porządkowała jego grób, usłyszała sygnał przychodzącego SMS-a. Natychmiast wyjęła telefon i jej serce gwałtownie zabiło.

*Cieszę się, że o mnie pamiętasz... Z okazji moich imienin przygotowałem niespodziankę, która czeka na Ciebie w domu. Mam nadzieję, że Ci się spodoba :-) Na zawsze Twój K.*

Natychmiast pobiegła do samochodu.

Gdy kilkanaście minut później weszła do salonu, w ustawionym na stoliku wazonie czekał na nią ogromny bukiet róż. Były bardzo podobne do tych, które kwitły w zaniedbanym ogrodzie Sylwii, ale nie robiło jej to żadnej różnicy. Podeszła bliżej i przez chwilę z uśmiechem wdychała zapach kwiatów. Później sięgnęła po komórkę i napisała:

*Dziękuję Ci ogromnie, mój Najdroższy. To najpiękniejszy prezent, jaki dostałam w życiu.*

Wysłała, a po chwili usłyszała, jak wiadomość dochodzi do telefonu leżącego na szafce po przeciwległej stronie pokoju. Wzięła wazon z kwiatami, by w kuchni nalać do niego wodę. Gdy wróciła, czekała już

na nią nowa wiadomość. Otworzyła ją niecierpliwie, ciągle się uśmiechając.

*Proszę bardzo, kurewko. Na jakiś czas „wcieliłam się” w K., aby bardziej cię zabolalo. On od dawna buja w obłokach, a ja przypominam o pytaniu. Odpowiedź masz przesłać tą samą drogą do końca lipca. Pamiętaj, jeśli tego nie zrobisz, zginą obaj. Pozdrawiam z drugiej strony. Twoja dozgonna przyjaciółka, Sylwia :-D*

---

# Kryzys wieku średniego

Przyznaję, byłem japiszonem.

Bezwzględny, cyniczny, wyrachowany, fałszywy i obrzydliwie bogaty. Byłem szczurem, który nigdy nie zawahał się, gdy ogłoszono nabór do jakiejś gonitwy. Stawałem w szranki, zamykałem oczy, a potem, nie bacząc na nic i na nikogo, parłem do przodu. Po trupach przeciwników — oczywiście, nie w dosłownym tego znaczeniu — po ich ramionach, plecach i głowach zbliżałem się szybko do taśmy z napisem „meta”. Jak było trzeba, to na ostatniej prostej wyścigu podstawiałem nogę i szczułem na siebie nawzajem witających się z gąską konkurentów.

Trudno się dziwić, że zwykle wygrywałem. Takie życie.

W wieku trzydziestu dwóch lat miałem już apartament w centrum Warszawy i rozbijałem się kupionym w salonie za gotówkę jaguarem. Nie muszę chyba dodawać, że miałem też kobiety? Chyba nie muszę. Dużą wagę przykładałem do utrzymania wysportowanej sylwetki, dbałem o nienaganną fryzurę, wypielegnowane do bólu paznokcie. Ubierałem się w najlepszych sklepach, a garnitury zawsze szyciłem na miarę. No i byłem szczęśliwym posiadaczem opuchłego od gotówki konta, więc jakże mógłbym nie mieć kobiet?

Cholernie kręciło mnie to poczucie niezależności, połączone z możliwością spełniania najbardziej zwariowanych zachcianek.

Było naprawdę okej. Naprawdę.

Gdy brakowało mi kilkunastu miesięcy do czterdziestki, zacząłem czuć się nieswojo. Miałem wprowadzić wszystko, czego zapragnąłem, ale też najlepsze czasy za sobą i brak sensownych planów na przyszłość, poza kolejnymi kontrolnymi wizytami u wszelkiej maści znachorów. Byłem realistą, który chłodno stwierdzał, że nie idzie ku lepszemu.

Z niecierpliwością oczekiwałem moich czterdziestych urodzin, nie zapominając o wyciśnięciu z życia ostatnich aromatycznych soków,

oczywiście we wszelkich możliwych dziedzinach. Nie mogłem pozwolić na to, by ktoś lub coś wpływało na moje dalsze losy. Do końca chciałem o wszystkim decydować i być sobie kierownicą, szoferem i autem.

Mówiłem chyba, że do celu zmierzałem po trupach?

W tym akurat przypadku miał to być tylko jeden trup.

\*

Byłem japiszonem.

W tym momencie słowo „byłem” należy przyjąć jak najbardziej dosłownie.

Skok z wieżowca nie wchodził w grę, ponieważ efekty bywają zwykle zbyt mało estetyczne, jak dla mnie. Podobnie strzał z pistoletu w usta, rzucenie się pod pociąg czy podcięcie żył w wannie z gorącą wodą. Na samą myśl, że ktoś miałby mnie potem oglądać, wstrząsały mną dreszcze. Leki były z kolei mało skuteczne i niewłaściwe ich użycie mogło spowodować, że stałbym się warzywem. Już chyba wołałbym, żeby zdrapywali mnie z chodnika szuflą.

Ale na szczęście istniał jeszcze niezawodny sznur. Byłem już prawie zdecydowany na zwyczajne zadyndanie, ale niemal w ostatniej chwili stwierdziłem, że bujający się u powały wisielec prezentuje się bardzo bezbrinnie. Taki wizerunek zdecydowanie zbyt radykalnie gryzł się z moim image'em.

Klameczka.

Klameczka była tym, o co dokładnie mi chodziło. Cichutkie uduszenie, bez niepotrzebnych stresów i pozycja niemal siedząca, co było dodatkowym atutem tej sztuczki.

Szlag mnie teraz trafia, że nie chciało mi się poczytać więcej o tym cholernym sposobie.

Jest środek nocy, przed kilkanaście minutami na przedzie mojego licznika pojawiła się czwórka. Zmiana kodu, jak to mówią. Siedzę na łóżku i z poczuciem zupełnej, wszechogarniającej i kurewsko wkurzającej bezradności spoglądam na idiotycznie wybałuszone oczy,

poczerniały, napuchnięty język i jakieś wykwyty pod skórą, które pojawiły się na pociemniałej od zatrzymanego krążenia twarzy.

Boże, jaka tragedia...

Coś trzeba z tym natychmiast zrobić.

Tylko co, skoro nie mam już wpływu na przedmioty, w tym na obrzydliwy kawał mięcha, uwieszony na markowej alpinistycznej linie.

Ale coś przecież wymyślę. Muszę wymyślić, bo nie po to byłem japiszonem, aby poddać się tak łatwo. Życie, które już niczego mnie nie nauczy, na szczęście zdążyło wyedukować moją nieskromną osobę o wiele wcześniej.

Myśl, chłopie, myśl, bo nie ma czasu.

Ano nie ma.

Myślę więc.

\*

Żebyście widzieli minę tego knura spod dwójki, jak wyprowadzali go ubranego w przyciasne gatki, kajdanki, rozczłapane buciory i stary prochowiec. Zupełnie nie wiedział, biedaczyna, co się dzieje. Został wyrwany ze smacznego, głębokiego snu, a zaraz potem dwa psy w cywilu wcisnęły go do radiowozu. Ale jaja.

Włamał się do mojego mieszkania z kanistrem benzyny, przyniesionym wcześniej z bagażnika własnego mercedesa, odciął mojego trupa, przeciągnął go na środek pokoju, a następnie obie części linki ukrył głęboko w szafie. Na koniec wylał całą benzynę na to, co jeszcze niedawno było japiszonem, zostawił pusty kanister i jednego kaptia w przedpokoju, a potem wrócił na miejsce, które zaraz potem stało się miejscem zbrodni. Rzucona zapalka spowodowała niewielki wybuch, od którego grubasowi osmałiły się rzęsy, brwi i kawałek grzywki. Potem spokojnie, klapiąc jedną bosą stopą, przemierzył korytarz i wygodnie ułożył się w swoim łóżku.

Lekko się wtedy uśmiechał.

Alarm przeciwpożarowy zadziałał bez zarzutu, ale zanim pojawił się pierwszy zastęp chłopaków z sikawkami, moje zwłoki zdążyły się



zwęglić do cna. Nie był to zbyt estetyczny widok, ale zdecydowanie wolałem to niż wcześniejszy stan rzeczy. Niejako przez swoją lekkomyślność stałem się ofiarą zabójstwa i to był dopiero złoty strzał! Będą teraz się nade mną litować, mówić o mnie tylko dobrze, żałować, że „taki młody, tyle mógł jeszcze pożyć...”. Toż to było o niebo lepsze od wizerunku załamane go desperata, pogrążonego w depresji, który postanowił ze sobą skończyć. Same plusy.

A ten spod dwójki?

Nigdy go nie lubiłem.

Swój apartament kupił za kasę odziedziczoną po rodzicach i miał wszystko w dupie. Chlał, głośno puszczał muzykę, przez co nie mogłem się wyspać przed pracą. No i miał tego parszywego kundla, który zawsze na mnie warczał. Zawsze!

Wkurzał mnie ten koleś, jak nie wiem co.

No i zupełnie o siebie nie dbał, dacie wiarę? Kompletny świr.

\*

Żebyście wiedzieli, jakie to łatwe.

Wniknięcie w czyjś sen, to naprawdę pestka. Tyle się mówi o lunatykach, którzy bez celu łażą gdzieś po nocach. Bez obaw, ktoś dobrze zadbał, by te wycieczki miały jakiś sens.

Pomyślcie przed zaśnięciem, komu się ostatnio naraziliście. Kto wie, może ten ktoś zrobi sobie dziś w nocy małą wycieczkę?

No nic. Nie przeszkadzam już i znikam.

Aha...

Jakby co, to udanej nocy wam życzę.

---

## Opowiem ci mroczną historię

### 1.

Brzmienie głosu w słuchawce wskazywało na to, że moim rozmówcą jest mężczyzna w podeszłym wieku. Mówił chrapliwie i niewyraźnie,

z trudem artykułując poszczególne wyrazy, które co chwila przeplatał przerwami na świszczące zaczerpnięcie płytkiego oddechu.

Początkowo nie miałem pojęcia, o co mu chodzi, ale gdy powtórzył po raz drugi, zapytałem niepewnie:

— Czy dobrze rozumiem, że chce pan, abym przyjechał do pana w związku z konkursem dla czytelników naszego pisma?

Potwierdził w sposób sugerujący, jakby była to najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. Gdyby nie mój szacunek dla starszej osoby, w tym momencie nasza rozmowa zapewne by się zakończyła.

— Niestety, przykro mi, ale reguły są inne — zacząłem tłumaczyć jak małemu dziecku. — Osoby biorące udział w zabawie przygotowują teksty i przysyłają je pocztą na adres naszej redakcji.

Przez dłuższy czas słyszałem tylko ciężki oddech.

„Tylko mi tam nie umrzyjcie, dziadku” — pomyślałem i uśmiechnąłem się pod nosem.

Kiedy teraz wracam w pamięci do tej naszej pierwszej rozmowy, wcale już nie wydaje mi się to zabawne.

Wreszcie odchrząknął i powiedział:

— Właśnie chodzi o to, że ja nie chcę brać udziału. Chcę tylko z panem porozmawiać, bo to zdaje się pan wymyślił temat. „Mroczne historie”, prawda? — W słuchawce zarzęził suchy kaszel. Gdy po kilkunastu sekundach ustał, odparłem:

— Owszem, ale biorąc pod uwagę profil miesięcznika „Twoje Medium”, nie widzę w tym temacie niczego dziwnego.

— Niech pan przyjedzie — upierał się. — Wtedy panu wszystko wytłumaczę.

— Obawiam się, że...

— Ja się nazywam Adolf Krawczyk. — Przerwał mi w pół słowa. — Proszę sobie zapisać adres... tak na wszelki wypadek. Może jednak zmieni pan zdanie.

Dla świętego spokoju poszukałem jakiejś kartki, z przekonaniem, że za chwilę i tak wyląduje w koszu.

\*

Był to okres moich ostatnich przygotowań do generalnego remontu mieszkania. W planach było malowanie, wymiana większości mebli i spektakularna rewolucja w łazience. Zamierzałem też pozbyć się drewnianych, przeciekających już gdzieś podczas większego deszczu, okien dachowych i tu właśnie był największy problem — stare lukarny były zwieńczone trójkątnie, więc nowe, plastikowe, trzeba było specjalnie zamówić u producenta.

Prawie wszystko było już dopięte na ostatni guzik. Ekipa fachowców, którą już wcześniej zarezerwowałem, właśnie kończyła inną robotę i lada dzień miała zamienić obszar działania na moje M-3 na poddaszu, a — jak na złość — zlecenia na produkcję nietypowych okien były realizowane przez co najmniej cztery tygodnie. Był jednak jeden wyjątek — niewielka firma położona w oddalonym o niecałe dwie godziny drogi samochodem Rykowie, która reklamowała się w prasie najkrótszym, trwającym nawet mniej niż dziesięć dni czasem oczekiwania.

Kiedy spojrzałem na nabazgrany na kartce adres, a później sprawdziłem lokalizację Domu Spokojnej Starości „Irys” w miejscowości Ryków Górny, plan działania miałem już gotowy. Jeszcze tego samego dnia zameldowałem Naczelnemu, że nazajutrz udaję się w teren, by zrobić wywiad, który rzuci na kolana pół zakochanej w historiach nie z tej ziemi Polski. Bardzo się ucieszył. Ja chyba jeszcze bardziej, ponieważ przed remontowymi zmaganiem każdy zaoszczędzony dzień urlopu był dla mnie na wagę złota.

## 2.

Następnego dnia w południe siedziałem na niewielkim rynku, otoczonym rachitycznymi drzewami i sypiącymi się burymi kamieniczkami, które świetność dawno miały już za sobą. Życie w centrum powiatowego Rykowa toczyło się z werwą charakterystyczną dla żwawego nieboszczyka.

W garści ścisnąłem puszkę coli. Pomimo że napój z każdą chwilą stawał się coraz cieplejszy i bardziej paskudny, nie potrafiłem radzić sobie z nim szybciej. Senne otoczenie, reprezentowane godnie przez sunących noga za nogą lub grupujących się na podobnych do mojej ławeczkach emerytów działały na mnie hipnotycznie. Znalazłem się w miejscu, gdzie niczego nie wypada robić szybko.

Nie dopiłem coli nawet do połowy. Poszukałem wzrokiem kosza na śmieci i dostojnym krokiem pomaszerowałem w jego stronę. Sądząc po papierach i butelkach malowniczo rozrzuconych na zaniedbanych skrawkach zieleni, sztuka celnego trafienia do metalowego pojemnika nie cieszyła się w Rykowie jakąś szaloną popularnością. Gdy dźwięk uderzającej o metal puszki poniósł się echem po okolicy, miasteczko na chwilę zamarło, a wszyscy obecni na rynku, włącznie z umundurowanym strażnikiem miejskim, który na skraju chodnika właśnie wypisywał mandat za nieprzepisowe parkowanie, odwrócili głowy w moją stronę. Zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie ja będę następnym ukaranym, ale miejscowy stróż prawa i sprawiedliwości po chwili stracił mną zainteresowanie. Po chwili jednak zaabsorbowałem jego uwagę ponownie. Tym razem pytaniem o położony gdzieś w okolicy dom spokojnej starości o nazwie „Irys”. Zanim do funkcjonariusza dotarło, o co mi chodzi, wyglądał na nieźle przestraszonego.

Sprawy związane z zamówieniem okien udało mi się załatwić już wcześniej i to w niepasującym do tego miejsca, ekspresowym tempie. Właściciel firmy o nazwie „ONZ” okazał się nie w ciemną bitym jegomościem około sześćdziesiątki, który nie zamierzał wypuścić z rąk okazji w postaci niespodziewanego zamówienia. Udało mi się uzyskać obietnicę, że zlecenie zostanie zrealizowane w terminie ośmiu dni, a dodatkowo otrzymałem pięcioprocentowy rabat. Jedyne, co nie zostało jeszcze ostatecznie uzgodnione, to sposób dostawy moich nowych Okien Na Zamówienie. Gdy jednak w ponurych okolicznościach zapyziałego ryneczku oczekiwałem na odpowiedź

funkcjonariusza, w mgnieniu oka podjąłem decyzję, że zlecę nieco droższy, ale niewiązany się z koniecznością ponownej wizyty w Rykowie transport zorganizowany przez producenta.

— Irys, irys... — Zadumał się, po czym zdjął czapkę z daszkiem, schował bloczek mandatowy pod pachę przepoconej koszuli i uwolnioną w ten sposób ręką podrapał się w lśniąca wilgocią, purpurową od czerwcowego upału łysinę. — A nie chodzi panu czasem o zakład pogrzebowy? Mamy tu taki...

— Nie, nie chodzi mi o zakład pogrzebowy — przerwałem, nie dbając o konwenanse. Zależało mi na jak najszybszym opuszczeniu tego miejsca, a na dodatek ociężały, nie tylko fizycznie, strażnik nie wyglądał na osobę, z którą miałbym ochotę wdawać się w dłuższą konwersację. — Chodzi mi o dom starców w Rykowie Górnym, panie władzo.

Jego mętne dotąd oczy pojaśniały.

— A, to trzeba było tak od razu, że w Górnym! — ucieszył się i poinformował mnie w kilku zdaniach, w którym kierunku powinienem się udać.

\*

Wyjeżdżając z kwadratowego ryneczku, miałem poważne wątpliwości, czy aby na pewno droga będzie tak prosta, jak zapewniał funkcjonariusz. Obawy znacząco się zmniejszyły, gdy po przebyciu kilkuset metrów od wyjazdu z miasta, dostrzegłem zieloną tablicę z napisem „Ryków Górny”. Wciąż jednak miałem w pamięci ostatni, pomalowany na ostry fiolet, parterowy budynek większej miejscowości, który dowodził, że miejscowy szeryf nie pomylił się również w innej kwestii.

Od dłuższego czasu wlokłem się za konduktem żałobnym złożonym z karawanu i byle jak ułożonej na nim trumny. Czarne auto, wyjeżdżające z bramy przy fioletowym zakładzie pogrzebowym „Irys”, praktycznie zajęło mi drogę, więc, pamiętając o wpajanych mi w dzieciństwie zabobonach, nie zdecydowałem się na wyprzedzenie ponurej limuzyny.

O tym, że patrzenie przez szybę samochodu na żałobny kondukt także może sprowadzić nieszczęście, zapomniałem na amen. Być może dlatego, że zastanawiałem się wtedy, jak często pensjonariusze Domu Spokojnej Starości „Irys” odwiedzają sąsiednią miejscinę i jakie refleksje przychodzą im do głowy, gdy spoglądają w stronę zakładu pogrzebowego o dobrze im znanej nazwie.

Karawan zatrzymał się wreszcie przy niewysokim cmentarnym murku, niedbale zabezpieczonym od góry zbutwiałym gontem. Z auta wysiadło kilku łapiduchów w biało-czarnych uniformach, którzy z łatwością zdjęli trumnę i bez zbędnych ceregieli zniknęli z nią za zardzewiałą metalową bramą. Takiego pogrzebu nie zdarzyło mi się jeszcze oglądać — żadnych kwiatów, żadnej bardziej lub mniej pogrążonej w smutku rodziny żegnającej ciało zmarłego (lub zmarłej), nie dostrzegłem też nigdzie księdza. Mimo dość intrygujących okoliczności, dających nadzieję na nietuzinkowy felieton, zdusiłem w sobie niezdrową ciekawość i pokusę dalszego uczestnictwa w ponurej uroczystości, by możliwie jak najszybciej mieć za sobą spotkanie z Krawczykiem. Byłem podenerwowany, jak przed wizytą u dentysty, a mało przyjemne sprawy od kiedy pamiętam zwykłem załatwiać szybko i bez niepotrzebnej zwłoki.

Ponieważ strażnik wspomniał, że dom starców położony jest niemal naprzeciw cmentarza, zdawałem sobie sprawę, że jestem już właściwie u celu. I faktycznie — po lewej stronie drogi dostrzegłem coś w rodzaju rozległego parku, otoczonego identycznym murkiem jak ten widziany przed chwilą. Zardzewiała brama również była bliźniaczo podobna, a ponieważ nie widniały przy niej zakazy dotyczące wjazdu na teren ośrodka, po chwili zmierzałem szeroką aleją starych drzew w kierunku mającego w oddali piętrowego budynku, który wyglądał na niewielki pałacyk.

Im byłem bliżej, tym więcej osób mijałem. Siedzący na leżakach, ławkach lub wsparci o rozklekotane balkoniki pensjonariusze, przypominający bardziej zjawy niż ludzi z krwi i kości, przypatrywali się

mojej ciemnoniebieskiej toyocie z nieufnością — kto wie? — może nawet obawą. Najwidoczniej obcy samochód był tutaj rzadkością, a krewni podopiecznych ośrodka rzadko fatygowali się, by odwiedzić swoich leciwych i nikomu już niepotrzebnych bliskich.

Być może otaczający to miejsce mur sprawił, że mimowolnie przyszło mi na myśl określenie „cementarny przedsiónek”, i stwierdziłem, że jednak wolałbym w tym czasie uczestniczyć w tamtym pogrzebie, niż przemieszczać się pomiędzy ciałami zakwalifikowanymi przez nieubłaganego selekcyjera do rychłej wycieczki na drugą stronę drogi; byłem jednak już zbyt blisko celu, by teraz nagle się wycofać.

Zaparkowałem niedaleko ukrytego za dwiema parami kolumn wejścia do budynku, zauważając jednocześnie, bez większego zdziwienia, że lata świetności, podobnie jak kamieniczki otaczające rynek pobliskiego miasteczka, miał on już dawno za sobą.

Drewniane drzwi pałacyku otwarte były na oścież i już z odległości kilku metrów wyczułem zionący z korytarza ostry zaduch. Natychmiast po przekroczeniu progu, gdy oczy z trudem przyzwyczajały się do panującego wewnątrz półmroku, zawładnęła mną trudna do przewyciężenia pokusa, by jak najszybciej uciec z tego miejsca. Smród odleżyn, przywodzący na myśl rozkładające się ciało, przemieszany z odorem zaschniętego moczu, sprawiał, że zabrakło mi tchu, a śniadanie w jednej sekundzie wykupiło bilet na ekspres w drogę powrotną, wiedziałem jednak, że jeśli wyjdę, nigdy więcej nie zdecyduję się na ponowienie próby, dlatego, wstrzymując oddech, ruszyłem naprzód.

Po pokonaniu kilku schodków znalazłem się na skąpo rozjaśnionym świetlówkami szerokim korytarzu. Niektóre z drzwi prowadzących do położonych po obu jego stronach pomieszczeń były otwarte, dzięki czemu zaduch wydawał się już nie tak dławiący, jak w wąskim gardle prowadzącym na zewnątrz.

Z jednego z pokoiów wyszła ubrana na biało młoda kobieta z basenem sanitarnym w ręku i skierowała się w moją stronę. Gdybym

jej nie zaczepił, minęłaby mnie bez słowa.

— Przepraszam bardzo, gdzie znajdę pana Adolfa Krawczyka?

Przystanęła, jej brwi powędrowały do góry, a wyraz twarzy dopełnił tylko obrazu bezgranicznego zdziwienia.

— Na pewno chodzi panu o pana Adolfa? Nikt nigdy do niego nie...

— Tak, na pewno.

Zastanowiła się przez moment i po sprawdzeniu godziny na ściennym zegarze wymieniła numer pokoju, wskazując jednocześnie kierunek.

— A może wyszedł na dwór? — Wiele bym dał, żeby tak właśnie było.

— Nie, pan Adolf raczej nie wychodzi. — Natychmiast rozwiąła moje nadzieje i po chwili już jej nie było.

Musiałem udać się w stronę, z której przyszła, jednak postanowiłem odczekać kilkadziesiąt sekund, aż woń odchodów nieco zelżeje. Tymczasem naszła mnie refleksja, że najprawdopodobniej starszy pan zamarzył o czyichś odwiedzinach i w prosty sposób znalazł nietęgiego frajera.

Gdy uznałem, że droga nieco się przewietrzyła, ruszyłem przed siebie, modląc się, aby dziewiętnastka nie była numerem pomieszczenia, z którego wracała pielęgniarzka. I faktycznie, przedostatni po lewej stronie korytarza pokój był o wiele dalej. Dotarłem do niego, starając się nie rozglądać na boki, by nie zobaczyć czegoś, o czym mógłbym później śnić po nocach lub rozmyślać, gdy nawiedzą mnie ponure refleksje o nieuchronnie zbliżającej się starości.

Pomalowane jasnozieloną olejną farbą drzwi oznaczone dziewiętnastką jako jedne z nielicznych pozostawały zamknięte, co nie wróżyło najlepiej, niemniej jednak, skoro już tyle przeszedłem, nie pozostało mi nic innego, niż kontynuować tę wątpliwą jakości przygodę.

„Nadchodzę, cwany staruszkę” — pomyślałem, a potem zaczerpnąłem głęboko powietrza i mocno zastukałem.



### 3.

Słuch Krawczyka najwyraźniej sprawował się jeszcze całkiem przyzwoicie.

— Czego tak głośno?! — dobiegło zza zamkniętych drzwi. — Otwarte jest przecież!

Te dwa krótkie zdania nie miały ze sobą nic wspólnego, ale uznałem, że drugie z nich jest swoistym zaproszeniem, więc nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka.

Przez dłuższą chwilę po raz kolejny przyzwyczajałem wzrok do półcienia, aż wreszcie zobaczyłem siwego, przygarbionego mężczyznę, siedzącego na skraju stojącego pod prawą ścianą łóżka. Drugie, ustawione po przeciwległej stronie sali, było puste.

Zamknąłem za sobą drzwi, czując, że Krawczyk śledzi każdy mój ruch.

— Dzień dobry, panie Adolfie. Dzwonił pan, więc przyjechałem. Nazywam się...

— Skoro tak, to teraz już wiem, kim pan jest. Proszę, niech pan wejdzie dalej. — Tego dnia jego głos brzmiał o wiele lepiej niż przez telefon. — Nie sądziłem, że pojawi się pan tak szybko. Prawdę mówiąc, podejrzewałem, że nawet nie zapisał pan sobie adresu...

— Tak naprawdę to miałem do załatwienia sprawę w okolicy, więc dobrze się złożyło, bo dzięki temu mogłem wpaść. — Podszedłem i wyciągnąłem dłoń, którą Krawczyk natychmiast uścisnął. — Miło mi pana poznać. A teraz, chciałbym się dowiedzieć...

— Chwileczkę — przerwał mi. — Proszę, niech pan siada. — Ręką wskazał na przeciwległe łóżko. — Tam chyba będzie najwygodniej, bo taborety mamy tutaj... to znaczy — są tutaj bardzo twarde.

— Nie mam zbyt wiele czasu, no, ale może na chwilę usiądę. Tylko czy nie miałby pan nic przeciw temu, bym trochę uchylił żaluzje?

— Oczywiście, proszę bardzo.

Światło wpadało do pokoju tylko przez otwarte na kilkanaście centymetrów okno. Gdy manipulując przy żaluzjach, niby niechcący uchyliłem okienne skrzydło szerzej, Krawczyk nie zareagował. Musiałem to zrobić, ponieważ w pokoju śmierdziało rozkładającym się ciałem. Nie był to zapach zbyt intensywny, ale dało się go odczuć na tyle wyraźnie, że jeśli nie otworzyłbym szerzej okna, trudno byłoby tam wytrzymać dłużej niż kilka minut.

Wreszcie, gdy zrobiło się widno, usiadłem obok mojej nieodłącznej torby na ramię, na łóżku naprzeciw Krawczyka. Był to stary człowiek o zniszczonej, poszarzałej i pooranej zmarszczkami twarzy. Trudno mi było określić dokładniej jego wiek, ale miał już na pewno grubo po osiemdziesiątce.

— Pan też to czuje? — zapytał.

Odpowiedziałem pytającym spojrzeniem, ale wiedziałem dokładnie, co miał na myśli.

— Do wczoraj łóżko, na którym pan siedzi, nie było puste. Spał w nim Władek... Kiedyś mistrz Polski w boksie, olimpijczyk. — Uśmiechnął się smutno. — Przyjeżdżali tu nawet czasem robić z nim wywiady, a ostatnio — szmelc był z niego jak każdy inny. A może nawet gorszy, bo nie wstawał, odleżyny mu się robiły i gnił jak każdy jeden w jego stanie. — Zamyślił się. — Też Krawczyk miał na nazwisko...

Rozumiałem już zdziwienie pielęgniarki, że pytam o innego Krawczyka.

— Powiedział pan: „miał na nazwisko”... Czy to znaczy, że...

— Zmarł wczoraj w nocy na tym łóżku i to chyba jeszcze dosyć wcześnie. Noc była gorąca, a ja dopiero rano się zorientowałem, że coś z nim nie tak... Ale niech się pan nie boi... — Zauważył, że zaczynam się niespokojnie wiercić. — Całą pościel i materac wymienili od razu. Tylko rama została. No i zapach, ale ten to się wywietrzy szybko. Wiem, bo nie pierwszy raz takie coś przechodzę... Pan jeszcze młody, nieprzyzwyczajony... — Znów ten smutny uśmiech. — Jeszcze na to

czas... — Krawczyk spuścił wzrok na swoje powykęcane reumatyzmem dłonie.

Aby zająć myśli czym innym, rozejrzałem się po pokoju. Dwie szafy, dwa taborety, dwa takie same stoliki przy łóżkach i tylko jeden z położonymi na nim gazetami (zauważyłem między innymi kilka numerów „Twojego Medium”), obok których stał głośno tykający staromodny budzik.

— Odmierza mój czas. — Usłyszałem głos Krawczyka, który, jak się okazało, znów mi się przyglądał. — I chodzi coraz szybciej. Pan też ma taki zegar?

— W dzisiejszych czasach każdy ma zegar — odparłem wymijająco, a zaraz potem dodałem: — Wie pan, dobrze, że przypomniał mi pan o czasie, bo akurat, jak wspominałem, nie mam go dziś zbyt wiele. Może więc przejdziemy do rzeczy?

Pokiwał głową, powiedział „dobrze”, a potem przez długą chwilę milczał, patrząc w okno. Wreszcie wbił we mnie swoje intensywnie zielone oczy i powiedział:

— Chcę, żeby pan odwołał ten konkurs.

— Ściągnął mnie pan tylko po to, żeby mnie o to poprosić? — zapytałem i sięgnąłem ręką po torbę. — Trzeba było powiedzieć przez telefon, a nie zajmowalibyśmy sobie wzajemnie czasu. To jest moja praca i nie pozwolę, by ktokolwiek w nią ingerował, nawet jeśli jest to osoba w pańskim wieku.

Wstałem.

— Chwileczkę, panie Łukasz, tak ma pan na imię, prawda? Mogę panu mówić po imieniu? Proszę chwilę poczekać... — Próbował się podnieść, ale nie dał rady. — Bardzo proszę jeszcze na chwilę usiąść.

Spełniłem jego prośbę, ale tym razem nie rozsiadałem się, tylko przycupnąłem na brzeżku materaca.

— Dziękuję — westchnął z, jak mi się zdawało, ogromną ulgą. — To jak, mogę po imieniu?

Skinąłem głową.

— A więc, Łukaszu, wiem, że to twoja dziennikarska praca, i wiem też, że ci za nią płacą. Z drugiej jednak strony, zawód dziennikarza to także powołanie, misja... Chyba mi przyznasz rację?

— Ale co to ma wspólnego z konkursem?

— Zaraz to wyjaśnię. Wiem, że może ci się to wydać dziwaczne, ale zrozum, chciałbym jeszcze przed śmiercią zrobić coś dobrego.

— Wciąż nie rozumiem. — Zaczynałem się niecierpliwić.

Zamyślił się na chwilę, a potem rzekł:

— Chcę ci zaproponować pewien układ. Wyglądasz mi na uczciwego człowieka i sędzę, że jeśli go zawrzemy, to dotrzymasz słowa. Konkurs ma temat „Mroczne historie”, prawda?

— Owszem.

— Opowiem ci mroczną historię. Opowiem ją, a jeśli okaże się, że nigdy wcześniej nie słyszałeś lub nie czytałeś czegoś przynajmniej równie mrocznego, to zrezygnujesz z konkursu. Jesteś w stanie podjąć takie ryzyko?

Teraz zabrzmiało to dość intrygująco. Mój dziennikarski nos podpowiadał mi, że skoro facet aż tak nalegał, to może faktycznie miał coś interesującego do powiedzenia.

— Ale dlaczego panu aż tak bardzo na tym zależy? — zapytałem.

— Do tego dojdziemy. Teraz najważniejsza jest twoja odpowiedź. Tak czy nie, Łukaszu?

Wpatrywałem się w jego jeszcze przed chwilą papierowo białą twarz, na której teraz nagle wykwitły blad różowe rumieńce.

— W sumie moglibyśmy spróbować — zacząłem niepewnie. — Ale pozostaje jeszcze jedna kwestia... Jeśli pana będzie na wierzchu i odwołam konkurs, to czy będę mógł w jakikolwiek sposób wykorzystać pańską opowieść?

Tym razem on się zastanawiał. Prowadziliśmy rozgrywkę, jak para wytrawnych szachistów.

— Dobrze, ale tylko w pełnej wersji, czyli zacytujesz dokładnie to, co powiem. Bez skrótów i bez upiększeń. — Zachrypnął i przez chwilę

wstrząsał nim gwałtowny kaszel, miałem więc czas na zastanowienie. Kiedy kaszel ustał, powiedziałem:

— Niech będzie, panie Krawczyk. W takim razie słucham.

— Jak to „słucham”? Przecież nie jesteś w stanie wszystkiego zapamiętać słowo w słowo...

— Dobrze, ma pan rację. Chwileczkę...

Sięgnąłem do torby po dyktafon, sprawdziłem stan baterii, a później spytałem:

— Jest pan gotowy? Czekam na sygnał i zaczynamy.

Powstrzymał mnie ruchem ręki, odchrząknął kilka razy, jak uczeń przed recytacją wiersza na szkolnej akademii, a potem skinął głową. Wcisnąłem klawisz nagrywania, położyłem dyktafon na stoliku i rozsiadłem się wygodniej na łóżku, jeszcze niedawno należącym do Władysława Krawczyka.

#### 4.

Nazywam się Adolf Krawczyk i mam osiemdziesiąt dwa lata. Ostatnie sześć z nich spędziłem w Domu Spokojnej Starości „Irys” w Rykowie Górnym, gdzie wciąż trzymają mnie tylko dlatego, że oddaję im część swojej marnej renty. Mężczyzn (bo mimo wszystko wciąż jesteśmy mężczyznami) takich jak ja są tutaj dziesiątki. Jesteśmy powietrzem, z którego można wycisnąć trochę forsy, a okna, którymi mogłoby nas wywiać, nie są zbyt szeroko otwierane tylko ze względu na fakt, że dajemy utrzymanie dyrekcji ośrodka.

Być może trudno w to uwierzyć, ale każdy z nas, każdy z tych pokurczonych, niedołężnych organizmów zdanych na łaskę i niełaskę obojętnego personelu placówki, ma swoją historię. Pomarszczone, przeważnie bezzębne już usta bez wahania mogłyby odpowiedzieć na pytanie o najwspanialszą chwilę w życiu czy o najbardziej tragiczne zdarzenie. Młode, śliczne dziewczyny, które zaglądają do nas tylko po to, aby ze skrzętnie skrywanym obrzydzeniem zmienić pieluchy, kaczki czy baseny, nawet sobie nie wyobrażają, jak wiele mogłyby się nauczyć

od każdego z nas. My naprawdę mamy świetną pamięć. Może niektórzy z nas nie pamiętają, co było wczoraj albo pięć minut temu, z pewnością jednak doskonale przypominamy sobie chwile, kiedy byliśmy młodzi i na tyle przystojni, że młode dziewczyny — bardzo podobne do naszych pielęgniarek — kokietowały nas na potęgę. Z takim właśnie okresem mojego życia wiąże się historia, do której chciałbym nawiązać w tej krótkiej opowieści.

Moja matka zmarła na gruźlicę, gdy zaczynałem chodzić do szkoły, więc prawie jej nie pamiętam. Postrzępione obrazki, które pozostały w dziecięcej świadomości, pozwoliły mi zapamiętać ją jako smutną, wiecznie przestraszoną kobietę, która bała się swojego męża (a mojego ojca) bardziej niż samej śmierci. Gdy zmarła, jej strach przed silnymi razami przeszedł na mnie oraz dwójkę mojego starszego rodzeństwa. Byliśmy regularnie bici, szczególnie gdy ojciec wracał do domu pijany. Ot, historia jakich wiele.

Oprócz bicia najbliższych osób i alkoholu, mój ojciec miał jeszcze jedną pasję — jeśli tak to można nazwać. Był człowiekiem niezwykle religijnym. Tak więc, chcąc nie chcąc, do dwudziestego roku życia musiałem uczestniczyć w mszach świętych jako ministrant. Rzecz jasna, byłem wdzięcznym obiektem docinków swoich rówieśników, jednak pomimo tego w każdą niedzielę karnie służyłem w kościele; pasa ojca obawiałem się o wiele bardziej niż kąśliwych uwag kolegów ze wsi.

Zbyszek mieszkał w domu naprzeciw, po drugiej stronie drogi, i był moim najlepszym przyjacielem. Od najmłodszych lat każdą wolną od prac polowych chwilę spędzaliśmy wspólnie. Jak to zwykle bywa — kochaliśmy się w tych samych dziewczynach, razem paliliśmy nasze pierwsze papierosy, skręcane z jakiegoś obrzydliwie śmierdzącego zielska, i próbowaliśmy po raz pierwszy alkohol.

Gdy miałem dziewiętnaście lat, w jedno z upalnych czerwcowych popołudni, kiedy przygotowywałem się właśnie do wieczornego nabożeństwa, ojciec przyszedł do domu, popatrzył na mnie i powiedział:

— Zbych Matlaków wpadł pod kosiarkę. Trup na miejscu.

Poczułem się tak, jakby ktoś zdzielił mnie obuchem w sam środek głowy. Obraz, który miałem przed sobą, przykryły ciemne plamy, a do oczu gwałtownie zaczęły napływać łzy. Śmierć przyjaciela zaboląta tak samo mocno, jak obojętny ton wypowiedzianych przez ojca słów.

— Pójdę już do kościoła, tato — powiedziałem lekko drżącym głosem.

— Już? Przecież dopiero piąta.

— Muszę przygotować nabożeństwo. No i chciałbym się jeszcze pomodlić za Zbyszka.

— Jemu żadna modlitwa nie pomoże. Do kościoła w niedziele nie chodził, to i w piekle już się pewnie smaży.

Ze spuszczonego wzrokiem minąłem ojca w drzwiach. Bałem się wtedy na niego popatrzeć; nie chciałem, żeby wyczytał w moich oczach, jak bardzo go nienawidzę.

Na pogrzeb zjechali się ludzie ze wszystkich pobliskich wsi. Śmierć młodego chłopaka, w dodatku jedynaka, jak magnes ściągnęła ciekawskich, którzy chcieli zobaczyć, jakie cyrki będzie odstawiać przy grobie stara Matlakowa. Nikt tego nie powiedział głośno, ale na pewno wielu było zawiedzionych tym, że matka Zbyszka w ogóle na pogrzeb nie przyszła. Krążyły na ten temat różne plotki, ja jednak wiem od ojca mojego przyjaciela, że sama zrezygnowała, mówiąc, że po prostu nie będzie potrafiła tego znieść.

We wrześniu tego samego roku, po mszy organista poprosił mnie, żebym poczekał przed kościelną bramą. Gdy pozamykał kościół, podszedł do mnie, zapalił papierosa i powiedział:

— Jest sprawa, Krawczyk.

Milczałem, czekając na ciąg dalszy. Nie miałem pojęcia, jaką to sprawę może mieć do mnie organista.

— Potrzebny jest silny chłop. Ty jesteś silny, to nam pomożesz.

— Ale w czym?

— Trzeba wykopać trumnę i włożyć ją do murowanego grobowca.

— Panie Stasiak, ja nie... Musicie znaleźć kogoś innego...

— Znałeś młodego Matlaka?

— Tak — odpowiedziałem, spuszczać głowę.

— To był twój dobry kolega?

— Był.

— Dla niego to zrobisz.

Na tym dyskusja się skończyła. Organista odwrócił się do mnie plecami i poszedł w kierunku swojego domu.

Trzy dni później, bladym świtem stawilem się ze szpadlem przy grobie Zbyszka. Chwilę potem dołączyli do mnie miejscowy grabarz, organista i Matlakowie. Całą operację należało przeprowadzić jak najszybciej i bardzo dyskretnie. Ksiądz dał wprawdzie nieoficjalną zgodę, ale żadne służby epidemiologiczne nie zostały powiadomione, ponieważ najpewniej nie zgodziłyby się na przeniesienie trumny. Po prostu od pogrzebu minęło zbyt mało czasu.

Pracowaliśmy bardzo intensywnie. Po kilkunastu minutach pierwszy szpadel głucho uderzył o wieko trumny, a dziesięć minut później udało nam się wydobyć ją z dołu. Zabraliśmy się od razu za jej przenoszenie, a wtedy Matlakowa zaczęła nas błagać, aby mogła jeszcze raz, choć przez chwilę spojrzeć na syna. Łkając, mówiła, że jeśli tego nie zrobi, nigdy nie daruje sobie, że nie była na pogrzebie. Organista początkowo stanowczo oponował, jednak gdy zawodzenie kobiety zaczęło być niebezpiecznie głośne, powiedział:

— Pół minuty, pani Matlakowa. Nie dłużej, bo mogą być problemy. Krawczyk... — zwrócił się do mnie — podważ szpadlem wieko.

Zrobiło mi się słabo, jednak bez szemrania spełniłem polecenie. Wieko odskoczyło z zadziwiającą łatwością, a zaraz potem zobaczyliśmy leżącego w trumnie Zbyszka. Żałowałem, że nie odwróciłem wtedy głowy. W spoczywającej na białym materiale postaci z trudem rozpoznawałem swojego przyjaciela. Jego twarz porastała gęsta, biało-zielona pleśń. Najwięcej było jej w oczodołach i w ustach, z których obrzydliwa substancja zdawała się wręcz wylewać. Moim



ciałem wstrząsnęły gwałtowne mdłości, ponieważ jednak, ze względu na Matlaków, nie wypadało reagować zbyt gwałtownie, skierowałem wzrok w jakąś inną stronę, starając się nie myśleć o tym, co zobaczyłem. Wtedy to właśnie nastąpiło coś, czego nie zapomnę do końca życia.

Matka Zbyszka, cicho szlochając, uklękła obok trumny i przytuliła rozkładające się zwłoki do swojej piersi.

— Syneczku — szepnęła. — Mój kochany syneczku...

W powietrzu wyczułem bijący z trumny smród.

— Pani Matlakowa... — odezwał się cicho organista. — Musimy już zamknąć wieko. Pani Matlakowa! — powiedział głośniej.

Spojrzała na niego nieobecny wzrokiem.

— Tak, tak, wiem... — szepnęła ledwie słyszalnie, jak nad kołyską śpiącego dziecka. — Jeszcze tylko chwilka... Jedna chwileczka...

Z kieszeni podomki wyjęła bawełnianą chustkę i czuymi, opiekuńczymi ruchami zaczęła ścierać pleśń z twarzy Zbyszka. Po chwili mój przyjaciel wyglądał niemal tak samo, jak w dniu pogrzebu. Matlakowa uśmiechnęła się czule, spoglądając na to, co pozostało z jej syna.

— Śpij spokojnie, skarbie — powiedziała jeszcze, lekko się uśmiechając, po czym spojrzała na organistę. — Teraz już możecie zamknąć. Dziękuję, panie Stasiak. Dziękuję wam wszystkim. Do widzenia. — To były jej ostatnie słowa, które słyszałem.

Matka Zbyszka wyszła z cmentarza, a my skończyliśmy robotę.

Dwa tygodnie później znów wszyscy się spotkaliśmy w tym samym miejscu. Tym razem na pogrzebie Matlakowej.

## 5.

Gdy tego samego dnia wieczorem odszyfrowywałem nagraną opowieść, z przytoczonym wyżej, początkowym fragmentem nie miałem większych problemów. Krawczyk mówił dość głośno i całkiem wyraźnie, czasem tylko mimowolnie się powtarzając, ale to było łatwe

do poprawienia — wystarczyło po prostu ominąć niektóre niepotrzebnie wtrącone zdania.

Gdy w opowieści dotarł do pogrzebu matki Zbyszka Matlaka, zamilkł na kilka minut. Siedział w bezruchu, a jego porysowana głębokimi zmarszczkami twarz wykrzywiła się w wyrazie smutku. Nie ponaglałem, uznając, że być może zbiera myśli przed kolejną częścią swojej historii, ale nie dane mu było jej od razu kontynuować. Z korytarza dobiegły odgłosy brzękających naczyń, które zdawały się świadczyć o tym, że zbliża się pora obiadu.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich tęga kobieta, a zaraz potem na stoliku Krawczyka pojawiła się przyniesiona przez nią plastikowa taca z dwoma talerzami.

— Nie będę przeszkadzał — powiedziałem. — Wrócę za jakieś dwadzieścia minut, a pan sobie spokojnie zje.

Nie zaprotestowałem. Drżącą ręką sięgnął po łyżkę, a ja wyłączyłem dyktafon i, nie zabierając swoich rzeczy, opuściłem salę.

Kiedy znalazłem się przed budynkiem, okazało się, że większość podopiecznych ośrodka udała się na posiłek, więc mogłem swobodnie pospacerować po parku bez narażania się na ostrzał ciekawskich spojrzeń. Z przyjemnością wdychałem świeże powietrze, jakże inne od tego, które wypełniało duszne pomieszczenia. W głowie ciągle kołatał mi się dość intrygujący początek opowieści Krawczyka i musiałem przyznać przed samym sobą, że jestem bardzo ciekaw dalszego ciągu. Jedno wydawało się pewne — nawet jeśli nie miałbym do załatwienia sprawy związanej z oknami, i tak warto było tutaj przyjechać.

Dotarłem aleją do bramy i przekroczyłem asfaltową drogę, by zaraz potem skierować się w stronę cmentarza. Coś mi mówiło, że domyślam się, w którym pogrzebie mimowolnie wziąłem wcześniej udział. Nieforemny kopczyk na końcu nowo powstającego rzędu grobów i przyczepiona drutem do drewnianego krzyża tabliczka utwierdziły mnie w tym przekonaniu.

— Dlaczego nikogo nie było na pogrzebie pańskiego współlokatora? — zapytałem po powrocie, zajmując swoje miejsce.  
— Był nielubiany? To przecież bardzo niedaleko.

Krawczyk pokręcił głową.

— Nie, mamy tutaj takie nasze zabobony starych ludzi.  
— Uśmiechnął się z zakłopotaniem. — Wiesz, parę razy w przeszłości zdarzyło się, że niektórzy poszli na pogrzeb, a później, po ledwie kilku dniach, po raz drugi wybierali się na cmentarz, tyle że tym razem już na stałe. Chcemy żyć, mój chłopcze. Nawet jeśli życie starca jest nieznośne i byle jakie, to i tak nikomu z nas nie jest spieszno na drugą stronę ulicy...

— Rozumiem. Czy możemy już kontynuować?

— Chwileczkę, jeszcze jedno. W takim miejscu jak to wiadomości roznoszą się lotem błyskawicy... Masz niebieskie auto, prawda?

Przytaknąłem.

— Muszę ci jeszcze powiedzieć, że u niektórych wzbudziłeś swoim przyjazdem przestrah. To nie twoja wina, bo i skąd mogłeś wiedzieć...

— Przestrah? Dlaczego?

— To kolejny miejscowy zabobon. Większość podopiecznych ośrodka żyje w przekonaniu, że samochody w tym kolorze przywożą śmierć. Mówimy o nich „niebiescy posłańcy”. Głupie, prawda?

— Wpatrywał się we mnie wyczekująco.

— Trudno powiedzieć. W każdym razie przepraszam, nie wiedziałem... — Teraz nie miałem problemu ze zrozumieniem złąknionych spojrzeń, które przywitały mnie, gdy wjechałem na teren ośrodka.

— Nie musisz przepraszać. To jak? Kontynuujemy? Mam jeszcze sporo do opowiedzenia, a popołudniami czuję się znacznie gorzej niż rano.

Zanim włączyłem dyktafon, uświadomiłem sobie, że nieprzyjemny zapach rozkładającego się ciała w pokoju jakby się nasilił.

## 6.

Dokładnie tydzień po pogrzebie swojej matki przyśnił mi się Zbyszek. Wyglądał obrzydliwie, chyba jeszcze bardziej okropnie niż wtedy, gdy leżał w swojej trumnie. Teraz pleśń zaczęła już płatami odpadać z jego twarzy, odsłaniając gnijące brunatne mięso i bielejące między nim kawałki czaszki. Widziałem też wyłazące spod popękanej skóry na jego dłoniach kości.

Wszystko rozgrywało się w jednym z naszych ulubionych miejsc — pod starym dębem rosnącym na pagórku za wsią, niedaleko brukowanej drogi, która prowadziła do sąsiedniej wioski. Spotykaliśmy się tam od wczesnego dzieciństwa, czasem sami, czasem w większym gronie. Paliliśmy ogniska, piliśmy samogon, gdy jakimś cudem udało się go zorganizować. Po raz ostatni — dzień przed feralnym wypadkiem z kosiarką...

Trudno było zapomnieć ten sen. Siedzieliśmy naprzeciw siebie na trawie. Smród rozkładającego się ciała mojego przyjaciela był wręcz nie do zniesienia, a wygląd Zbyszka przyprawiał mnie o mdłości, ale... cieszyłem się, że jest ze mną. Od śmierci matki (a może nawet jeszcze przed nią) był przecież najbliższą mi osobą, nie licząc Hanki — dziewczyny, z którą wtedy się spotykałem w tajemnicy przed ojcem.

Rozmawialiśmy przez dłuższą chwilę, wspominaliśmy dobre czasy, on mówił, że teraz normalnie tak nie wygląda, tylko wtedy gdy chce się spotkać z kimś żywym. Niewiele z tego rozumiałem i nie dbałem o to. Przypuszczałem, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, ale mimo tego czułem się dobrze i... i gdy się obudziłem, było mi szkoda. Wolałbym porozmawiać z nim jeszcze trochę.

Najdziwniejsze było zakończenie tego snu. Zbyszek wstał z trudem i powiedział:

— Chciałbym ci pomóc, Dolo. Wiem, że masz problem, i wiem też, że im dłużej to będzie trwało, tym dla ciebie gorzej.

Kiedy zapytałem, co ma na myśli, odparł:

— Chodzi o twojego ojca. Pamiętaj, jeśli nie pozwolisz sobie pomóc, twoje życie zamieni się w piekło na ziemi.

— A skąd ty to możesz wiedzieć?

— Mogę ci pomóc, bo znam cię i wiem, że sam nie dasz sobie rady.

— Ale jak?! Co chcesz zrobić...?

— To, co będzie trzeba — odparł zdecydowanie, a w jego słabym głosie zabrzmiała nuta nienawiści. — To ci się śni, Dolo, ale jeśli chcesz, żebym ci pomógł, po zmroku przyjdź jutro w to samo miejsce. Spotkamy się wtedy i to już nie będzie sen.

Zaraz potem się obudziłem. Przez cały dzień zastanawiałem się nad tym wszystkim. Im więcej godzin mijało, tym bardziej absurdalnym jawił mi się nocny majak; słoneczne światło skutecznie zacierało wrażenie realizmu, towarzyszące mi o poranku. „Nie bądź głupi, takie rzeczy się przecież nie zdarzają” — kołatało mi się pod czaszką.

Wreszcie, późnym popołudniem, nie potrafiłem pojąć, jak ja, dorosły już przecież mężczyzna, mogłem rozważać na serio nocne wyjście z nadzieją na spotkanie Zbyszka. I tak bym to zostawił, gdyby nie wydarzenia, które miały miejsce po wieczornej mszy...

Gdy po jej zakończeniu wróciłem do domu, ojciec siedział przy kuchennym stole i tępy wzrokiem gapił się w przeciwległą ścianę. Naprzeciw niego stała do połowy już opróżniona butelka wódki.

— I co, jebany hitlerowcu?! — wrzasnął, wstając. — Specjalnie to robisz? Specjalnie chcesz mnie ośmieszyć przed całą wioską, debilu? Po to cię posyłałem do szkoły, żebyś nie potrafił do mszy dobrze służyć?

Stał przede mną, sapiąc z wściekłości.

— O co ci chodzi, tato? — zapytałem, ale wiedziałem dokładnie. W czasie mszy byłem trochę rozkojarzony; wróciły wspomnienia związane ze Zbyszkiem i z niezwykłym snem. Raz nawet ksiądz dał mi dyskretnie znać, żebym się skoncentrował na swoich zadaniach. Jestem pewien, że jedyną osobą, która to zauważyła, był mój ojciec.

— Chodzi o to, że nie będziesz mi wstydu przynosił.

— Dobrze, tato, to się już więcej nie...

Z całej siły uderzył mnie pięścią wprost w półotwarte usta. Zatoczyłem się i upadłem na bok. Na języku poczułem słodkawy smak krwi, miałem też wrażenie, że straciłem kilka zębów, ale nie dane mi było sprawdzić tego od razu, bo zaraz potem potężny kopniak wylądował na mojej twarzy, a chwilę później kolejny, i jeszcze jeden. Ojciec bił mnie fachowo i metodycznie. Była to jedna z niewielu rzeczy, w których był naprawdę dobry. Gdy odruchowo zasłoniłem głowę, kopał mnie w żebra i brzuch, do utraty sił... Nagle przestał. Chciałem się podnieść, ale nie dałem rady; w tym czasie solidnie pociągnął z gwinta, a potem wrócił i znów zaczął mnie kopać, tym razem w plecy, w okolice nerek. Zanim straciłem przytomność, uświadomiłem sobie, że chce mnie zakatować na śmierć.

Ocknąłem się w tej samej, skulonej pozycji, wciąż osłaniając głowę rękoma. Każdy ruch powodował ogromny ból, ale udało mi się jakoś podnieść. Na dworze było już prawie ciemno, ale nie na tyle, bym w kuchni nie zobaczył ojca, który spał, opierając głowę o położone na stole dłonie. Stojąca przed nim butelka była pusta. Chciałem go zabić, przysięgam, ale nie byłem do tego zdolny. Wciąż oszołomiony, wyszedłem na dwór i, lekko się zataczając, ruszyłem w stronę dębu, przy którym miał czekać na mnie Zbyszek. W stanie, w którym się znajdowałem, wierzyłem, że sen może okazać się proroczy, a mój przyjaciel wróci z innego świata i pomoże mi rozprawić się ze znenawidzonym ojcem. Cóż, niewiele wcześniej porządnie oberwałem po głowie...

Oczywiście pod dębem nie zastałem nikogo. Mimo tego cieszyłem się, że tam poszedłem. Wtedy woląłem być gdziekolwiek indziej, byle nie w domu, w towarzystwie oprawcy, który wprawdzie nie dokończył swojego zadania, ale w każdej chwili mógł się do niego zabrać ponownie.

Chłód nocy podziałał na mnie trzeźwiąco. Siedziałem w ciemności, wsłuchując się w otaczające mnie odgłosy, i rejestrowałem bolesne sygnały, płynące od poobijanego ciała. Straciłem dwa zęby,

prawdopodobnie miałem też połamane zębra, ale skoro wciąż żyłem, to była szansa, że jakoś się wyliżę.

W pewnej chwili usłyszałem za plecami kroki. Zdążyłem już przekonać sam siebie, że Zbyszek nie przyjdzie, i chyba właśnie kontrast pomiędzy tą trzeźwą oceną sytuacji a dobrze zapamiętanym wizerunkiem na wpół rozkładającego się przyjaciela spowodował nagłe przyspieszenie tętna.

„A jeśli to prawda? Jeśli za chwilę stanie przede mną w stanie, w jakim go widziałem we śnie?” — pomyślałem, a potem podniosłem się i oparłem plecami o pień drzewa.

Noc była bardzo ciemna i nawet jeśli ktoś stałby naprzeciw mnie, to zapewne bym go nie zobaczył, mimo tego z całych sił wpatrywałem się w mrok z nadzieją, że uda mi się go przeniknąć. Nagle do moich nozdrzy dotarł odór rozkładu, a trawa znów cicho zaszeleściła.

— Zbyszek? — usłyszałem swój drżący głos. — Zbyszek, czy to ty...?  
Cisza.

Gdy od strony najbliższego gospodarstwa dobiegło przeciągłe wycie psa, zacząłem dosłownie trząść się ze strachu i nie miało to nic wspólnego z radością ze spotkania przyjaciela, którą pamiętałem ze snu.

Trawa kilka kroków ode mnie znów zaszeleściła, mdły smród stał się wręcz nieznośny, ale trwało to wszystko dosłownie kilka sekund. Niedługo potem znów oddychałem świeżym powietrzem, a wyjący nieopodal pies zamilkł.

Do czasu, gdy wschodni horyzont zaczął jaśnieć, nie wydarzyło się już nic, a przynajmniej ja niczego nie zauważyłem. Przysypiałem kilka razy, więc noc minęła dość szybko.

Wiodącą przez wieś drogę spowijała wilgotna i gęsta poranna mgła, która ograniczała widoczność najwyżej do dziesięciu metrów. Brnąłem przez nią, zastanawiając się, czy powrót do domu jest dobrym pomysłem. Ojciec na kacu bywał jeszcze bardziej niebezpieczny niż po trzeźwemu, a kolejnej charakterystycznej dla niego nauczką mógłbym

naprawdę nie przeżyć, dlatego postanowiłem zakraść się do stodoły należącej do rodziców mojej dziewczyny i tam przeczekać mniej więcej do południa.

Obmyślając plan na najbliższe kilka godzin, siedłem ze spuszczoną głową, przez co stojącą przede mną postać zobaczyłem dopiero wtedy, gdy znalazłem się kilka kroków przed nią. Przystanąłem gwałtownie. Mgła ścieliła się między nami gęstym kobiercem, ale poranna szarówka z każdą chwilą coraz bardziej ustępowała miejsca nadchodzącemu świtowi, dlatego znajomą sylwetkę rozpoznałem bez najmniejszego trudu.

Naprzeciw mnie stał Zbyszek Matlak. Jego twarz była rozmytą, gnijącą plamą, ale garnitur i krawat, w których został pochowany, rozpoznałbym na końcu świata. Nie było mowy o halucynacji, widziałem go tak dokładnie, jak teraz widzę ciebie, chłopcze.

Miałem wrażenie, że w jednej sekundzie krew przestała krążyć w tętnicach, zaczęło mi się kręcić w głowie, a nogi odmówiły nagle posłuszeństwa i nie słuchały, gdy kazałem im jak najszybciej uciekać. Kiedy Zbyszek ruszył w moją stronę, myślałem, że z przerażenia padnę trupem, ale tak się nie stało. Chyba tylko dlatego, że usłyszałem jego dobrze znajomy, choć trochę niższy niż kiedyś głos:

— Byłem przy dębie wieczorem, ale widziałem, jak bardzo się boisz, dlatego pomyślałem, że lepiej będzie porozmawiać z tobą za dnia. — Zatrzymał się w pewnej odległości, lecz na tyle blisko, że czułem bijący od niego odór rozkładu. — Teraz nie wiem, czy to był dobry pomysł... Trzymasz się jakoś?

Przytaknąłem niepewnie.

— Nie bój się, wiem, jak wyglądam, ale to przecież tylko doczesne truchło. Jak ktoś jest w potrzebie, to czasem trzeba je podnieść z ziemi. W potrzebie, tak jak ty, Dolo. Dlatego tu jestem...

Nie potrafiłem nic powiedzieć, ale oddychałem już dużo spokojniej.

— Ale twoja obecność pod dębem nie wystarczy — ciągnął. — Musisz mi powiedzieć, że tego chcesz, bo inaczej nie będę mógł tego



zrobić.

— Że chcę... czego? Czego nie będziesz mógł zrobić?

— Twój ojciec zrujnuje ci życie. Jeśli tego w porę nie przewiesz... nie przerwiemy... to będzie już za późno. Znam cię i wiem, że nie zdołasz sam tego zrobić. Dlatego tu jestem — zakończył znów tym samym zdaniem.

— Co zamierzasz? Czy ty chcesz go...

— Tak. Dobrze się domyślasz.

Z położonego obok gospodarstwa dobiegło przeciągłe wycie, odpowiedziało mu kolejne, od strony usytuowanej nieco dalej zagrody.

— Nie wiem, Zbyszek... To mój ojciec jednak jest.

— Mało cię wczoraj nie zatłukł jak śmiecia, jak najgorszego kundla...

— Wiem, ale... Nie jestem pewien. Muszę zdecydować już teraz, w tej chwili?

Przez chwilę stał nieruchomo.

— Dam ci jeszcze jeden dzień do namysłu, ale już ostatni. Jeśli nie będzie cię jutro w tym samym miejscu, sam będziesz sobie winien.

— Dobrze — odparłem.

Wcześniej starałem się nie patrzeć na jego twarz, teraz to zrobiłem. Nie wyglądał już tak okropnie albo przynajmniej tak mi się zdawało. Podszedł do mnie i wyciągnął rękę.

— W takim razie mam nadzieję, że do jutra.

Wahałem się przez jakiś czas, ale w końcu przemogłem obrzydzenie i ścisnąłem jego dłoń. Była zimna, miękka i oślizgła. Poczułem też drobne kości, wystające spod skóry i rozkładających się tkanek.

Niedługo później stałem na drodze sam, wsłuchując się w oszalałe wycie psów z całej wioski. Zanim ruszyłem dalej, odruchowo przybliżyłem prawą rękę do twarzy. Nie wyczułem niczego, poza zapachem mojego potu i krwi, którą wieczorem ocierałem z ust, a która już dawno zdążyła zaschnąć...

## 7.

Cierpliwie czekałem, aż Krawczykowi minie napad suchego kaszlu, jednak wyglądało na to, że tym razem problem jest poważniejszy. W czasie opowiadania swojej historii mój rozmówca kilkakrotnie przerywał, by poradzić sobie z podobnym atakiem, jednak tym razem prawie się dusił, a z jego oczu płynęły łzy. Zresztą już od kilku minut wypowiedanie poszczególnych zdań przychodziło staruszkowi z coraz większym trudem i miałem wątpliwości, czy zdoła on dokończyć swoją opowieść.

Gestem wskazał mi stojącą obok stolika plastikową butelkę z wodą mineralną. Nalałem pół szklanki, a on wyciągnął rękę, upił kilka łyków, po czym położył się na łóżku i przymknął oczy, ciężko oddychając.

Kiedy wydawało mi się, że zasnął, usłyszałem:

— Nie dam już rady. Wybacz, chłopcze, teraz muszę trochę odpocząć. — Jego głos był tak słaby, że z trudem rozróżniałem poszczególne słowa.

— Ile czasu pan potrzebuje? — zapytałem.

— Chyba całą wieczność. Dziś już nic z tego nie będzie. Przepraszam.

— Może chociaż powie pan, czy następnego dnia pan tam poszedł?

Pokręcił tylko głową i odwrócił się do mnie plecami. Po chwili usłyszałem jego ciężki, ale miarowy oddech, więc najciszej jak to możliwe wymknąłem się z sali.

Siedząc w samochodzie, zastanawiałem się, czy jest sens czekać i jeszcze raz zawracać głowę Krawczykowi. W końcu uznałem, że skoro jednoznacznie stwierdził, że tego dnia nie chce już rozmawiać, to taka próba byłaby z mojej strony sporym nietaktem.

Ostatecznie kierowany przez mnie „niebieski posłaniec” opuścił teren domu starców w Rykowie Górnym, by nigdy już się tam nie pojawić.

\*

Jeszcze tego samego dnia wieczorem wprowadziłem do komputera wszystko to, o czym opowiadał Krawczyk. Historia wyglądała całkiem interesująco, choć do miana najbardziej mrocznej, jaką usłyszałem w życiu, było jej jeszcze daleko. Z jej ostateczną oceną musiałem się

jednak wstrzymać. Moje myśli uparcie zaprzętało wrażenie, że pomimo gorącego prysznic, wziętego zaraz po powrocie, i wyprania wszystkich ubrań, które miałem na sobie w domu starców, wciąż czuję wokół siebie mdławy trupi zapach. Okna były otwarte na oścież, a mimo tego mógłbym przysiąc, że wciąż mi towarzyszy. Z pewnością wracały koszmary z dzieciństwa, gdy w wieku niecałych dziesięciu lat odwiedzałem w szpitalu umierającą najukochańszą na świecie babcię. Mimo zabiegów personelu to wtedy po raz pierwszy poznałem zgniły zapach odleżyn — ten sam, z którym miałem do czynienia kilka godzin wcześniej.

Zebrałem ze sznura mokre pranie, raz jeszcze załadowałem je do pralki, wlewając do pojemnika podwójną dawkę intensywnie pachnącego płynu do płukania, a następnie po raz kolejny wskoczyłem pod prysznic. Dopiero wtedy przykre wrażenie ustało.

Siedząc przy biurku, mogłem się wreszcie spokojnie zastanowić na tym, na ile przekazane mi fakty to autentyczne wydarzenia, a na ile są jedynie wymysłem starego, schorowanego człowieka, który u kresu swojego życia chciałby zaistnieć na łamach popularnego pisma i w ten sposób zapisać swoją kartę w historii. Tak czy inaczej, nie uznałem dnia za stracony. Tym bardziej gdy wspominałem swoje okna, których produkcja w firmie ONZ z pewnością wkroczyła już w pierwszą fazę.

\*

Nazajutrz, jeszcze przed wyjściem do pracy, popijając swoją rytualną kawę, przejrzałem na chłodno cały wydrukowany tekst i uznałem już ze stuprocentową pewnością, że warto by wysłuchać Krawczyka do końca. Niezależnie od wszystkiego byłaby to naprawdę ciekawa podstawa solidnego artykułu, a jeśli nie musiałbym, zgodnie z daną obietnicą, odwoływać konkursu (szanse na taki bieg spraw oceniałem jako naprawdę nikłe), to w ten sposób udałoby mi się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Mimo wyraźnego wewnętrznego oporu postanowiłem pojechać raz jeszcze do Rykowa Górnego, ponieważ jednak był piątek i akurat trwały

ostatnie prace redakcyjne nad najnowszym numerem „Twojego Medium”, wyjazd musiał zostać odłożony przynajmniej do poniedziałku.

Około piętnastej okazało się, że nie ma szans, bym mógł ruszyć się z biura zaraz po weekendzie. Naczelnny wyjeżdżał na wesele, gdzieś w Bieszczady, i zamierzał wrócić dopiero we wtorek wieczorem, a że miałem za zadanie zastępować go podczas nieobecności, mój ewentualny wyjazd był możliwy najwcześniej w środę. Najwcześniej, ponieważ takie wyjazdy Naczelnego bardzo często „nieoczekiwanie” się przedłużały.

\*

„Tylko mi tam nie umrzyjcie, dziadku” — to zdanie, wypowiedziane przeze mnie podczas telefonicznej rozmowy z Krawczykiem, wciąż kołatało mi się pod czaszką, gdy nie mogąc zasnąć, przewracałem się w łóżku w nocy z piątku na sobotę.

\*

W sobotę zastałem go w bardzo kiepskim stanie.

Z półprzymkniętymi powiekami leżał pod kołdrą, ciężko oddychając. W jego prawe przedramię wbity był wenflon, przez który do schorowanego organizmu z plastikowego pojemnika, umocowanego na stojaku obok łóżka, sączył się przezroczysty płyn kroplówki. Najpierw pielęgniarka nie chciała mnie wpuścić, ale w końcu zgodziła się na maksymalnie pół godziny. Obawiałem się, że to może nie wystarczyć.

Na początku miałem wątpliwości, czy Krawczyk w ogóle mnie rozpoznaje, ale po chwili uśmiechnął się słabo i wyszeptał:

— Myślałem, że już nie zdążysz, chłopcze.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc po prostu usiadłem na „swoim” miejscu.

Jedno mnie zastanawiało... Sobota była dość chłodna, od rana trochę padało, dzięki czemu w budynku było o wiele przyjemniej niż poprzednio. Nawet przykre zapachy z przedsionka i korytarza — wcześniej wręcz nie do wytrzymania — teraz zdawały się zdecydowanie mniej intensywne. Ale nie w sali Krawczyka. Okno było otwarte szerzej,

niż je zostawiłem, ale odór rozkładu gryzł w oczy i powodował problemy z oddychaniem. Jak to możliwe, skoro od śmierci drugiego lokatora tego pomieszczenia minęło już tyle czasu? Wreszcie uznałem, że być może to kwestia odleżyn u mojego znajomego, o których nie wiedziałem wcześniej. Tak czy inaczej, nie sądziłem, że uda mi się wytrzymać chociażby te umówione z pielęgniarką pół godziny.

— Masz ze sobą dyktafon?

— Tak — odparłem i wyjąłem urządzenie z torby.

— Włącz go i wróc za godzinę.

— Jeśli źle się pan czuje, to...

— Zrób to! — warknął i przez chwilę walczył z kaszlem. — Innej okazji nie będzie.

— Niech pan tak nie mówi. Lekarstwa i kroplówka... — Przerwałem, bo spojrzał na mnie tak, że dalsze przekonywanie przestało mieć sens.

— Da pan radę mówić wystarczająco głośno?

— Postaram się.

Uruchomiłem dyktafon i razem ze stolikiem przysunąłem go jak najbliżej głowy Krawczyka. Wychodząc, przypomniałem sobie pytanie, które nurtowało mnie od dwóch dni. Miałem nadzieję, że je usłyszał, ale już o to nie dopytywałem. Po prostu zamknąłem za sobą drzwi, wyszedłem na zewnątrz i ruszyłem do samochodu, który tym razem zaparkowałem dobre kilkaset metrów przed bramą wjazdową na teren ośrodka.

## 8.

Dlaczego nazywał mnie hitlerowcem? Wszystko przez imię, które sam mi nadał. W okresie międzywojennym było ono dość popularne i nie raziło tak jak teraz. Co ciekawe, gdy po trzydziestym trzecim do wsi od czasu do czasu zaczęły docierać wieści o tym, co dzieje się w Niemczech, był wręcz dumny, że jego syn ma na imię tak samo, jak wielki wódz zachodniego mocarstwa... Nietrudno się domyślić, że

wszystko to zmieniło się w czasie wojny, a prawdziwe piekło zaczęło się dla mnie po jej zakończeniu.

Mój ojciec nie miał na tyle odwagi, by dołączyć do partyzantki, ale za to, gdy już zrobiło się bezpiecznie, wypowiedział swoją prywatną wojnę innemu Adolfowi. Szydził ze mnie, nazywając hitlerowcem, gestapowcem, szwabską świnią, i to nie tylko w cztery oczy, ale też w towarzystwie swoich znajomych, a nawet przy moich kolegach...

Ale nie o tym miałem mówić.

Po tym, co usłyszałeś wcześniej, pewnie nie masz zamiaru odwołać konkursu, prawda? Historie z żywymi trupami to na pewno dla ciebie normalka, chłopcze. Ale tak naprawdę, to wcale nie chciałem, żebyś przyjechał tu posłuchać o moim spotkaniu ze Zbyszkiem po jego śmierci. Chodziło mi o zupełnie coś innego i właśnie nadeszła odpowiednia chwila, by wyjawić moje pobudki. Jeśli zechcesz, wykorzystasz to, co powiem, i podasz dalej. Jeśli nie, po prostu wszystko wykasujesz. Twoja wola.

Teraz jestem stary i umieram, ale wiele przeżyłem. I wiesz co? Nie było chyba dnia, w którym bym nie myślał o Zbyszku i jego matce, gdy widziałem ich tam, na cmentarzu. I może nie uwierzysz, ale to wcale nie były niechciane myśli. Coś, co mógłbym pamiętać jako najokropniejszą rzecz, pozostało w mojej pamięci jako wzruszająca scena obrazująca matczyną miłość. Pewnie to głupie, ale — Bóg mi świadkiem — często wracając do tamtych zdarzeń, najzwyczajniej w świecie zazdrościłem Zbyszkowi, że był w jego życiu ktoś, kto kochał go aż tak bardzo. Nie potrafię wyrazić, jak strasznie mi tego przez całe życie brakowało.

Jeśli tylko potrafiłbym znów wrócić do owego wieczoru, gdy o świcie spotkałem Zbyszka...

Gdy miałem dwadzieścia dwa lata, ojciec zażądał, abym zerwał z Hanką, której nigdy nie lubił, i ożenił się z bogatą, nieco starszą ode mnie kobietą, do której nic nie czułem. Byłem zbyt słaby, nie potrafiłem mu się przeciwstawić. Męczyliśmy się nawzajem w tym papierowym związku przez kilkanaście lat, aż wreszcie odeszła, zabierając dzieci,

które kochałem nad życie. Tyle że one mnie nienawidziły i nadal nienawidzą z całego serca. Dla nich nie istnieje ktoś taki jak ojciec. Nie chciały się ze mną widywać, przyjmowały tylko przesyłane przeze mnie pieniądze. W końcu całkowicie przestaliśmy się kontaktować. Do dziś nie wiem, dlaczego tak było. Wciąż łudzę się, że nie ma w tym mojej winy, że to moja była żona nastawiła dzieci przeciwko mnie. Ale coraz częściej dopadają mnie myśli, że jednak mogłem być lepszym ojcem.

Kiedy zostałem sam, przy życiu trzymała mnie beznadziejnie nudna i uwsteczniająca praca, której nienawidziłem z całego serca, ale dzięki której przynajmniej zmuszałem się, żeby każdego dnia wyjść z domu. Później zachorowałem i musiałem spędzać całe dni w czterech ścianach, wpatrując się w idiotyzmy, które pokazywała telewizja. Mój brat nie żyje od piętnastu lat, siostra wyjechała do Stanów pod koniec lat sześćdziesiątych i słuch o niej zaginął. Nie mogłem liczyć na jakąkolwiek pomoc, więc wreszcie musiałem podjąć decyzję o przeprowadzce do domu starców, ponieważ moja renta nie wystarczałaby na opłacenie opiekunki.

I tu dochodzimy do sedna sprawy, do przyczyny, dla której chcę, abyś odwołał ten przekłety konkurs. Chciałbym coś przekazać młodym, początkującym autorom: nie wymyślajcie niestworzonych opowieści o duchach, zjawach czy upiorach. Gdy idziecie ulicą, spójrzcie w twarz starca niedołąźnie zmiierzającego w przeciwnym kierunku. Spójrzcie w jego oczy, a w wielu wypadkach wyczytacie w nich tak mroczne historie, że trudno wam będzie zasnąć wieczorem. A gdy już wam się uda, to śnić będziecie koszmary o czasach, w których — za jakieś kilkadziesiąt lat — będziecie sunąć pod murami kamienic, ustępując z drogi młodszym.

Pamiętajcie, Bóg jest doskonały. Wiedźcie, że skoro wymyślił istnienie takich ludzi jak ja, o których już godzinę po pogrzebie nikt nie będzie pamiętał, to wy nie jesteście w stanie wymyślić nic lepszego. Zamiast ślęczeć z piórem nad kartką papieru czy przy monitorze komputera,

idźcie w świat, aby rozjaśnić waszą historię najmniejszym choćby promykiem...

## 9.

Bardzo ciężko było mi rozszyfrować ostatnich kilkanaście zdań. Narracja wielokrotnie była przerywana kaszlem, Krawczyk mówił coraz bardziej niewyraźnie, coraz ciężiej oddychał, przerwy pomiędzy poszczególnymi zdaniami (później nawet pomiędzy pojedynczymi słowami) były coraz dłuższe, ale po wielokrotnym przesłuchaniu uznałem, że nie straciłem ani słowa. Po skończeniu swojej historii zasnął ciężkim snem i do momentu, gdy wróciłem, nie powiedział nic więcej. Potem okazało się, że nagranie od chwili jego zaśnięcia zawiera tylko ciężki, chrapliwy oddech i natarczywe tykanie wiekowego budzika. Ponieważ Krawczyk spał, nie chciałem go budzić. Po prostu zabrałem ze stolika wciąż pracujący dyktafon i wyszedłem bez pożegnania.

Miałem całe sobotnie popołudnie, niedzielę i poniedziałkowy poranek na podjęcie decyzji. Wielokrotnie czytałem słowa Krawczyka i wreszcie, zaraz po przyjsciu do pracy, oznajmiłem sekretarzowi redakcji, że unieważniamy konkurs, oraz poleciłem zamieszczenie stosownego ogłoszenia w najnowszym numerze. Zdążyłem z tym w ostatniej chwili. Swoją drogą, dobrze że to ja byłem wtedy upoważniony w firmie do podejmowania takich decyzji, bo z Naczelnym miałbym na pewno spore kłopoty. Zresztą wiedziałem, że i tak będę je miał, ale zupełnie o to nie dbałem.

\*

Jak można się było spodziewać, powrót mojego szefa opóźnił się o jeden dzień, więc dopiero we czwartek mogłem wziąć sobie wolne. Skorzystałem z urlopu na żądanie, wrzuciłem na siedzenie pasażera najnowszy numer „Twojego Medium” i ponownie ruszyłem na spotkanie z Krawczykiem. Po pierwsze po to, by pokazać mu pismo i poinformować o tym, że wygrał nasz specyficzny zakład. Drugim powodem wyjazdu było to, że nie dokończył mi jeszcze opowieści



o tym, co stało się następnego dnia po spotkaniu z jego przyjacielem. Właściwie nie miało to teraz większego znaczenia dla całej sprawy, ale ciekawość może przecież dopaść każdego, prawda?

\*

W samo południe stanąłem nad dwiema położonymi obok siebie, niemal bliźniaczymi, świeżymi mogiłami. Niedbale wypisane na obu tabliczkach litery układały się w to samo nazwisko. Nie pamiętałem, kiedy poprzednio płakałem nad czyimś grobem — całkiem prawdopodobne, że było to na pogrzebie babci... Tym razem znów mi się to przytrafiło.

Pojechałem do Rykowa, gdzie kupiłem dwa wielkie wieńce. Do tego mnóstwo różnego rodzaju zniczy — chciałem, żeby wyglądały tak, jakby na groby przyniosło je wiele osób. Gdy je zapalałem, w głowie dzwoniły mi dwa zdania. Pierwsze z nich — dobrze znane — wywoływało uczucie złości na samego siebie. Mieląc je w myślach, postanowiłem starać się nigdy więcej nie powtarzać tego cynicznego sformułowania, które przeszło mi przez myśl podczas telefonicznej rozmowy z Krawczykiem. Drugie zdanie brzmiało: „Teraz już zawsze będziecie leżeć obok siebie”. Pamiętam, że kołatało mi się w głowie jeszcze w momencie, gdy zaparkowałem auto przed swoim domem.

Wtedy też pomyślałem, że pewnie moje okna są już gotowe i mogę wstąpić do ONZ-etu, by się o tym upewnić.

A potem byłem z siebie dumny, o ile to dobre słowo, że w Rykowie w ogóle nie przyszło mi to do głowy. Bo przecież miałem tam na niej o wiele ważniejsze sprawy.

## 10.

Piątkowa afera o anulowanie przeze mnie konkursu „Mroczne historie” była o wiele mniej burzliwa, niż się tego spodziewałem. Naczelný trochę się zżymał, ale udobruchałem go zapowiedzią większego artykułu, który związany będzie z moimi ostatnimi wyjazdami. Poza tym miałem wrażenie, że po weselu znów wpadł

w lekki martwy ciąg z flaszką w tle i głównym jego zmartwieniem było to, by dzień jak najszybciej się skończył. Na pewno cieszyła go perspektywa spokojnego ukojenia w objęciach czterdziestoprocentowej kochanki.

Ja z kolei myślałem już o remoncie domu. Okna miały dojechać wieczorem, a akcja „Odnowa Mieszkania” i związany z nią dwutygodniowy urlop rozpocząć się miały następnego dnia.

\*

Wszystko odbyło się nadspodziewanie bezboleśnie, a wspomniany czas, choć okupiony solidnym zmęczeniem (a może właśnie dlatego), minął nad wyraz szybko.

W niedzielę wieczorem w wyremontowanym i wysprzątanym na błysk mieszkaniu przygotowywałem się do powrotu do pracy. Zderzenie z szarą rzeczywistością nadchodziło nieubłaganie. Ostatnim przedmiotem, jaki pozostał mi do spakowania, był dyktafon, który ostatnio użyty został w sali Krawczyka. Zanim skasowałem nagranie, postanowiłem jeszcze raz posłuchać całej historii, a potem uznałem, że warto zgrać ją na dysk. Wtedy właśnie odkryłem, że wcześniej nie odsłuchiwałem wszystkiego...

Po dłuższej przerwie na sen Adolf Krawczyk odezwał się do mnie raz jeszcze. Tym razem czułem się tak, jak gdyby mówił do mnie zza grobu. Każde kolejne zdanie przyprawiało mnie o dreszcz, a włoski na karku podnosiły się, gdy wsłuchiwałem się w to, co miał mi do powiedzenia. Miałem wrażenie, że stoi tuż obok i słabym głosem szepce mi do ucha...

## 11.

Pewnie chcesz wiedzieć, jak skończyła się historia ze Zbyszkiem i czy wtedy tam poszedłem?

Na pewno domyśliłeś się, że nie, skoro gdy miałem dwadzieścia dwa lata, mój ojciec wciąż żył i nakłonił mnie do ślubu. Masz rację, ale towarzyszyła temu jeszcze jedna okoliczność...

Kiedy obudziłem się w stodole, po raz kolejny poczułem intensywny smród. Najpierw pomyślałem, że to Zbyszek, że jednak wbrew zapowiedziom nie odszedł i jest gdzieś obok. Rozejrzałem się wokół, ale byłem sam. Zacząłem szukać źródła nieprzyjemnego zapachu i wreszcie zrozumiałem, że to moja prawa dłoń — dłoń, którą przywitałem się o świcie z moim przyjacielem. Była pokryta zaschniętymi strupami, poza tym wyglądała normalnie, tylko śmierdziała tak, jakby była dłonią zmarłego już jakiś czas temu Zbyszka.

Nie mogłem tak pójść do domu. Gdy gospodarze i Hanka poszli pracować w polu, starałem się umyć przy studni. Było tam mydło, ale moje zabiegi na nic się zdały... Mało tego — zdawało mi się, że jest coraz gorzej. Nie mogłem wrócić w takim stanie, bo ojciec by mnie zabił, gdyby wyczuł, że tak śmierdzę. Zostałem więc cały dzień i całą noc w stodole.

Pod dąb, oczywiście, nie poszedłem. Bałem się. Nie wiem, czy ponownego spotkania ze Zbyszkiem, czy tego, że faktycznie mógłby on unicestwić mojego ojca.

Następnego dnia, jeśli chodzi o moją rękę, wszystko wróciło do normy, a Hanka, którą ukradkiem poprosiłem o coś do zjedzenia, powiedziała mi, że przez cały poprzedni dzień pijany w sztok ojciec szukał mnie z siekierą w ręku. Zabił mojego ulubionego psa, roztrzaskał ganek w naszym domu i klął się na wszystkie świętości, że jeśli mnie spotka, to nie ujdę z życiem.

Wróciłem dopiero po trzech dniach i jak gdyby nigdy nic zabrałem się za naprawianie zdemolowanego domu. Burza minęła.

I to w zasadzie byłoby tyle, gdyby nie pewne zdarzenia, które spotkały mnie po latach...

Już po tym, gdy opuściła mnie żona z dziećmi, a ja mordowałem się ze swoją znieawidzoną pracą, przyszedł dzień, którego nie zapomnę do końca życia... Czyli już pewnie niedługo będę go pamiętał... Zabawne, prawda?

Goliłem się rano przed lustrem, gdy znów poczułem ten okropny odór rozkładającego się ciała. Próbowałem go zmyć ze swojej prawej dłoni, ale bezskutecznie. W końcu zrezygnowałem, bo nie mogłem sobie pozwolić na spóźnienie, ale i tak wyszedłem z domu kilkanaście minut później niż zwykle.

Słup przystankowy, spod którego zawsze odjeżdżałem, otoczony był wianuszkami gapiów. Chwilę wcześniej przeszła burza, ale ciągle lało, więc dziwiłem się, że na otwartej przestrzeni, nie zważając na deszcz, znajduje się tyle osób. Po chwili nadjechała karetka na sygnale, a ja podszedłem bliżej i zobaczyłem mojego sąsiada, z którym zwykle przed przyjazdem autobusu ucinaliśmy sobie małą pogawędkę. Zginął od uderzenia pioruna. A ja, gdybym był tam o czasie, również bym już nie żył.

Innym razem podobna historia spotkała mnie przed wyjazdem na zakładową wycieczkę do Krakowa. Znów ręka, znów spóźnienie i... znów wypadek. Tym razem w katastrofie autokaru, którym miałem jechać, zginęło sześć osób, w tym mój kolega z pokoju, obok którego zamierzałem usiąść.

Później jeszcze dwa razy budziłem się, czując, że z moją ręką znów dzieje się to samo, ale nigdy w takiej sytuacji nie wyszedłem z domu. Nie wiem, czy to przekleństwo, czy opieka ze strony sił, o których nie mam pojęcia. Biorąc pod uwagę moje spaprane życie, to być może jest to jakiś rodzaj kary za mój brak odwagi w młodości? No ale cóż, nawet nieznanne siły mogą mieć nadzieję, że będę potrafił wreszcie coś zmienić.

Tak sobie myślę, że...

## 12.

Nigdy nie dowiedziałem się, jaka była jedna z ostatnich myśli Adolfa Krawczyka. Wolne miejsce na nagrania skończyło się właśnie w tym momencie.

Dowiedziałem się natomiast czegoś innego.

\*

Tej nocy zasnąłem niemal natychmiast, ale nie dane było mi spać zbyt długo.

Okolo pierwszej trzydzieści obudziło mnie wrażenie duszności. Poderwałem się i stanąłem obok łóżka. Dopiero wtedy do mnie dotarło, że nowo wyremontowane, jeszcze wieczorem pachnące świeżą farbą mieszkanie, tonie w trupim odorze. Wtedy jeszcze moja dłoń nie cuchnęła zbyt mocno, ale z każdą minutą było z nią coraz gorzej. Wpadłem w jakiś rodzaj transu i szorowałem ją prawie do świtu, ale niewiele to pomagało. Wreszcie musiałem się poddać. Owinąłem dłoń w dwa foliowe worki, a później starannie okręciłem grubym ręcznikiem i w takim stanie doczekałem do dzwonka budzika. W międzyczasie zastanawiałem się, kiedy to się stało. Tylko raz uścisnąłem rękę Krawczyka — wtedy, gdy widziałem go po raz pierwszy. Z drugiej jednak strony, pamiętałem to, co wyczułem zaraz po przebudzeniu, ale wtedy z ręką jeszcze nie było tak źle... Czyżby on...

Nie, to przecież niemożliwe.

Niemożliwe, prawda?

\*

Nigdy nie dowiedziałem się, co wtedy zaszło, jednak zamiast wyjść rankiem do pracy, sięgnąłem po telefon.

— Dzień dobry, szefie — powiedziałem. — Zdaje się, że mam jeszcze jeden dzień urlopu na żądanie do wykorzystania...?

---

## **Rowerzysta**

### **1.**

Funkcjonariusz lokalnej drogówki, w stopniu aspiranta, podczas odbierania wstępnych zeznań dotyczących zdarzenia prawie giął się w pól.

Ofiarę wypadku kilka minut wcześniej zabrała karetka.

— Czyli, panie sędzio, czyli zobaczył pan w lusterku, że ten chłopak się przewraca? — zapytał policjant.

Czekał na odpowiedź z długopisem i notatnikiem w ręku, zwarty i gotów zapisać każde słowo. Nie pytał byle kogo, i dobrze o tym wiedział.

Sędzia Jacek Horodecki pomimo młodego wieku był już wiceprezesem sądu rejonowego i miał przed sobą naprawdę interesujące perspektywy. Mówiono, że już wkrótce może objąć podobne stanowisko w sądzie okręgowym. Jeśli ktoś zechciałby zasięgnąć w tej sprawie opinii aspiranta Kosiby (który właśnie obficie pocił się pod białą czapką), to funkcjonariusz poparłby tę kandydaturę obiema rękoma. Z sądem nie ma żartów, a teraz jeszcze to zdarzenie, które w przyszłości może wpłynąć na przebieg służby. Niech no tylko popełni jakiś błąd, a sędzia Horodecki już go sobie zapamięta. Kosiba pluł sobie w brodę, że nie zgodził się na zmianę w grafiku służby, o którą prosił Jańczak. Teraz to on musiałby się martwić.

— Tak jak wspomniałem już wcześniej... — zaczął Horodecki nosowym, nonszalanckim tonem, starając się lekko zabarwić swoją wypowiedź angielskim akcentem; widział, jak robi tak jeden z ministrów i bardzo mu się to spodobało. — ...po prostu go minąłem i chwilę potem zobaczyłem w lusterku, jak traci równowagę i wpada do rowu. Zatrzymałem auto i cofnąłem, żeby sprawdzić, czy nic mu nie jest. Leżał nieprzytomny, krew wyciekała spod kasku, więc wezwałem pomoc.

Stali na utwardzonej tłuczniem drodze prowadzącej do osiedla zadbanych domków jednorodzinnych. Sędzia Horodecki niedbale opierał się o swoje wciąż jeszcze nowe audi A6. Kosiba pomyślał, że na taki samochód on musiałby pewnie pracować z pięć lat. Oczywiście przy założeniu, że nie wydałby w tym czasie ani grosza na jedzenie, czynsz czy ubrania dla dzieci. Przełknął ślinę, ponieważ nie wiedział, dokąd może go zaprowadzić następne pytanie.

— Rozumiem, że nie próbował pan mu udzielać pomocy? — Robił wszystko, żeby w jego głosie nie zabrzmiała nawet nuta napastliwości lub sugestii, że sędzia postąpił niewłaściwie.

— Rozwahałem to, ale miał głowę wykręconą pod nienaturalnym kątem, sam pan zresztą widział... Obawiałem się, że może uszkodził kręgosłup na odcinku szyjnym i uznałem, że swoją pomocą... — Wykonał palcami w powietrzu znak cudzysłowu. — ...bardziej mu mogę zaszkodzić niż pomóc.

Nagle zaczął przyglądać się policjantowi z uwagą, jakby starając się wyczytać coś z wyrazu jego twarzy.

— Sądzi pan, że postąpiłem niewłaściwie?

„Sądzę, że prawdopodobnie tak” — miał ochotę odpowiedzieć Kosiba, ale zamiast tego wzruszył ramionami i odparł:

— Sądzę, że prawdopodobnie zrobił pan dobrze, panie sędzio. Z kręgosłupem to nigdy nic nie wiadomo. — Trochę się siebie brzydził, bo na pierwszy rzut oka było widać, że skręcenie głowy wcale nie było aż tak bardzo nienaturalne (patrol przybył na miejsce jakieś dwie minuty przed karetką i funkcjonariusze natychmiast rozpoczęły resuscytację). — Gdy pan do niego podszedł, to normalnie oddychał, tak?

— Tak. Na pewno.

Policjant nie powiedział już nic na temat tego, że — o ile taka była prawda — potem przestał, bo być może zadławił się własnym językiem. Gdyby Horodecki ułożył poszkodowanego w pozycji bocznej ustalonej, to pewnie by do tego nie doszło.

— Gdyby pan, panie sędzio... sobie jeszcze coś przypomniał, to...

— Cóż jeszcze mógłbym sobie przypomnieć? — odpowiedział tamten, już lekko zniecierpliwionym głosem. — Chłopak jechał na rowerze, zachwiał się i po prostu uderzył w jakiś kamień, a ja akurat byłem świadkiem tego, że się przewrócił. I dobrze, że akurat przejeżdżałem, bo mógłby tak leżeć o wiele dłużej. Cóż mógłbym sobie jeszcze przypomnieć?

— No, w sumie, chyba ma pan rację. Dziękuję. — Aspirant Kosiba odruchowo zasalutował, jakby miał do czynienia z przełożonym. — Będziemy się pewnie jeszcze kontaktować z prośbą o złożenie zeznań do protokołu.

Sędzia skinął głową, po czym bez słowa wsiadł do swojego czarnego audi i odjechał w kierunku osiedla, nieoficjalnie nazywanego w mieście Wipówką.

\*

Otworzył bramę pilotem i wjechał na podjazd przed domem, a potem spojrzał w stronę zadbanego trawnika. Zobaczył, że Paulina grabi opadłe liście ozdobnego klonu, który sadzili wspólnie jeszcze przed zakończeniem budowy. Obok niej kręciła się Julka, która jak tylko zobaczyła wjeżdżające auto, natychmiast rzuciła się z piskiem w jego stronę. Ledwie zdążył wysiąść, a już trzymał ją w ramionach — śmiejącą się i całą w skowronkach.

— Tata! Tata ijechał! — krzyczała na całe gardło.

Podniósł ją do góry i zakręcił się wokół własnej osi, tak jak lubiła najbardziej. Jego dwuipółletnia córeczka była w siódmym niebie.

Ciągle trzymając ją na rękach, ruszył w stronę Pauliny, która obserwowała ich z uśmiechem.

Był niespotykane ciepły początek października. Na otwartych przestrzeniach snuły się dymy z ognisk, słońce dawało przyjemne ciepło, momentami zbliżone do tego odczuwalnego latem. Po niebie od czasu do czasu szybowwały klucze odlatujących na zimę ptaków.

Taką właśnie pogodę Jacek Horodecki lubił najbardziej i cieszył się, że towarzyszy ona zarówno jego coraz mocniejszej pozycji w pracy, a także lepszym dniom w domu, z Pauliną i Julką. Zdawał sobie sprawę, że poświęcał im zbyt mało czasu, ale robił wszystko, by to zmienić. Jak na przykład tego dnia, bo wrócił do domu już przed czwartą.

Pocałował żonę w usta. Długo i bardzo niegrzecznie.

— Jest coś dobrego na obiad? — zapytał.



— Jest i na obiad, i na baaardzo późną kolację — odparła, uśmiechając się znacząco. — Bardzo się cieszymy, że tak wcześnie wróciłeś. Piękna pogoda, prawda? Może zjemy dziś na zewnątrz?

— Świetny pomysł — powiedział z niekłamany entuzjazmem. — A pogoda... faktycznie niesamowita. Nie pamiętam chyba tak ciepłego października.

Przez chwilę, tylko przez jeden moment, jego pogodny spokój zakłóciła myśl o tamtym rannym chłopaku. Przyszło mu do głowy, że zanim upadł, też pewnie cieszył się tak pomyslną aurą. Teraz będzie pewnie do wiosny dochodził do siebie.

„Może powinienem zacząć go ratować? No ale skoro nawet ten gliniarz powiedział, że dobrze zrobiłem, to czym tu się przejmować? Dobrze, że w ogóle byłem w pobliżu”.

\*

Obiad zjedli w dobrym nastroju, popołudnie również spędzili za dworze.

Julka trochę bawiła się w piaskownicy, trochę siedziała na kolanach Jacka, oczywiście nie mogła zostawić też w spokoju mamy, która wróciła do grabienia liści.

Horodecki popijał piwo i przyglądał się im z uśmiechem, dziwiąc się, że jeszcze trzy lata temu obawiał się, czy podoła roli męża i ojca. Teraz, gdyby tylko mógł cofnąć czas, postąpiłby dokładnie tak samo i wskoczył do tej samej, łagodnie niosącej go w stronę starości rzeki. Może tylko trochę szybciej poprosiłby Paulinę o rękę.

Jego żona pracowała w domu, chociaż pewnie bardziej po to, żeby czymś się zająć niż z konieczności. Była tłumaczem języka francuskiego, więc w małym mieście nie było dla niej zbyt wielu zleceń. Czasem dzięki Internetowi trafiało się jakieś tłumaczenie, miała też dwie uczennice, którym dwa razy w tygodniu udzielała prywatnych lekcji. Najważniejsze było jednak to, że więcej czasu mogła spędzać z Julką, bo to przecież dla takiego dzieciaka bardzo ważne. Bez wątplenia po

małej było widać, że rozwija się doskonale. Była bystra, pełna życia. No i bez pamięci zadurzona we własnym ojcu. Zresztą z wzajemnością.

Miała ciemnobrązowe włosy i oczy jak węgielki. Gdy się uśmiechała, na jej policzkach tworzyły się urocze dołeczki, co rozczulało Jacka prawie do łez. „Jak Julka dorośnie, jej absztyfikant będzie musiał stoczyć ze mną wielką batalię” — mówił czasem do żony. Niby w żartach, ale czy na pewno? Tego akurat nie był pewien na sto procent.

Zastanawiał się, czy przynieść z lodówki jeszcze jedno piwo, ale spojrzał na swój coraz większy brzuch i zrezygnował, stwierdzając — jak prawie po każdym obfitym posiłku — że musi przejść na dietę. W wieku trzydziestu dziewięciu lat miał około piętnastu kilogramów nadwagi, a to nie wróżyło dobrze na przyszłość.

„Może by tak rower...? — pomyślał i natychmiast spochmurniał. — Ciekawe, co z tym młodym...”

\*

Nie spełniła się zapowiedź Pauliny odnośnie do „baaardzo późnej kolacji”. W lokalnych wiadomościach o osiemnastej trzydziści podano informację, że ciężko ranny w wypadku uczeń miejscowego liceum walczy w szpitalu o życie. Nadano krótką rozmowę z lekarzem, który określał stan Leszka, spowodowany przez ciężki uraz mózgu, jako bardzo poważny i bezpośrednio zagrażający życiu.

— Pacjent jest w śpiączce i oddycha za pomocą respiratora. Będziemy na bieżąco informować o postępach w leczeniu — zakończył lekarz.

Później pokazano zdjęcie młodego człowieka, w którym Horodecki rozpoznał często mijanego tu, w okolicy, rowerzystę (od niedawna jeździł w kasku, a wcześniej za każdym razem z gołą głową i rozczochranymi blond włosami). Z telewizora patrzył niebieskimi oczyma pogodny, prostolinijny chłopak, przed którym jeszcze było całe życie.

Na koniec materiału pokazano krótki wywiad z grupką przyjaciół Leszka, czuwającą przy wejściu do szpitala. Okazało się, że jest on jednym z najlepszych uczniów w województwie, laureatem wielu olimpiad, w tym zdobywcą pierwszego miejsca w centralnej olimpiadzie fizycznej.

— On po prostu nie może umrzeć — mówiła zapłakana dziewczyna, podpisana w materiale jako „Julia, koleżanka Leszka”. Chciała jeszcze coś dodać, ale wrywający się z krtani szloch jej na to nie pozwolił.

— Boże, jakie to straszne — odezwała się Paulina, siedząca obok na sofie. — Popatrz, takie nieszczęście. Aż strach pomyśleć, co teraz czują jego rodzice.

Pobyli jeszcze trochę razem, a potem Jacek poszedł do gabinetu i spędził tam pozostałą część wieczora, tłumacząc się bólem głowy. Po jedenastej Paulina przyszła zapytać, czy położy się razem z nią, ale wykręcił się i poszedł do łóżka dopiero wtedy, gdy był pewien, że żona już zasnęła.

Od jej wyjścia z gabinetu aż do zaśnięcia, cały czas zastanawiał się, dlaczego nie wspomniał jej, że to właśnie on był pierwszym świadkiem zdarzenia, w którym ucierpiał ten licealista.

I nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

## 2.

Jacek obudził się kompletnie niewyspany.

Nocą dręczyły go koszmary, w których główną rolę odgrywał młody chłopak z blond czupryną i uśmiechniętą twarzą. Spod jego rowerowego kasku ciekła krew, zalewająca mu oczy, policzki i spływająca dalej w dół, aż na koszulkę z herbem Pierwszego Liceum Ogólnokształcącego. Kiedy zdejmował kask, pod roztrzaskaną czaszką widać było wyraźnie fragmenty mózgu, który zdawał się pulsować podobnie jak bijące serce.

Podczas śniadania Horodecki był milczący i jakby zupełnie nieobecny. Przełknął jedynie połowę tosta i chyba po raz pierwszy od

kilku lat wypił niesłodzoną czarną kawę. Paulina przyglądała mu się z niepokojem.

— Coś się stało, kochanie? — zapytała wreszcie. — Coś nie tak w pracy?

Pokręcił głową.

— Nie, po prostu źle spałem — odparł.

— Już wczoraj przecież byłeś jakiś nieswój...

— Mówiłem ci, że boli mnie głowa.

Nawet Julka wyczuwała, że coś jest nie tak, więc tylko wpatrywała się w swój talerz i nawet nie próbowała włączyć się do rozmowy.

Przed wyjściem z domu Jacek sprawdził jeszcze lokalny serwis internetowy, ale wszystkie informacje na temat wypadku rowerzysty pochodziły z poprzedniego dnia.

\*

Jadąc drogą, przy której doszło do wypadku, z daleka dostrzegł dwa policyjne radiowozy. Jeden drogówki i drugi, należący do sekcji obsługi zdarzeń drogowych. Przejazd był zablokowany. Zatrzymał auto i podszedł do policjanta w białej czapce, w którym rozpoznał sierżanta Jańczaka. Gdy ten zauważył Horodeckiego, skierował się w jego stronę.

— Dobrze, że pana widzę, panie sędzio.

Fakt, że nie rozpoczął rozmowy od zwyczajowego powitania, był niezwykle zaskakujący. Podobnie jak jego mina. Surowa i zacięta.

— Chciałbym przejechać, spieszę się do sądu na rozprawę — odezwał się Horodecki wyćwiczonym głosem, zarezerwowanym do tego rodzaju służbowych rozmów.

— Jak pan widzi, przejazd jest zablokowany, więc będzie pan musiał dostać się do miasta okrężną drogą.

Sędzia aż podniósł brwi ze zdziwienia, ale nie skomentował tego, co usłyszał, ani słowem.

— Musimy dokładnie obejrzeć teren, tutaj każdy kamień może mieć znaczenie — dodał sierżant. — Nawet nasze radiowozy stoją w pewnym oddaleniu, przykro mi.

— Rozumiem, jasna sprawa. A czy wiadomo coś na temat tego chłopaka? Pewnie pan wie, że jako pierwszy wezwałem pomoc...

— Przerwał na chwilę i obrzucił policjanta znaczącym spojrzeniem.

— To bardzo dziwne, że jadąc w kasku, doznał tak poważnych obrażeń, prawda?

Policjant najpierw sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili wahania pokiwał tylko głową i stwierdził:

— Tak, to bardzo dziwne. Niczego pan sobie nie przypomniał w nocy, ponad to, co powiedział pan wczoraj aspirantowi Kosibie?

— Nie.

— I nie był pan tutaj później, to znaczy już po odjeździe ekipy?

— Pan chyba żartuje! Po co miałbym tutaj przyjeżdżać?!

— Horodecki nie krył oburzenia, bo to pytanie odebrał jako jawną bezczelność.

— Proszę się nie denerwować, nie miałem nic złego na myśli.

Sędzia miał co do tego poważne wątpliwości, a ten bezczelny gnojek zaczynał go naprawdę wkurzać.

— Do widzenia, miłego dnia, panie sędzio — powiedział jeszcze Jańczak, po czym odwrócił się i wrócił na miejsce wypadku.

Horodecki stał jeszcze przez jakiś czas w miejscu, całkowicie zaskoczony tak ostentacyjną arogancją i brakiem szacunku. Wreszcie wrócił do swojego audi, wycofał dość gwałtownie, po czym ruszył naprzód, szybko przyspieszając i powodując, że tłuczeń z trzaskiem strzelał spod kół na wszystkie strony.

Kiedy spojrział w lusterko, zobaczył, że sierżant Jańczak wskazuje samochód Horodeckiego koledze, a później kręci głową i (Jacek nie był tego do końca pewien, ale prawie) puka palcem w swoją lewą skroń.

\*

Dotarł do sądu dziesięć minut po planowanej godzinie rozpoczęcia rozprawy, której miał przewodniczyć, ale niespecjalnie się tym przejmował. Przecież bez niego nie złączą, a miał teraz ważniejszą kwestię do rozgryzienia.

Usiadł za biurkiem w swoim gabinecie i, nie zdejmując nawet kurtki, wyjął z torby telefon komórkowy. Paweł Świeboda odebrał już po pierwszym sygnale.

— Witam, szanownego pana sędziego — odezwał się głos w słuchawce.

— Uszanowanie dla pana prokuratora.

Przyjaźnili się od lat i zawsze w podobny sposób rozpoczynali rozmowę.

— Co dobrego słyhać, Jacek?

— No właśnie nie wiem, czy dobrego... Słuchaj, Paweł, nie wiem, czy słyzałeś o tej sprawie chłopaka, który miał wczoraj wypadek na rowerze.

— Poczekaj... Chyba coś wczoraj mówili w telewizji. To chodzi o tego z urazem głowy?

— Tak, właśnie o niego.

— Niewiele wiem. Ktoś inny to prowadzi. A czemu pytasz?

W kilku emocjonalnych zdaniach Horodecki opisał całą sprawę i swoją w niej rolę. Pod koniec mówił, wyraźnie rozeźlony:

— No i, wiesz, nic się od tego całego Jańczaka nie dowiedziałem, ale traktował mnie co najmniej tak, jakbym to ja potracił tego łebka. Zadzwoiłem, bo pomyślałem, że może coś będziesz wiedział odnośnie do tego, co oni tam tworzą w papierach. No ale skoro nie, to...

— Sędzia teatralnie zawiesił głos.

— Nie no, stary, przecież zaraz się wszystkiego dowiem. — Świeboda zareagował zgodnie z oczekiwaniami Jacka. — Daj mi jakąś godzinkę.

— Dzięki, Paweł. Teraz mam rozprawę, ale zadzwonię jeszcze raz, jak tylko skończę, dobra?

— Jasne. Mam nadzieję, że to jakieś nieporozumienie. Jesteś w weekend wolny?

Umówili się wstępnie na bilard u Świebody w sobotni wieczór.

Rozprawa trwała dłużej, niż się tego Horodecki spodziewał. Oskarżony o pobicie nie przyznał się do winy, o ugodzie nie mogło być mowy, a w dodatku nowa stenotypistka zachowywała się tak, jakby dopiero kilka dni temu po raz pierwszy widziała klawiaturę (no, może to trochę przesada, ale przynajmniej sędzia miał takie odczucia, pamiętając o ważnym telefonie, który ma do wykonania).

Kiedy wreszcie wrócił do siebie, na wyświetlaczu komórki zastał nieodebrane połączenie od prokuratora. Natychmiast wybrał numer.

— Cześć, widziałem, że dzwoniłeś — zaczął bez zbędnych wstępów.

— Tak. Słuchaj, Jacek, tam jest jakieś bagno z tym wypadkiem.

— To znaczy?

— Nie jest tak, jak sądziłeś, że on się uderzył w głowę, upadając.

— Jak to?

— Przewrócił się na prawy bok, a obrażenia ma z lewej strony głowy.

Horodecki przez chwilę milczał, bo teraz dopiero uświadomił sobie, że faktycznie, chłopak miał zakrwawione okolice lewego ucha i że faktycznie w lusterku widać było, jak leci na prawą stronę.

— Może jakoś przekreślił się, upadając...? — zaczął wreszcie niepewnie. — Leżał na plecach, gdy go zobaczyłem, więc...

— Jacek, to niemożliwe. On miał lekko pod górkę, nie mógł jechać zbyt szybko. Poza tym ochraniał go kask, a obrażenia są takie, jakby dostał w głowę z ogromną siłą. Dziś rano policja szukała tam przedmiotu, którym został uderzony.

— Przecież widziałem, że na drodze nie było nikogo!

— Wiem, ale to jest twoja wersja, a oni muszą wszystko dokładnie sprawdzić. Sam rozumiesz... I tak są obesrani, że za bardzo wczoraj się zasugerowali twoją wersją i nie przeszukali dokładnie terenu zaraz po zdarzeniu.

— Czekaj, czekaj, Paweł. Czy chcesz przez to powiedzieć, że ja... że mogę zostać oskarżo...?

— Nic nie chcę powiedzieć. Po prostu sprawdzają, to wszystko. Nie martw się, chłopie. Zachowujesz się tak, jakbyś wczoraj wszedł do

branży. Muszą mieć podkładkę, i tyle. Przecież wiadomo, że go nie zabiłeś. — Świeboda starał się mówić swobodnie, żeby rozładować sytuację.

— To znaczy, że on nie żyje?

Prokurator przez moment zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Żyje, Jacek, jeszcze żyje, ale naprawdę porządnie dostał. — Głos Pawła nagle spoważniał. — Żaden kask by tego nie zamortyzował, a uszkodzenia mózgu są tak znaczne, że lekarze nie dają mu więcej niż dziesięć procent szans. Chociaż nawet jakby z tego wyszedł, to raczej nigdy nie wróci do dawnej sprawności. Słuchaj, muszę kończyć...

— Dzięki, Paweł.

— Żaden problem. Ale, wiadomo, jakby co, to ja z tobą na ten temat nie...

— Przecież to oczywiste. Trzymaj się i do soboty.

\*

Tego dnia robota już się go nie trzymała.

Próbował ogarnąć jakieś papiery w sprawie o usiłowanie zabójstwa, ale zupełnie nie mógł skupić na tym myśli. Większość czasu spędził, wpatrując się w umiejscowione naprzeciw biurka obite brązową skórą drzwi.

Nie trzeba było Sherlocka Holmesa, żeby założyć najbardziej prawdopodobną wersję zdarzenia. Horodecki jechał dość szybko, mijając chłopaka, na nieubitej drodze kamienie strzelały spod kół na wszystkie strony i tak się nieszczęśliwie złożyło, że jeden z nich z potężną siłą trafił chłopaka w głowę.

„Przecież to przypadek — próbował wytłumaczyć samemu sobie. — Nieszczęśliwy zbieg okoliczności... To mogło się przydarzyć każdemu”.

Ale coś w głębi duszy od czasu do czasu szeptało inne słowa, słowa, które zaczynały go przerażać. Przecież nie jest normalne, jeśli w takiej sytuacji dorosły mężczyzna — chociażby nawet absolutnie wbrew sobie — próbuje naświetlić sprawę inaczej, twierdząc, że „ten gówniarz



wcale nie musiał tamtędy jeździć i tak naprawdę, to sam jest sobie winien”.

\*

Dopiero kiedy zatrzymał auto na podjeździe i wyłączył silnik, Horodecki uświadomił sobie, że wrócił z pracy tą samą drogą, jaką jechał rano. Czyli zupełnie nieświadomie nadłożył kilka kilometrów, omijając miejsce, w którym poprzedniego dnia doszło do wypadku. Siedział przez dłuższą chwilę w samochodzie, próbując przekonać sam siebie, że chodziło o to, iż policja mogła tam jeszcze być i blokować przejazd.

Bezskutecznie.

„Dobrze wiesz, że na pewno już skończyli od rana” — pomyślał, a potem ciężko westchnął. Ta sprawa zaczynała go irytować i musiał jakoś się z tego otrząsnąć.

„Ta sprawa mnie nie irytuje, tylko niepokoi” — przemknęło mu przez myśl w momencie, gdy zatrząskiwiał za sobą drzwi auta.

Usłyszał nad sobą żurawi klangor. Liczący około czterdziestu, może pięćdziesięciu ptaków klucz ciągnął na południe, uformowany w literę „V”, której jedno ramię było trochę dłuższe od drugiego. Jacek stał przy samochodzie i patrzył w górę aż do chwili, kiedy żurawie były już prawie niewidoczne.

Gdy wreszcie ruszył w stronę domu, spostrzegł, że Paulina stoi w drzwiach. Uśmiechnęła się niepewnie.

— Znów jesteś wcześniej...

— To źle? — Wszedł jej w słowo, przywołując na twarz wymuszony uśmiech.

— Nie, to bardzo dobrze. Patrzyłeś na odlatujące żurawie?

— Tak, a co?

— Nic. To do ciebie niepodobne.

— Może na starość robię się sentymentalny...? — Mijając żonę w drzwiach, pocałował ją zdawkowo w policzek.

Chwilę później przywitał się z Julką i wziął ją na kolana. Patrzyli razem na odtwarzaną z DVD bajkę, ale każde z nich myślało wtedy o czym innym.

\*

Zaraz po obiedzie sprawdził najnowsze informacje w Internecie. Nie było żadnych nowych wieści o stanie chłopaka, było natomiast zdjęcie jego matki, zrobione w momencie, gdy wychodziła ze szpitala. Robiła wrażenie, jakby nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Patrzyła przed siebie zupełnie nieobecny wzrokiem, oczy miała pełne bólu i zaczerwienione od łez. Była szczupłą, skromnie ubraną kobietą koło czterdziestki.

„Jest mniej więcej w moim wieku — pomyślał Horodecki. — W wieku moim i Pauliny...”

I wtedy dopiero uświadomił sobie, jak bardzo ta obca osoba podobna jest do jego żony. Podobny kształt twarzy, włosy tego samego koloru, oprawa oczu i nos. Prawie jak siostry bliźniaczki. Tylko usta Paulina miała pełniejsze, chociaż... gdyby matka Leszka nie zaciskała swoich, starając się powstrzymać płacz, to być może też okazałyby się podobne.

Przez moment wyobraził sobie, co by było, gdyby na zdjęciu była Paulina, wychodząca ze szpitala po odwiedzinach u Julki, znajdującej się w podobnie beznadziejnym stanie jak ten kilkunastoletni chłopak. Najpierw uderzył go ból, a później złość na dziennikarza, który z cudzej tragedii starał się zrobić jak najbardziej nośny materiał.

„Nie zrobiłby, gdybym wczoraj zwolnił”.

Drzwi od pokoju uchyliły się i pojawiła się w nich głowa Pauliny.

— Wychodzę do Anki. Julka zasnęła u siebie, pośpi pewnie jeszcze z pół godziny, może godzinę. Ja będę gdzieś tak koło siódmej. Pa!

Zamiast odpowiedzieć, wstał i podszedł do żony, a później wziął w ramiona i powiedział, że bardzo ją kocha.

Wyglądała na jeszcze bardziej zaniepokojoną niż wtedy, gdy wrócił z pracy. Jacek zapewnił ją, że nie ma się czym martwić, ale wcale nie był pewien, czy to zapewnienie odniosło pożądaną skutec.

\*

Po wyjściu Pauliny Jacek poszedł do pokoju Julki, żeby sprawdzić, czy drzwi są otwarte — tak na wszelki wypadek, chciał usłyszeć, gdyby miała się obudzić — a potem wrócił do komputera i raz jeszcze przyjrzał się zdjęciu matki Leszka.

Później sprawdził wiadomości z kraju i raz jeszcze wrócił do tamtej fotografii.

A potem jeszcze raz.

Nie mógł się od niej uwolnić. Cały czas widział w tej kobiecie Paulinę wychodzącą od Julki, dla której nie ma już ratunku.

\*

Paulina wróciła tuż przed ósmą, gdy miała być już po kolacji.

— Przepraszam, że się spóźniłam, ale wiesz, jaka jest Anka. Jak się rozgada, to nie przerwiesz, a nie wypada tak wychodzić w pół zdania.

— Tak, wiem o tym doskonale — odparł Jacek z uśmiechem.

Faktycznie, trudno było o osobę bardziej gadatliwą, niż żona Pawła Świebody, więc bardziej współczuł Paulinie, niż zwracał uwagę na to, że przyszła trochę później. On nie wytrzymałby chyba z Anką godziny sam na sam, no ale skoro jego żona się z nią jakoś tam dogadywała, to bardzo dobrze. Świebodowie też mieszkali w „Wipówce”, we własnym domu, ale na drugim jej krańcu, i Jacek cieszył się, że Paulina ma kogoś, z kim może się spotkać. Tego dnia był z tego zadowolony jeszcze bardziej, ponieważ dzięki temu mógł spędzić sporo czasu sam na sam z córką. Wspólna zabawa ukoiliła nieco jego nerwy. Śmiech Julki zawsze działał na jego duszę jak balsam.

\*

Tego dnia miała zasnąć później niż zazwyczaj.

Jacek dzielnie jej towarzyszył, czytając po kolei kilka bajek, ale popołudniowa drzemka dawała o sobie znać. Było grubo po dziewiątej, kiedy wreszcie Julka zamknęła oczy i zaczęła miarowo oddychać. Horodecki z trudem powstrzymał się przed odgarnięciem kosmyka włosów z jej czoła, ale popatrzył jeszcze przez jakiś czas z czułością na

córkę. Wreszcie najciszej jak potrafił opuścił pokój, jak zawsze zostawiając włączoną nocną lampkę.

Paulina akurat wkładała ciasto do piekarnika, gdy Jacek stanął obok, zerkając na nią ze zdziwieniem.

— Anka mi dzisiaj dała przepis — wyjaśniła. — Prosty jak budowa cepa, więc może jakimś cudem uda mi się nie zepsuć tego ciasta.

Faktycznie, o ile Paulina całkiem nieźle gotowała, to raczej nie miała smykałki do wypieków. Zazwyczaj na kilka prób jedna była w miarę udana.

Kiedy piekarnik został już nastawiony, oboje wzięli się za sprzątanie. Myśli Jacka uciekały co chwilę do zdarzenia z poprzedniego dnia, ale na tyle rzadko, że nie zdołało to popsuć pogodnego nastroju wieczornej krzątaniny.

— Co jest? — zapytał w pewnym momencie, widząc, że Paulina uśmiecha się sama do siebie.

Pokręciła głową z niedowierzaniem, a jej uśmiech stał się jeszcze szerszy.

— Z tej Anki to nieźły numer. Wyobraź sobie, że zaczęła chodzić na jakieś zajęcia, które prowadzi spirytysta.

— Nie zamierzasz się chyba dołączyć? — Jacek znał Ankę na tyle, że taka informacja zupełnie go nie zdziwiła.

— No coś ty! W życiu, znasz mnie przecież. Ale ona wsiąkła chyba na amen. Była już kilka razy na tych zajęciach i ciągle o tym gada. Przez telefon też.

— Wywoływali już duchy?

Roześmiali się oboje.

— Nie i chyba nie będą. Raczej chodzi o inne formy nawiązywania łączności ze zmarłymi. — Paulina wciąż się uśmiechała kpiąco. — Nowy guru Anki twierdzi, że to osoby zmarłe mogą się z nami skontaktować, jeśli będą chciały. Na przykład na ostatnich zajęciach przekonywał, że znany fakt, iż morderca zawsze ponownie pojawia się na miejscu zbrodni, jest tak naprawdę spowodowany przez ofiarę.

— Co to za bzdury? Ten facet bierze pieniądze za pieprzenie takich farmazonów?

— Coś tam chyba bierze, ale zdaje się, że niezbyt dużo. Słuchaj, to jeszcze nie wszystko. Ten gość jest naprawdę nieźle szurnięty, ale Anka nie daje sobie tego wytłumaczyć.

— Miejmy nadzieję, że opamięta się, zanim pewnego ranka Bogu ducha winny Paweł obudzi się w jednym łóżku z wariatką.

Paulina zachichotała, a potem zrobiła teatralnie poważną minę.

— Ofiara morderstwa raz może się pokazać swojemu zabójcy. Raz, rozumiesz? I to pod dowolną postacią, pod jaką tylko zechce.

— Pod postacią ulubionej rybki też?

— Też. Hu, hu! Bój się, kocie! — Paulina groźnie spojrzała na Jacka, równocześnie składając usta jak ryba i poruszając nimi komicznie.

Roześmiał się i pocałował je, zanim zdążyła się zorientować.

Tego wieczoru długo kochali się przed snem, a potem natychmiast zasnęli, wyczerpani i szczęśliwi.

### 3.

Jackowi wydawało się, że obudził go jakiś hałas.

Przez moment leżał bez ruchu z otwartymi oczyma, patrząc na wyświetlacz elektronicznego budzika, który wskazywał dwie po trzeciej. Gdy od strony pokoju Julki dobiegł jakiś szmer, wiedział, że to nie był sen. Ostrożnie wysunął się z objęć Pauliny, założył bokserki i ruszył w stronę korytarza, by potem skierować się do przeszklonych mleczną szybą drzwi, przepuszczających słaby blask lampki nocnej.

Kilka godzin wcześniej śmiał się z tego, że zmarłych można spotkać w realnym świecie, ale teraz, gdy szedł korytarzem pogrążonego w ciszy domu, nie było mu wcale do śmiechu. Żywych nie musiał się obawiać dzięki nowoczesnemu alarmowi i firmie ochroniarskiej.

Wiele razy wstawał do Julki nocą, ale teraz czuł, że jest jakoś... inaczej. Miał wrażenie, że jest obserwowany przez kogoś niewidocznego, kogoś, kto czai się w ciemnościach, lecz równie dobrze

może być po drugiej stronie mlecznej szyby, w pokoju małej, ale nie przeszkadza mu to w obserwacji. Jacek był już prawie przy drzwiach pokoju córki i sięgnął w ich stronę dłonią, gdy wydało mu się, że na ścianie obok lewego ramienia mignął jakiś cień. Niewyraźny, zupełnie bezkształtny, prawie nierealny, a jednak to nie było przywidzenie. Coś na chwilę znalazło się pomiędzy lampką nocną a mleczną szybą. Pchnięte drzwi cicho zaskrzypiały. Od strony łóżka Julki dobiegł cichy szelest.

Horodecki wszedł do środka i odetchnął. Na podłodze, tuż przy kapciach dziewczynki, leżały dwie książeczki i jedna kolorowanka, której kartka jeszcze lekko się poruszała. Zdarzało się, że Julka budziła się w nocy i gdy nie mogła zasnąć, przeważnie przychodziła do łóżka rodziców. Niekiedy jednak przeglądała pozostawione na stoliku obok bajki i zeszyty. Jacek często znajdował je rankiem na kołdrze córki. Tym razem spadły na podłogę. Pierwsza książeczka zbudziła Horodeckiego, drugą usłyszał już po przebudzeniu, a kolorowanka zsunęła się z kołdry, gdy był przed drzwiami pokoju córki. I to pewnie od jej okładki odbiło się światło, sprawiając dziwne wrażenie cienia na drzwiach.

Julka spała spokojnie, oddychając cicho przez lekko uchylone usta. Niesforny kosmyk znów zsunął się na jej czoło i tym razem Jacek nie bał się go poprawić. Potem zebrał książki i kolorowankę, by ułożyć je na stoliku.

Niepokój jednak nie minął, ponieważ Horodecki wciąż pamiętał wyłazące gdzieś z otchłani podświadomości obrazy, które rysowały się w jego wyobraźni tam, na korytarzu. Wydawało mu się, że patrzy na niego chłopak w rowerowym kasku.

„Czy to możliwe, że jestem jego mordercą, a on przyszedł, żeby mi się pokazać?” — myślał Jacek, wychodząc z pokoju. Po chwili zreflektował się, że przecież ten chłopak jeszcze żyje.

Zamykając za sobą drzwi, raz jeszcze spojrzął na córkę. Kosmyk włosów znów zdążył zsunąć się na jej czoło.

Horodecki poszedł do kuchni, nalał do szklanki mleko i włożył ją do mikrofalówki. Gdy miał problemy ze snem, ciepłe mleko zazwyczaj pomagało, więc był pewien, że przyda się i tej nocy, choć obawiał się, że może nie przynieść oczekiwanego efektu.

Był zbyt roztrzęsiony.

Sprawa związana z młodym rowerzystą zaczynała go niebezpiecznie osaczać. Zdawał sobie sprawę, że być może, mijając tego chłopaka, nie zachował należytej ostrożności, ale przecież, na Boga, to jeszcze nie powód, żeby popadać w obłąd!

Czy popadał w obłąd? Gdy przypominał sobie wrażenie, które odczuwał, stojąc przed drzwiami, miał wrażenie, że jego stan jest naprawdę poważny.

Kuchenka cicho brzęknęła, sygnalizując, że mleko ma już właściwą temperaturę. Jacek wyjął pełną szklankę, usiadł przy stole i upił dwa łyki. Właśnie wtedy wszystko do niego dotarło, ukazało się, jak krajobraz w bezksiężycową noc, rozświetlony nagle srebrzystym blaskiem błyskawicy.

„Ten gówniarz wcale nie musiał tamtędy jeździć i tak naprawdę to sam jest sobie winien” — przypomniał sobie słowa, które cisnęły mu się do głowy, jak niechciani goście w zabłoconych butach na świeżo kupiony luksusowy dywan.

Pamiętał go, teraz już pamiętał bardzo dobrze tego chłopaka.

Nie zwracał na niego większej uwagi, ale zawsze gdy go mijał, dodawał trochę gazu. Tak dla zabawy, żeby przyszpanować mocnym silnikiem, a może żeby trochę przstraszyć łebka.

Jak zaczął jeździć tą trasą, chłopak miał sporą nadwagę i początkowo Horodecki się z niego trochę podśmiewał, ale po kilku miesiącach sylwetka tego młodego gnojka zaczęła się zmieniać. „Jak się nie ma co robić, to można bąki i na rowerze zbijać” — myślał Horodecki, pamiętając o tym, że praca sędziego nie sprzyja utrzymaniu jego prawidłowej wagi. Trochę zazdrościł Leszkowi (teraz, siedząc przy stole w kuchni, nad szklanką parującego mleka, Jacek już przecież znał imię

chłopaka) samodyscypliny i uporu, na które sam nie potrafił się zdobyć, tłumacząc się przed samym sobą na wszystkie możliwe sposoby.

Ale nie zaprzętał sobie tym zbyt głowę, bo miał inne, poważniejsze problemy. Zawsze jednak trochę dodawał gazu, a Leszek parę razy (teraz Horodyński pamiętał to bardzo dobrze) podnosił lewe ramię w taki sposób, jakby chciał zasłonić głowę. Później chłopak zaczął jeździć w kasku.

Jacek podniósł nieświadomie szklankę do ust i popijając z niej po raz kolejny dwa łyki, myślał: „Chłopak, Leszek, syn, zdolny uczeń — jak to wszystko do niego nie pasuje! Przecież dla mnie to był tylko kawałek mięcha na dwóch kółkach, które tylko niepotrzebnie zajmują kawałek pasa ruchu. Nie, wcale nie chciałem mu zrobić krzywdy, ale nie dlatego, że był człowiekiem i obawiałem się o jego dobro, ale dokładnie na tej samej zasadzie, jak nie chce się zrobić krzywdy workowi wypełnionemu piachem. Gdzie ja, do kurwy nędzy, miałem rozum?! Co się ze mną wtedy działo?! Dlaczego musiało się wydarzyć coś takiego, żebym sobie uświadomił coś tak prostego, a jednocześnie coś, czego — jestem o tym święcie przekonany — nie uświadamiają sobie miliony kierowców na całym świecie? Boże, nie pozwól, żeby on umarł, pozwól mu z tego wyjść... Boże, jaki ja byłem głupi...”.

\*

Parę minut przed siódmą Paulina zastała Jacka przy stole w kuchni. Siedział w samych bokserkach nad na wpół opróżnioną szklanką zimnego mleka. Dopiero gdy położyła mu rękę na ramieniu, ocknął się i rozejrzał wokół, jakby zupełnie nie był świadomy tego, gdzie jest i co się z nim dzieje.

— Przebudziłam się, spojrzałam na zegarek i myślałam, że już się zbierasz do pracy...

— Tak, właśnie, do pracy — odparł, jakby ciągle jeszcze trochę nieobecny. — Która jest?

— Zaraz będzie siódma.

— Aha. No to idę się zbierać. Już chyba dość późno, prawda?



— Tak, nawet bardzo.

Paulina usłyszała, jak Jacek wchodzi do łazienki i włącza radio. Zaczynała naprawdę martwić się o męża. Pomyślała, że jeszcze poczeka kilka dni, a później będzie musiała z nim poważnie porozmawiać.

Włączyła radio w kuchni, nastawione na tę samą częstotliwość, co to łazienkowe. W regionalnej stacji wypikała siódma. W pierwszej kolejności poinformowano, że dziś około trzeciej nad ranem zmarł ten młody zdolny chłopak, który doznał poprzedniego dnia urazu mózgu w wyniku wypadku na rowerze. Zdążyła tylko pomyśleć, że może to i dla niego lepiej, gdy usłyszała, jak drzwi od łazienki się otwierają. Jacek stanął na progu kuchni. Twarz miał w pianie do golenia, a w prawej dłoni ścisnął maszynkę. Dopiero teraz Paulina zauważyła, że piana na obu policzkach jej męża przecięta jest strużkami łez.

— Zabiłem go, Paulinko — wyszeptał, wpatrując się w nią przerażonym, niemal szalonym wzrokiem. — Boże, ja go naprawdę zabiłem...

\*

Tego dnia sędzia Jacek Horodyński nie pojawił się w pracy. Zamiast tego stawiał się w siedzibie komendy powiatowej policji w celu zmiany wcześniejszych zeznań.

Paulina prosiła go przed wyjazdem z domu, żeby się jeszcze zastanowił. Zadzwoiła nawet do Pawła Świebody z prośbą, żeby on spróbował przemówić jej mężowi do rozumu; zdawała sobie przecież sprawę, że jeśli Jacek zostanie oskarżony i skazany, to jego kariera runie w gruzach. Świeboda zadzwonił do Horodeckiego na komórkę, ale spotkał się ze stanowczą negatywną odpowiedzią. Kiedy spróbował raz jeszcze wybrać numer, komórka Jacka była już wyłączona.

Przesłuchanie prowadził sierżant Jańczak, który dzień wcześniej potraktował sędziego dość chłodno. Tym razem, gdy tylko usłyszał pierwsze słowa zeznania, zachowywał się już o wiele bardziej taktownie. Zresztą nie tylko ze względu na treść tego, co sędzia miał do powiedzenia, ale też brał pod uwagę wygląd przesłuchiwanego, który

sprawiał wrażenie, że od poprzedniego dnia postarzał się o jakieś dziesięć lat.

\*

Po przesłuchaniu Horodecki zadzwonił do sądu i krótko streścił całą sprawę prezesowi, oznajmiając, że bierze teraz kilka dni wolnego, ale chyba niepotrzebnie, bo zapewne wkrótce i tak zostanie zawieszony. Rozmowa trwała najwyżej dwie minuty, bo Jacek jak najszybciej chciał znaleźć się w domu.

Wracał tędy, co zwykle (mimo że rano do centrum znów pojechał okrężną drogą). Dręczyło go ogromne poczucie winy, ale w pewien sposób czuł, że jest mu lżej na sumieniu. Nie martwił się o przyszłość. Na razie mieli jeszcze trochę odłożonych pieniędzy, a później przecież się coś wymyśli.

„Ciągłe jesteśmy wszyscy — myślał. — A matka Leszka już nigdy nie będzie mogła tego powiedzieć...”.

Otworzył bramę pilotem i wjechał przez nią, kierując się w stronę miejsca, gdzie zawsze parkował auto. Julka stała na trawniku ze sznurkiem, na którego końcu jakieś półtora metra wyżej chwiał się niebieski balonik. Pomachała tacie z uśmiechem, a on też podniósł rękę i wtedy samochód najpierw w coś uderzył, a później prawe przednie koło najechało na jakąś przeszkodę. Jacek zatrzymał swoje audi i koło opadło niżej, znajdując się we właściwym położeniu.

„Zupełnie jakbym najechał na połówkę arbuza” — pomyślał i jak najszybciej wysiadł z auta, żeby zobaczyć, co się dokładnie stało.

Zderzak uderzył w trzykołowy rowerek Julki — to zobaczył od razu, gdy tylko wysiadł z auta. Już miał odwrócić się w stronę małej, żeby przypomnieć, że zawsze prosił, aby nie stawiała w tym miejscu rowerka, gdy usłyszał od strony prawego koła odgłosy jakiejś szamotaniny. Postąpił kilka kroków naprzód i zobaczył wierzgające agonalnie nóżki w białych rajstopkach (jedna z nich wciąż obuta była w czerwony pantofelek). Zdezorientowany obejrzał się za siebie, ale jego córki już nie było na trawniku.

Krzyknął jej imię i rzucił się naprzód, a chwilę później zamarł, bo zobaczył, że w miejscu, gdzie powinna znajdować się głowa dziewczynki, stoi prawe przednie koło audi. Ruchy nóg i rąk powoli już ustawały, a szara kostka brukowa koło szyi dziewczynki zaczęła zabarwiać się na czerwono.

Jacek zachwiał się i ukląkł obok ciała córki. Chciał je przytulić, lecz jego dłonie chwyciły tylko powietrze. Kątem oka zarejestrował jakiś ruch po lewej stronie. Niebieski balonik szybował w niebo, a zza auta wyjrzała przestraszona dziewczęca buzia.

Horodecki raz jeszcze spojrzął na ciało obok jego samochodu, ale było ono już prawie niewidoczne. Obok opony leżał niewielki, obły kamień, na który przed chwilą najechało audi, a który odskoczył pod wpływem jego ciężaru.

Balonik był coraz wyżej, a usta dziewczynki wygięły się w podkówkę, jakby za chwilę miała się rozpląkać. Ciągle myślała, że tata gniewa się za pozostawiony byle jak na podjeździe rowerek.

---

# Nika

## 1.

Minęło trochę czasu, zanim moi rodzice przyzwyczaili się do mieszkania w czteropiętrowym, zbudowanym z betonowych płyt bloku. Na początku nie mogli przywyknąć, że mogą być na bieżąco z życiem sąsiadów, zarówno tych z góry, jak również tych mieszkających poniżej. Ojciec narzekał, że budzą go, nawet jak chodzą w nocy do toalety, a mama zwykle wtedy uśmiechała się nieznacznie i dodawała, iż jej przeszkadzają trochę inne nocne odgłosy. Rumieniła się wtedy lekko i zerknęła na mnie ukradkiem, by sprawdzić, czy przypadkiem nie powiedziała zbyt wiele. Dawało mi to do myślenia, ale nie miałem pojęcia, o co jej może chodzić. W Ustrzykach Dolnych zamieszkaliśmy w połowie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, kiedy miałem niecałe dziesięć lat, i sporo jeszcze wody miało upłynąć w Strwiążu, zanim koledzy z podwórka rozszerzyli nieco moje horyzonty i przyczynili się do zrozumienia tajemniczych spojrzeń mamy.

Rodzice mogli utyskiwać jedynie na sąsiadów z dołu i góry, ponieważ ich pokój — narożny w bloku — graniczył przez ściany tylko z naszą kuchnią i małym pokoikiem, w którym spałem. Chyba przez długi czas nie zorientowali się, że wiem o wszystkim, co dzieje się w ich sypialni; być może zdali sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy kilka lat później zaczęły mnie nękać koszmary i kiedy w miarę spokojnie przespana przeze mnie noc była czymś naprawdę wyjątkowym.

A cała historia zaczęła się w przeddzień moich jedenastych urodzin.

\*

Wczesnym rankiem, dziewiętnastego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, obudził mnie dzwonek telefonu.

Niedawno zamontowany, wiszący w korytarzu i odzywający się przenikliwym sygnałem aparat wciąż był rzadko używaną przez

rodziców nowością. Dzwonili gdzieś raczej sporadycznie. Przeważnie do wujka Mariana, do Nowej Żernicy (nie licząc sołtysa, był on jedynym posiadaczem telefonu w wiosce) i zazwyczaj bez jakiejś poważnej potrzeby — ot, żeby zapytać, co tam nowego, zapowiedzieć wizytę lub dowiedzieć się, czy aby nowy właściciel naszego starego domu dobrze gospodarzy. Z nami też z rzadka kontaktowano się telefonicznie — czasem był to ktoś z pracy mamy lub ojca, ale w czterech przypadkach na pięć można się było spodziewać w słuchawce tubalnego głosu wujka, który zapowiadał, że razem z ciotką Grażyną i Niką przyjadą do nas w niedzielę, potrzebował konsultacji z mamą w sprawie zdrowotnej, więc telefonował w imieniu swoim lub kogoś z sąsiadów, a czasem chciał sobie po prostu pogadać z siostrą albo szwagrem.

Za oknem dopiero dniało i rodzice chyba jeszcze spali, ponieważ sygnał rozlegał się przez dość długi czas. Wreszcie usłyszałem, jak drzwi ich pokoju otwierają się, a zaraz potem dobiegł do moich uszu zaspany głos ojca:

— Halo?

Potem zapadła długa, dziwna cisza.

Ktoś coś chyba mówił, ojciec tylko słuchał, aż wreszcie powiedział ledwie słyszalnie:

— Marian, przestań, daj spokój... Chcesz może porozmawiać z Ireną?

Przez moment czekał na odpowiedź, a następnie dwa razy odezwał się niespokojnym: „Halo...?!”. Wszystko wskazywało na to, że ktoś po drugiej stronie po prostu odłożył słuchawkę. Ojciec postać jeszcze przez jakiś czas bez słowa, aż wreszcie zrobił to samo, co jego rozmówca, i po upływie kolejnych kilkadziesiąt sekund wrócił do sypialni.

Zastanawiałem się właśnie, czy to możliwe, żeby wujek zadzwonił do nas tak wcześnie (zawsze robił to po południu), gdy zza ściany dobiegł najpierw podniesiony głos mamy, a później — o ile dobrze pamiętam — pierwszy raz w życiu usłyszałem, jak płacze.

Moja mama była dzielną i twardą kobietą, która wraz z dwójką rodzeństwa przez większość dzieciństwa wychowywała się w małej, bieszczadzkiej wiosce, położonej niecałe trzydzieści kilometrów na południe od Ustrzyk Dolnych. Nowa Żernica w gminie Lutowiska posadowiona była w długiej, dość głęboko wciętej dolinie, więc warunki do gospodarzenia nie należały do najlepszych, ale mój dziadek zawsze powtarzał: „Lepiej na swoich kamieniach niż na cudzych czarnoziemach”. Było to powiedzenie chyba dość przewrotne i od kiedy jako tako udało mi się pojąć jego sens, zacząłem zastanawiać się, na ile dla rodziny mojej mamy te ziemie były „swoje”, a na ile czarnoziemy, na których wzrastali od małości, stały się „cudze” tylko przez to, że kilka lat po wojnie ktoś z wierchuszki bratniego mocarstwa z cepami w skróconej nazwie wymyślił sobie zmianę granic.

Nigdy nie udało mi się dojść do konstruktywnych wniosków w tej sprawie, ale biorąc pod uwagę trudne warunki uprawy ziemi, brak infrastruktury oraz surowy klimat, trzeba chyba założyć, że dziadkowie robili wszystko, żeby zapuścić w nieurodzajnej glebie Nowej Żernicy korzenie i wiele wskazuje na to, że przynajmniej po części zdołali to uczynić. „Ziemia zawsze swoich pozna — zwykł mawiać dziadek do swojej żony i dzieci. — Kto ją ukocha, temu ona odpłaci z nawiązką i jemu przyjazną będzie”. Jednak ani moja mama, ani jej dwaj bracia — Marian i Wiesław — nie zamierzali weryfikować prawdziwości tych słów dłużej niż to konieczne i przysięgali sobie nawzajem, że czmychną stamtąd przy najbliższej nadarzającej się okazji.

Jednak, jak to w życiu bywa, człowiek strzela, a los kule nosi.

\*

Tak naprawdę jedynym, któremu udało się (choć nie do końca jestem pewien, czy to właściwe określenie) na zawsze wyjechać z Nowej Żernicy, był najstarszy z rodzeństwa, wujek Wiesiek. Na początku lat sześćdziesiątych dostał wezwanie do wojska, a mniej więcej miesiąc po przysiędze zginął na poligonie gdzieś w południowo-zachodniej Polsce

na skutek — jak informowało oficjalne pismo wystosowane przez armię — nieszczęśliwego wypadku.

Pismo dotarło do Nowej Żernicy dopiero kilka dni po pogrzebie, ale dziadek ani myślał odpuścić. Pojechał do jednostki, w której służył jego pierworodny, i próbował dowiedzieć się czegoś o śmierci syna, a także zrobić wszystko, by sprowadzić trumnę na nasz miejscowy cmentarz. W drugiej sprawie niczego nie wskórał, natomiast w pierwszej najprawdopodobniej tak, ponieważ nie było go w domu prawie przez kwartał, a wrócił dość mocno utykając (nigdy potem nie chodził już normalnie) i z twarzą noszącą niezagojone jeszcze ślady ciężkiego pobicia.

Wcześniej, po wojnie i przez następne lata, zdawało się, że dziadek — mimo tego, co cała rodzina wycierpiała w wyniku przesiedleńczej Akcji H-T — daje nowej władzy coś w rodzaju kredytu zaufania, ale jego poglądy uległy diametralnej zmianie, od kiedy zaczął utykać. Ucinał każdy temat związany z polityką, a czasami tylko, po paru głębszych, mamrotał w tym kontekście coś pod nosem o skurwysynach, bandytach i mordercach jego syna. A gdy wytrzeźwiał, mieszkał nadal spokojnie w swojej Nowej Żernicy, ciężko pracował i nie musiał użerać się z tymi, których nagle zaczął tak bardzo nienawidzić. I miał nadzieję, że tak będzie już zawsze. Ale dwoje dzieci, które mu jeszcze pozostały, miało zupełnie inne plany...

\*

Wujek Marian przeżył dość ciężko śmierć starszego brata, ale z czasem zdołał się jakoś po niej otrząsnąć. W sześćdziesiątym piątym postanowił kontynuować edukację w Technikum Mechanicznym imienia Karola Świerczewskiego w Sanoku (w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku patron cudownie zamienił się w Grzegorza z Sanoka). Dziadek przyklasnął temu pomysłowi, zdając sobie sprawę, że czas nieubłaganie biegnie do przodu i bez nowoczesności ani rusz, także w prywatnym rolnictwie na niewielką

skalę. Nie zwrócił jednak uwagi na fakt, iż głównym zadaniem szkoły miało być kształcenie kadr dla Sanockiej Fabryki Autobusów „Autosan”.

Plany wujek miał ambitne. Pod koniec szkoły zaczął już rozglądać się za mieszkaniem, które mógłby wynająć. Odbywał praktyki w fabryce, a — co za tym idzie — na dobrą sprawę zagwarantowano mu już całkiem atrakcyjne jak na owe czasy zatrudnienie. Był zdolny, lubiany i na tyle bezczelny, by nawet zacząć myśleć o studiach na Wydziale Mechanicznym Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Rzeszowie (gdyby mu się udało, jako pierwszy w bliższej i dalszej rodzinie zdobyłby wyższe wykształcenie).

Los jednak nieco inaczej poniósł kule wystrzelone przez wujka Mariana i mieszkająca w gospodarstwie położonym po drugiej stronie drogi w Nowej Żernicy Grażynka Lach w październiku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku stała się synową dziadka, a niecałe pięć miesięcy później urodziła mu śliczną wnuczkę.

\*

Mniej więcej w tym samym czasie mama rozpoczęła naukę w liceum medycznym w Krośnie. Wcześniej wyglądało na to, że to właśnie ona zostanie na gospodarce razem z moim dziadkiem i babcią, jednak gdy wujek Marian złożył prawie już rozwinięte do lotu skrzydła i zdeponował je w domu swojej świeżo poślubionej żony, okazało się, że niespodziewanie otwiera się szansa dla najmłodszej z rodzeństwa, Ireny.

Jej brat zdawał sobie sprawę z ogromu obowiązków, jakie na nim spoczną, ale dokładnie pamiętał o swoich niedawnych marzeniach, zatem nie czynił siostrze żadnych wymówek — przeciwnie, wspierał ją i zapewniał, że da sobie ze wszystkim radę. Wprawdzie ojciec Grażynki już nie żył, a matka była słabego zdrowia, ale na szczęście moi dziadkowie trzymali się całkiem nieźle, więc wujek Marian, który teraz miał być głównym gospodarzem w dwóch zagrodach, posiadał podstawy do tego, żeby z optymizmem spoglądać w przyszłość.

Jego najbliższym przyjacielem był poznany w sanockim technikum niejaki Barnaba Pskit. Trudno powiedzieć, pod wpływem jakich używek



jego rodzice wpadli na taką właśnie koncepcję połączenia imienia z nazwiskiem, ale przecież nie świadczy o nas to, co w dowodzie, i z pewnością doskonale wiedziała o tym młodsza siostra Mariana. Barnek (tak zawsze zwracał się do niego mój wujek) był dość wysokim, całkiem przystojnym szatynem o zielonych, trochę rozmarzonych oczach. Był też świadkiem na ślubie Grażyny i Mariana, a także ojcem chrzestnym ich pierworodnej i — jak się później okazało — jedynej córki, Moniki. Najlepszą przyjaciółką, powierniczką i sąsiadką Grażynki była Irena, więc zarówno podczas pierwszej, jak i drugiej uroczystości stała u boku Barnaby Pskita. I tak już im zostało.

Barnek pochodził z Sanoka, Irena mieszkała w internacie w Krośnie, odległość nie była więc duża, dlatego uczucie, które wybuchło pomiędzy nimi, mogło rozwijać się bez przeszkód. Po dwóch latach Pskit się oświadczył, a para oficjalnie została narzeczeństwem. Ślub i wesele zaplanowano na sobotę trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku. Już na początku owego roku młodzi upatrzyli sobie mieszkanie do wynajęcia w Sanoku — samodzielne piętro dość przestronnego, wolno stojącego domu — które miało zwolnić się z początkiem wakacji. Uzgodnili z mieszkającymi na parterze właścicielami cenę za wynajem, wpłacili zadatek i z niecierpliwością oczekiwali czerwca, który nadszedł, nie przynosząc z sobą zbyt dobrych zdarzeń.

Pskit pracował już wtedy w „Autosanie”, jego narzeczona miała niebawem ukończyć szkołę; w sanockim szpitalu dostałaby pracę bez trudu, trzeba więc było tylko cierpliwie czekać, w międzyczasie przygotowując się do wesela, które ostatecznie odbyło się zgodnie z planem. Zupełnie nieplanowaną była natomiast śmierć świeżo upieczonej teściowej Barnaby Pskita.

Matka Ireny wzięła na siebie większość przygotowań do zaślubin córki i choć roboty był huk, to dawała sobie radę tak, jakby nagle odmłodziła co najmniej o dwadzieścia wiosen. Cały czas żartowała, dogadywała innym i doglądała wszystkiego, wsadzając nos w każdy

garnek, niezależnie od tego, czy było to konieczne, czy zupełnie niepotrzebne. W niedzielę czwartego czerwca, wieczorem, gdy było już po całym zamieszaniu, kończyła porządki w kuchni i przenosiła pozostałe po weselu jedzenie do piwnicy. Taszcząc garnek z rosółem, potknęła się i runęła w dół po kamiennych schodach, skręcając sobie kark.

Córka podobno bardzo rozpaczała po śmierci matki, ale ja nie mogę tego pamiętać, bo nie było mnie wtedy jeszcze na świecie.

\*

Kiedy dziewiętnastego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku wsłuchiwałem się w dobiegające z sąsiedniego pokoju pełne żalu szlochanie mojej mamy, byłem odrętwiały z przerażenia.

Wspominałem już wcześniej, że była dzielną kobietą. Po tragicznej śmierci matki wraz z mężem podjęli decyzję, że rezygnują z wcześniejszych planów i przeprowadzają się do Nowej Żernicy, żeby pomóc w gospodarstwie ojcu, który zupełnie się rozkleił. Bez pomocy matki i mając u boku tatę w kiepskim stanie, Marian nie miał szans podołać gospodarzeniu na dwóch frontach. Pskitowie mieli się sprowadzić tylko na rok, ale ostatecznie zostali na znacznie dłużej. Było ciężko, czasem zdawało mi się, że mój ojciec nie daje rady, ale mama zawsze była twarda; bywało nawet tak, iż sama musiała go podnosić na duchu. I nigdy nie płakała. Nawet jak zmarł dziadek.

Ale dziewiętnastego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku zupełnie się posypała.

Leżałem z sercem sparaliżowanym strachem, próbując wyłowić z półsłówek, westchnień i urywanych zdań coś, co mógłbym dopasować do takiego zachowania mojej mamy, ale najwidoczniej ojciec tulił ją w ramionach albo przykrywała twarz dłońmi, bo niczego nie udało mi się zrozumieć.

Przez następnych kilkanaście minut płakała, a ojciec próbował ją uspokoić, aż wreszcie zaczęli się kłócić.

## 2.

Barnaba Pskit zrezygnował z pracy w „Autosanie” i znalazł zatrudnienie w Ustrzykach Dolnych, jako kierowca w miejscowym PKS-ie, natomiast jego żonę przyjęto do pracy w ośrodku zdrowia w Lutowiskach. Nie można powiedzieć, że im się przelewało, ale też nie cierpieli ubóstwa. Do pracy na roli czasem musieli dokładać, ale dzięki państwowym etatom przynajmniej mieli z czego. Wujek Marian początkowo zarzekał się, że poradzi sobie na roli, ale gdy kilka razy musiał chować honor do kieszeni i prosić o finansową pomoc szwagra i siostrę, wreszcie uległ ich namowom i znalazł pracę w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Lutowiskach.

Wspomniałem już, że w sześćdziesiątym dziewiątym na świat przyszła córka Mariana i Grażynki. Wspomniałem też, że miała na imię Monika, ale nie jest to do końca prawda. Fakt, takie imię miała w oficjalnych dokumentach, lecz na dobrą sprawę nikt się w ten sposób do niej nie zwracał. Na jej chrzcinach dziadek cichaczem trochę sobie podpił w kuchni i zaczął robić przy stole awanturę, twierdząc, że nie pozwoli na to, aby imię jego pierwszej wnuczki zaczynało się od liter „M” i „O”.

— Po moim trupie! Toście mi nie lada niespodziankę zrobili. Nie dość, że mi cały czas moja noga przypomina tych skurwysynów i bandytów, to jeszcze za każdym razem mam o nich wspominać, jak będę mówił do wnuczki?!

Babcia, która wtedy miała jeszcze przed sobą jakieś trzy lata życia, próbowała go jakoś pohamować, twierdząc — nie bez racji zresztą — że przecież wiedział wcześniej o tym imieniu i teraz jest już za późno, ale w dziadka jakby wstąpił demon.

— Będę ją nazywał Nika, ot co! — oznajmił wreszcie, lekko bełkocząc. — I niech no tylko ktoś spróbuje się przy mnie zwrócić do niej inaczej, to popamięta!

Żeby nie podgrzewać napiętej atmosfery, wszyscy skwapliwie przystali na ultimatum dziadka, chociaż już i tak wstyd był przed zaproszonymi gośćmi, bo w tamtych czasach nie pito raczej alkoholu na chrzcinach.

W ten sposób Monika została Niką. Przez długi czas nikt przy dziadku nie zwrócił się do niej prawidłowo, aż w końcu imię Nika przyłgnęło do dziewczynki tak mocno, że prawie zapomniano, jakie rzeczywiście jest wpisane w dokumentach.

Trzydziestego września siedemdziesiątego trzeciego roku, gdy do terminu narodzin dziecka Ireny i Barnka pozostały jeszcze prawie dwa miesiące, rodzina zebrała się na obiedzie i zaczęła rozprawiać na temat imienia dla przyszłego jej członka. Przez dłuższy czas rozpatrywano różne propozycje, aż w końcu ustalono, że jeśli to będzie dziewczynka, dostanie imię po nieżyjącej już wtedy babci Anieli. Z chłopcem był większy problem. Dziadek zaproponował, aby dać mu Wiesław, po zmarłym wujku, ale ta propozycja została natychmiast odrzucona przez Irenę — stwierdziła, że przecież wychowywali się razem z Wieśkiem i nie mogłaby tym samym imieniem zwracać się do swojego syna. Sprawa chwilowo utknęła w martwym punkcie, a nieco urażony dziadek, chcąc zmienić temat, zapytał, dlaczego wszyscy, włącznie z nim, nazywają Nikę w taki dziwny sposób, skoro na chrzcie dano jej inaczej. Było sporo śmiechu, ale nowe imię tak mocno zdążyło już przyłgnąć do dziewczynki, że nawet nie próbowano całej sprawy odkręcać.

Można powiedzieć, że w tej rodzinnej scenie poniekąd brałem już udział, ponieważ to właśnie o moim imieniu miano zdecydować. Tego dnia się nie udało, ale niecały tydzień później, w sobotę szóstego października, dziadek, dłubiąc coś tam w swojej komórce, słuchał radia (na moje nieszczęście), w którym nadawano właśnie wywiad z zaproszonym gościem o dziwnym imieniu.

— Wieńczysław, to prawie jak Wiesław! — krzyczał dziadek, zmierzając truchtem w stronę domu. — Prawie jak Wiesław, ale jednak

inaczej!

Znam dobrze tę historię, bo rodzice opowiadali mi ją wiele razy, od najmłodszych moich lat poczynając. I muszę powiedzieć, że choć bardzo kochałem dziadka, to jednak nigdy mu nie wybaczyłem tego pomysłu.

Więnczysław Pskit. Litości!

Miałem też trochę żalu do mamy, ale do ojca — ani trochę. Nawet jeśli zgodził się po części dlatego, żeby nie być jedynym dziwacznym nazywającym się członkiem rodziny, to jakoś tam jestem w stanie go zrozumieć.

Więnczysław Pskit, syn Ireny i Barnaby.

Gdyby nie Nika, to w szkole by mnie zjedli na podwieczorek za samo bycie takim dziwolągiem. Ale ona była ode mnie — i od moich rówieśników, którzy próbowali mi dokuczać — starsza o ponad cztery i pół roku. Było kilka prób ośmieszenia mnie, owszem, ale praktycznie kończyły się one szybciej, niż zaczynały. A to wszystko dzięki Nice właśnie, która natychmiast (albo najpóźniej po lekcjach w szkole w Lutowiskach) pojawiała się nie wiadomo skąd i temat był natychmiast ucinany jak nożem. Była wysoka i silna, więc nie muszę dodawać w jaki sposób.

Wychowywaliśmy się razem, zajmowała się mną od maleńkości i była dla mnie jak siostra. Nigdy nie odmówiła wspólnej zabawy, pokazywała mi świat i uczyła, jak się bić, gdy miałem siedem czy osiem lat. Mieliśmy niedaleko naszych domów kilka świetnych kryjówek, które razem zbudowaliśmy i gdzie spędzaliśmy mnóstwo czasu. Byłem przy niej małym i głupim smarkiem, ale wiem, że skoczyłaby za mną w ogień. To, że ja zrobiłbym dla niej to samo, jest chyba oczywiste.

\*

W poniedziałek dziewiętnastego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, leżąc na łóżku i słuchając zza ściany podniesionych głosów rodziców, myślałem o Nice. Myślałem też o plastikowych nartach, które leżały wtedy schowane w szafie rodziców.

Miały być prezentem na moje jedenaste urodziny, a ja udawałem, że nic na ich temat nie wiem. W Ustrzykach wybudowali niedawno, na Kamiennej Laworcie, prawdziwy wyciąg, a ja, kładąc się spać poprzedniego wieczora, marzyłem, że najbliższej zimy Nika przyjedzie do nas i wybierzemy się tam we dwoje. W Żernicy jeździliśmy sporo (i całkiem nieźle) na drewnianych nartach, które zrobił dla nas dziadek, ale to przecież nie to samo, co na prawdziwym wyciągu, gdzie nie trzeba dziewięćdziesięciu procent czasu spędzać na mozolnym podchodzeniu pod górę.

Rejestrowałem poszczególne słowa mamy, która twierdziła, że nie powinienem tego dnia jechać do Żernicy, ojciec był odmiennego zdania.

— On ma już prawie jedenaście lat! — mówił podniesionym głosem.  
— Przecież takie rzeczy go nie ominą w życiu. Nie możemy go zawsze trzymać pod kloszem.

— Zawsze nie będziemy mogli, i dobrze, ale teraz jeszcze powinniśmy — upierała się mama.

— Będzie miał do nas o to później żal! Dlaczego jesteś taka uparta?!

— Zrozum, Barnaba... — Skoro mama tak powiedziała do ojca, to sytuacja była naprawdę poważna, ale ja już ich dłużej nie słuchałem. Wystarczyło mi to, co usłyszałem na początku sprzeczki.

Leżałem na plecach, z półprzymkniętymi oczyma, a pod powiekami przewijały mi się obrazy, jak kadry filmu puszczanego w przyspieszonym tempie, obrazy, które tak wiele dla mnie znaczą. Nika pomagająca mi wybudować domek na drzewie, wcierająca liść babki w puchnące po ukąszeniu pszczoły miejsce na szyi, Nika pokazująca mi, jak się skręca na nartach, przewracająca się po wywrotce i cała w śniegu, zaśmiewająca się do rozpuku. Śpiewająca kolędę w kościele w Boże Narodzenie, kąpiąca się ze mną w strumieniu w upalny lipcowy wieczór i przyznająca się, że to ona zbiła szybę w domu wujka, choć przecież to ja kopnąłem piłkę. Nika pomagająca moim rodzicom podczas żniw, pokazująca mi jesienią, jak upiec

ziemniaki w ognisku, i odkręcająca boczne kółka w moim dziecięcym rowerku, żebym mógł pojechać „normalnie, na dwóch, jak prawdziwy facet” — tak powiedziała, a ja naprawdę czułem się przez moment jak dorosły.

To był taki film na niby, wyświetlający się tylko w wyobraźni, ale moje oczy zmęczyły się bardzo szybko i strasznie piekły. Nie mogłem dalej oglądać. Czułem tylko, że łzy jedna po drugiej ciekną mi z zewnętrznych kącików oczu i spływają na poduszkę po obu stronach głowy.

Ale nie płakałem.

Chciałem być jak prawdziwy facet.

\*

Dziadek zmarł na początku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, więc rodzice mogli wreszcie przynajmniej częściowo zrealizować swoje plany sprzed ponad dziesięciu lat i zamieszkać w mieście. Zrezygnowali z przeprowadzki do Sanoka przede wszystkim ze względu na to, że nie chcieli oboje zaczynać wszystkiego od początku, ale chyba również dlatego, że przywykli do okolic. Ojciec nie musiał zmieniać pracy, mama po kilku miesiącach dojeżdżania do Lutowisk została zatrudniona w szpitalu w Ustrzykach Dolnych. Ja też nie mogłem narzekać. Żernica liczyła około trzydziestu gospodarstw, więc do szkoły trzeba było dojeżdżać kilka kilometrów. Teraz wystarczyło zbiec po schodach i przejść przez ulicę.

Ale trochę narzekałem. Przede wszystkim dlatego, że tęskniłem za Niką, kolegami i wioską, w której się wychowałem i która podobała mi się o wiele bardziej niż miasto. Na początku było jeszcze znośnie, bo rodzice mieli kłopot ze sprzedażą odziedziczonego po dziadku gospodarstwa i do Żernicy jeździliśmy prawie w każdy weekend, na który składała się wolna sobota. Jednak wreszcie napatoczył się kupiec i wizyty na wsi wiązały się już tylko z odwiedzinami u wujostwa, przez co zdarzały się znacznie rzadziej.

Kiedy wracałem myślami do śmierci dziadka i do tej całej ceremonii związanej z pogrzebem, zawsze zaczynało mi brakować powietrza. Pamiętałem martwe, niby podobne do dziadka, ale jednak zupełnie inne i trochę jakby obce, ciało leżące w pokoju, w którym spędziliśmy razem tyle czasu, śmiejąc się, jedząc wspólnie obiady, oglądając telewizję (najbardziej pamiętałem piłkarskie mistrzostwa świata w Hiszpanii w osiemdziesiątym drugim) czy grając w szachy albo w karty na upieczone wcześniej przez mamę ciasteczka. Dziadek leżał poważny w wielkiej trumnie, miał na sobie czarny garnitur, a jego białe, złączone na brzuchu ręce oplatał drewniany różaniec. Wokół paliły się świece i piętrzyły stosy przyniesionych przez ludzi kwiatów. Kobiety na zmianę to odmawiały jakieś nieznane mi monotonne modlitwy, to śpiewały żałobne pieśni, a ja siedziałem na krześle, w kącie, obok Niki, i próbowałem zrozumieć to, co się wokół mnie dzieje. Kręciło mi się w głowie. Nie wiem, czy z emocji, czy z braku świeżego powietrza, zamiast którego otaczała mnie gęsta, zawieszona i duszna woń kwiatów, zmieszana z zapachem wosku, ciał żałobników i zwłok dziadka. Co ciekawe, nagle przestałem mieć żal o to, że wybrał dla mnie takie beznadziejne imię, a zacząłem o to, że tak po prostu nas zostawia.

\*

Gdy leżałem w swoim pokoju, podświadomie rejestrując gasnącą już powoli sprzeczkę rodziców, znów czułem duszność, ale tym razem niezwiązaną ze śmiercią dziadka, a z tym, co mnie czekało w najbliższym czasie. Zastanawiałem się, czy tym razem będzie tak samo i czy uda mi się przez to jakoś przejść ze świadomością, że będę ją widział po raz ostatni. Dręczyły mnie okropne obawy, ale czułem się o wiele starszy i dojrzały niż w momencie, gdy usłyszałem dzwonek telefonu.

Nie interesowało mnie to, czy mama ostatecznie zgodzi się na mój wyjazd do Żernicy, na pogrzeb Niki. Wiedziałem, że jeśli będzie trzeba, to pójdę na piechotę, mimo że musiałbym przejść prawie trzydzieści kilometrów. Właśnie wtedy usłyszałem, głos zza ściany:



— Masz rację, Barnek. Do dziś żałuję, że nie byłam na pogrzebie Wieśka i gdybym miała wtedy taką możliwość, a rodzice by mi na to nie pozwolili, to chyba nigdy bym im tego nie wybaczyła.

Niedługo potem usłyszałem, że drzwi ich pokoju się otwierają. Szybko przewróciłem poduszkę na drugą stronę i otarłem rękawem piżamy resztki łez, a potem odwróciłem się do ściany. Skrzypnęły moje drzwi, ktoś bezszelestnie podszedł do łóżka i usiadł na jego brzegu. Potem poczułem dłoń na ramieniu.

— Wieńczyk, obudź się. — Słyszałem, że głos ojca bardzo drży. — Obudź się, synku, bo muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego...

### 3.

Wyjechaliśmy z Ustrzyk dopiero wieczorem, ponieważ mama musiała być tego dnia w pracy. Ojciec zadzwonił do PKS-u i załatwił sobie jakoś zastępstwo na dwa dni, a potem poszedł do kwaciarni, żeby kupić wiązanki dla Niki, oraz do szkoły, żeby poinformować o mojej nieobecności, przynajmniej do środy. Byłem wdzięczny rodzicom, że nawet nie zapytali, czy dam radę uczestniczyć w lekcjach. Nie dałbym.

Pogoda tego dnia była paskudna. Od rana padał deszcz ze śniegiem i bardzo mocno wiało. Ojciec po powrocie stwierdził, że to pierwszy taki zimny dzień tej jesieni. A potem zadzwonił do sołtysa Nowej Żernicy, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o przyczynach śmierci Niki. Nie chciał zwracać głowy wujkowi Marianowi i cioci Grażynie. Zresztą pewnie i tak by nie odebrali.

Mama wróciła po trzeciej i zrobiła obiad (choć chyba nikt z nas nie miał apetytu) i jak gdyby to był normalny dzień, usiedliśmy przy stole. Prawie w ogóle nie rozmawialiśmy i prawie nic nie jedliśmy. Ojciec już wcześniej powiedział mi to, czego dowiedział się od sołtysa, teraz powtórzył to samo mamie, a ponieważ informacja była dość zdawkowa i raczej nikt nie zamierzał przy zastawionym stole jej kontynuować, więc temat natychmiast umarł. Zupełnie jakby ktoś go przejechał ciężarowym zilem.

Gdy pozbieraliśmy naczynia ze stołu i zanieśliśmy je do kuchni, mama podejrzanie długo zmywała, a później — całkiem nie w swoim stylu — niespiesznie szykowała nas do wyjazdu. Miałem wrażenie, że wcale jej się nie spieszy do Żernicy i chociaż przeszło mi przez myśl, że może wujek i ciocia potrzebują naszej obecności, to chyba rozumiałem zachowanie mamy. Sam przecież też bardzo się bałem tego wyjazdu.

Sołtys powiedział ojcu, że pogrzeb ma być następnego dnia, czyli we wtorek, więc oczywistym było, iż spędzimy poza domem przynajmniej jedną noc. To dało mamie dodatkowe możliwości odwleczenia wyjazdu, ale wreszcie o dziewiętnastej z minutami wsiedliśmy do naszej „beczki” i ruszyliśmy sprzed bloku.

\*

Temperatura spadła poniżej zera, a padający przez cały dzień śnieg z deszczem zamienił się w śnieg. Przyglądałem się miastu za szybami auta i myślałem o tym, że Nika nigdy już nie zobaczy świata pokrytego białym puchem, na który czeka się przez wiosnę, lato i jesień, nie będzie śpiewała kolęd w kościele i nie pójdzie ze mną na narty. Ani w Żernicy, ani na Kamienną Lawortę, ani nigdzie indziej. Te myśli były bardzo dziwne i nie potrafiłem w nie uwierzyć. Oczywiście — jak chyba każdy w takiej sytuacji — miałem nadzieję, że to tylko zły sen, który za chwilę minie i — jak to zwykle bywa — jednak się nie obudziłem.

Kiedy wyjechaliśmy z Ustrzyk, wydawało się, że sypie jeszcze bardziej. Silne światła reflektorów tworzyły jasne tunele w wirujących i momentami oślepiających płatkach śniegu. Droga była biała, asfaltu w ogóle nie było widać i ciężko było dostrzec pobocza, ale ojciec prowadził pewnie (choć miałem wrażenie, że mógłby jechać trochę szybciej). Parę razy autem lekko zarzuciło (prawdopodobnie deszcz, który padał wcześniej, zaczął zamarzać), ale ponieważ było ciężkie i duże, miało prawie nowe opony, a w dodatku prowadził je zawodowy kierowca, to zagrożenie, że wypadniemy z trasy i wpadniemy do rowu albo, co gorsza, ulegniemy jakiemuś poważniejszemu wypadkowi, było właściwie żadne.

Pomyślałem wtedy, że trochę szkoda.

Czteroletni mercedes W123 — model popularnie zwany „beczką” — był oczkiem w głowie ojca. Takie auta były wówczas rzadkością na polskich drogach, a zwłaszcza w okolicach Ustrzyk Dolnych, ale ojcu udało się go odkupić za dobrą cenę od kolegi jeszcze z czasów technikum, z którym wciąż utrzymywali kontakt. Kolega ów sprowadził auto do Polski, gdy wracał z kontraktu na Bliskim Wschodzie, a później z chęcią odsprzedał za całkiem przyzwoite pieniądze. Wydatek był spory, ale samochód właściwie niezawodny, a w dodatku diesel — co dla kierowcy PKS-u było rzeczą kluczową, ponieważ oleju napędowego przy oszczędnej jeździe autobusem można było zaoszczędzić wystarczająco dużo, by nie wydawać już później niepotrzebnie pieniędzy na paliwo.

Tak więc wszystko wskazywało na to, że cało i bez problemów dotrzemy do celu. Doskonały kierowca, sprawne auto zatankowane pod korek...

W tym momencie prawie krzyknąłem. Chwilę wcześniej w zamyśleniu patrzyłem na hipnotycznie wirujące w świetle reflektorów śnieżynki, które nagle ułożyły się w twarz Niki, zbliżającą się z ogromną prędkością w naszą stronę. To trwało ułamek sekundy, krzyk ugrzął mi w gardle, ale pomimo że próbowałem wytłumaczyć sobie, że było to zwyczajne przywidzenie, to jednak serce biło mi zdecydowanie zbyt szybko aż do chwili, gdy ojciec zatrzymał mercedesa przed bramą pograżonego w żałobie domostwa, którą zgodnie z tradycją pozostawiono otwartą.

Wujek Marian stał przy wejściu do domu i palił papierosa. Chciałem podejść i się z nim przywitać, ale mama delikatnie chwyciła mnie za rękę i skierowała w stronę drzwi. Przypomniałem sobie wtedy, że najpierw należy iść do pomieszczenia, w którym znajduje się trumna z ciałem. Tak robili wszyscy, którzy przychodzili do nas, gdy zmarł dziadek. „To dla niego przede wszystkim tu są — tłumaczył mi wtedy

ojciec. — Najpierw trzeba przywitać się ze zmarłym, a dopiero potem można porozmawiać z domownikami”.

Przed domem stały może ze trzy samochody i jeden ciągnik, dlatego zdziwiło mnie, że w środku jest tak wiele osób. Z trudem przepchnęliśmy się przez korytarz, zmierzając w stronę gościnnego pokoju, z którego dobiegało dobrze mi już znane „Dobry Jezu, a nasz Panie, daj jej wieczne spoczywanie”.

Kiedy stanęliśmy w progu, poczuliśmy duszny zapach i równie duszące spojrzenia wielu oczu, a śpiew umilkł w jednym momencie. Nie miałem jeszcze odwagi, by spojrzeć na Nikę. Idąc za przykładem rodziców, złożyłem swoją wiązaną kwiatów obok trumny, pośród dziesiątek podobnych, i ukląknęłem pomiędzy mamą a ojcem. Wiedziałem, że powinienem się zacząć modlić, ale z głowy wyleciały mi wszystkie powtarzane dotąd tysiące razy pacierze. Byłem w tak dobrze znanym mi domu, ale czułem się źle, niepewnie i najchętniej bym stamtąd uciekł. Złapałem się nawet na tym, że pośród otaczających trumnę ciasnym kręgiem siedzących na krzesłach osób szukam tej, która zawsze dodawała mi otuchy, która sprawiała, że nawet w wieku kilku lat mogłem czuć się „prawdziwym facetem”.

Rozplakałem się, wstałem i stamtąd wybiegłem. Przez zatłoczony korytarz, sień, aż przed dom, gdzie wujek Marian właśnie kończył palić papierosa. Gdy mnie zobaczył, wyrzucił niedopałek, przyklęknął i wziął mnie w ramiona. Zaraz potem płakaliśmy obaj.

\*

Rodzice wyszli na zewnątrz jakieś pięć minut później.

— Gdzie Grażynka? — zapytała mama.

— Jest z matką w naszym pokoju. — Wujek zdążył się już opanować.

— Wzięła proszki na uspokojenie i stara się jakoś trzymać.

— A ty?

— Ja też wziąłem i też się staram.

— Zaraz do niej pójde, ale najpierw powiedz, jak to się, na Boga, stało. Wiemy tylko, że...

Wujek powstrzymał mamę gestem ręki. Za naszymi plecami wciąż kręcili się ludzie, to wchodząc do domu, to znów go opuszczając.

— Przejdźmy na chwilę do letniej kuchni.

Ruszył przodem, a my za nim.

W pomieszczeniu chyba było niedawno palone, bo panowało w nim przyjemne ciepło. Mama z ojcem i wujek Marian usiedli przy stole, a ja zajrzałem pod kuchnię, żeby zobaczyć, czy w palenisku jest jeszcze choć trochę żaru. Domyślałem się, że dorośli będą chcieli porozmawiać, więc uznałem, że zajmę się czymś innym, by nie zwracać na siebie ich uwagi, co mogłoby skutkować tym, że niczego bym się nie dowiedział. A przecież chciałem wiedzieć, co dokładnie stało się Nice.

Znalazłem pod kuchenną płytą kilka żarzących się węgielków, zmiałem parę stron „Trybuny Ludu”, wrzuciłem do pieca i zacząłem na nie nakładać drobne kawałki drewna.

Okazało się, że sołtys miał prawidłowe informacje. Nika została poprzedniego wieczoru przejechana przez należącego do PGR-u w Lutowiskach ciężarowego ziła. Tutaj, w bardziej surowym, właściwie już górskim klimacie od dwóch dni wieczorami popadywał śnieg z deszczem, a z zapadnięciem zmroku, podobnie jak dziś w okolicach Ustrzyk, na asfalcie zaczynała się tworzyć warstewka lodu.

\*

Zygmunt Mielnik z rodzicami i trzema siostrami (podobnie jak mama z rodziną) w pięćdziesiątym pierwszym został w ramach Akcji H-T przesiedlony z terenów obecnej Ukrainy do Lutowisk, które jeszcze wtedy znane były pod nazwą Szewczenko.

Kiedy wujek Marian zaczął pracować w PGR-ze, Mielnik był tam już zatrudniony. Szybko znaleźli wspólny język, a po kilku latach łączyło ich już coś na kształt przyjaźni. Odwiedzali się czasem w domach, dzięki czemu i ja poznałem pana Zygmunta, którego natychmiast bardzo polubiłem. Zawsze uśmiechnięty, chętnie ze mną żartował i traktował jak kogoś o wiele starszego, niż byłem w rzeczywistości. Prawie jak równego sobie.

W niedzielę Mielnik cichaczem „pożyczył” sobie na kilka godzin ziła, żeby z lasu przywieźć trochę opału, bo wszystko wskazywało na to, że zima w gminie Lutowiska zagościła na dobre. To był dobry dzień na taką wyprawę, bo trudno było się spodziewać, że w niedzielę i w taką pogodę milicja albo straż leśna będą zawracały sobie głowę zastawianiem sideł na drobnych złodziejasków drewna.

Ziła był tylko w jednej trzeciej załadowany, ale zapadł już zmierzch, więc pan Zygmunt ruszył w drogę powrotną do Lutowisk. Las, w którym robił zaopatrzenie na zimę, zaczynał się jakieś pięćset metrów za Żernicą, więc wracając, Mielnik przejechał koło naszego dawnego domu i gospodarstwa wujka Mariana. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej jest dość ostry zakręt w prawo. Tuż za nim doszło do wypadku.

Nika wracała od koleżanki, z którą wspólnie przygotowywały się do poniedziałkowych lekcji. Obie były w pierwszej klasie liceum i dojeżdżały do Ustrzyk Dolnych. Na początku roku szkolnego moi rodzice zaproponowali, żeby Nika zamieszkała u nas, ale ona stwierdziła, że na razie spróbuje niczego nie zmieniać, żeby móc pomagać rodzicom. Rano jechała z wujkiem do Ustrzyk, potem przesiadała się w Lutowiskach na PKS i w godzinę była na miejscu. Po południu był autobus do samej Żernicy, więc dzięki temu wracała w miarę szybko.

Gazety pod kuchenną płytą już się zajęły, ogień zaczął lizać suche drewnienka, a ja zastanawiałem się, czy jeśli Nika mieszkałaby u nas, to ciągle by żyła, i równocześnie słuchałem słów wujka.

— Zygmunt twierdzi, że gdy minął zakręt, zobaczył ją leżącą nieruchomo na drodze, w poprzek jezdni. Zaczął trąbić i od razu nacisnął hamulec, ale, mimo że jechał najwyżej trzydziestką, ziła wpadł w poślizg. Ponoć w ogóle nie zwolnił i to jest akurat możliwe, bo opony ma łyse jak kolano, prawie w ogóle nie widać na nich bieżnika.

Wujek westchnął ciężko, a potem przerwał, jakby zapadł w jakiś letarg. Ocknął się z niego po jakiejś minucie i odchrząknął.

— Nika leżała nieruchomo w poprzek jezdni — powtórzył, zapewne zupełnie nieświadomie. — Ponoć w ogóle się nie ruszała, jakby straciła przytomność albo... No, wiecie, jakby spała lub była nieżywa.

Mama niespokojnie poruszyła się na krześle.

— Zresztą lekarz mówił, że to prawdopodobne — dodał wujek.

— Że co jest prawdopodobne? Że nie żyła, kiedy Mielnik ją potracił?

— W głosie ojca zabrzmiało niedowierzanie.

— Lekarz z pogotowia stwierdził, że to prawdopodobne. A Zygmunt jej nie potracił, tylko...

— Jaki lekarz? — wtrąciła się mama.

— Kownacki, Kowiński, nie pamiętam dokładnie...

— Kowieński — poprawiła. — Znam go. Nie był czasem pijany? Jest dobry, ale jak sobie wypije...

— Nie — stanowczo odparł wujek Marian. — Na pewno nie. Jestem tego pewien.

— Ale jak to „nie potracił”? — ojciec wrócił do zawieszzonego wątku rozmowy.

Popatrzyłem na brata mamy. Siedział ze spuszczoną głową i wydawało mi się, że jego ciałem wstrząsnął bezgłośny szloch. Gdy podniósł wzrok, zobaczyłem, że jego zaczerwienione oczy lśnią od łez.

— Zygmunt hamował, próbował skręcać, ale ten cholerny gruchot jechał na wprost, rozumiecie? No i po prostu przejechał przednim lewym kołem po brzuchu Niki, zanim udało mu się wreszcie jakoś zatrzymać...

\*

Ogień rozpalił się na dobre i przez dłuższy czas w pomieszczeniu było słyhać tylko jego buzowanie i skwierczenie płonącego drewna.

Wyglądało na to, że żadne z moich rodziców nie wie, co teraz powiedzieć, a ja z emocji drżałem na całym ciele, bo zdołałem wyobrazić sobie całą scenę aż nadto wyraziście.

— Mam tylko nadzieję, że nie cierpiała... — powiedział wujek prawie szeptem, jakby kończąc to, co usłyszeliśmy wcześniej.

To obudziło mamę z letargu.

— No ale co dalej? — spytała. — Przecież skoro są wątpliwości co do okoliczności śmierci Niki, to trzeba by zrobić sekcję. Przecież nie sposób uwierzyć w to, że zmarła nagle na środku drogi... Przecież Zygmunt mógł to wszystko zmyślić...

Wujek spojrział na nią zmęczonym wzrokiem, a później położył dłoń na jej ramieniu.

— Irena, znam Zygmunta nie od wczoraj. Wiem, że nie kłamie, i wiem, że tego nie chciał. Cierpi teraz pewnie tak samo, jak my wszyscy, a może nawet bardziej, bo czuje się najbardziej winny tego, co się stało. Ani sekcja, ani dodatkowe zarzuty nie podniosą Niki z trumny. Trzeba być człowiekiem. Lekarz stwierdził, że straciła przytomność i upadła na szosę, bo znalazł siniec na boku twarzy. Odcisnięty ślad na zmrożonym śniegu też to potwierdzał, więc taką wersję przyjmujemy. Milicja wpisała to do papierów. Poza tym...

Mama spojrzała na wujka pytająco.

— Poza tym taka wersja jest całkiem prawdopodobna — skończył.

Ojciec pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Co ty, Marian? Przecież Nika jest... to znaczy... była sprawną, młodą dziewczyną. Sądysz, że mogła się poślizgnąć, upaść i tak uszkodzić głowę, by stracić przytomność?

— Przecież każdemu to się może zdarzyć, Barnek — odparł wujek.

— Ale nie o to chodzi. Irena, posłuchaj... — zwrócił się do mamy.

— Zastanawialiśmy się z Grażynką w ubiegłym tygodniu, czy do ciebie nie zadzwonić z prośbą o radę w sprawie Niki. Ostatnio była jakaś słaba, blada, apatyczna. Dwa razy w ciągu tygodnia zasłabła, raz straciła przytomność.

Mama wstała i zaczęła nerwowo chodzić po pomieszczeniu.

— Wiem, powinniśmy to byli zrobić, może wysłać ją na badanie krwi, ale sama rozumiesz... miała piętnaście lat, dorastała, takie rzeczy chyba zdarzają się dziewczętom w jej wieku...? — Wujek wodził za mamą oczyma, w których zobaczyłem lęk podszyty nadzieją.



I nie zawiódł się. Niezależnie od tego, co tak naprawdę mama czuła w głębi duszy, odparła:

— Tak, to normalne w wieku dorastania. Sama też pewnie bym poczekała, żeby nie wzbudzać fałszywego alarmu.

\*

Kiedy wyszliśmy we czwórkę z letniej kuchni, skierowaliśmy się w stronę domu. Wujek powiedział, że wypali jeszcze jednego, i został na dworze. Trochę mu zazdrościłem; też wolałbym jeszcze pobyc na zewnątrz i popatrzeć na sypiący coraz gęściej śnieg. Nie chciałem znów wchodzić do środka i po raz kolejny wdychać duszny zapach świec, kwiatów i ludzi, ale wiedziałem, że muszę zmierzyć się ze swoją słabością. Przecież jeszcze rano byłem gotów przemierzyć drogę z Ustrzyk na piechotę, a teraz byłem o krok. „Musisz być jak prawdziwy facet” — zabrzmiało gdzieś z tyłu głowy, więc posłusznie wszedłem najpierw do sieni, a później zacząłem przemierzać korytarz. Teraz stały w nim tylko dwie osoby.

Mama otworzyła drzwi do sypialni wujostwa z zamiarem podjęcia skazanej z góry na niepowodzenie próby podniesienia na duchu cioci Grażyny, a ojciec położył dłoń na moim ramieniu.

— Pójść tam z tobą, Wieńczyk? — zapytał.

— Nie, tato. Chyba sam dam radę.

Skinął głową, a ja niepewnym krokiem wszedłem do pokoju gościnnego.

Było mniej osób niż przedtem. Zajętych było może dziesięć krzeseł. Omiotłem wzrokiem siedzących na nich ludzi. Kilka starszych kobiet, dwie koleżanki Niki, jeszcze z podstawówki, Iwona, u której moja siostra cioteczna była tuż przed śmiercią, i jeden nieznajomy mężczyzna mniej więcej koło pięćdziesiątki. Odmawiali różaniec jak mantrę, a ja poczułem dobrze znaną mi duszność. Te kwiaty śmierdziały okropnie. „A może to już Ona? — przebiegło mi przez myśl. — Nie, chyba za wcześnie...”. Za to żywych czułem na pewno. No i te świece, które dopełniały całości.

Drgnąłem, gdy zegar zaczął bić dziesiątą. Spojrzałem w jego kierunku, lekko zaskoczony, ponieważ gdy zmarł dziadek, mama zatrzymała wszystkie, które były w domu. Widocznie o tym nie pomyśleli, a może w domu cioci nie było takiego zwyczaju? Natomiast zasłony w oknach były zaciągnięte tak, jak należy; wcześniej zwróciłem uwagę, że lustro w przedpokoju zgodnie z tradycją także zasłonięto. Dziwne, o czym się myśli w niecodziennych sytuacjach.

Nika leżała pośrodku pokoju. Była ubrana w beżową sukienkę i błyszczące czarne buty. Jej szczupła sylwetka była taka jak zwykle i, na szczęście, nie było widać żadnych obrażeń po tym, jak przejechało po niej koło ważące kilka ton ziła. W dłoniach miała różaniec, taki sam, jaki trzymał w zeszłym roku dziadek. Przez chwilę zastanawiałem się, czy to może być ten sam, ale zaraz zrugalem sam siebie za własną głupotę. „Przecież tamten dziadek ciągle ma w rękach” — pomyślałem. Jasnobrazowe włosy Niki splecione były w warkocz i spoczywały luźno na jej prawym barku.

Wyglądała ślicznie. Miałem wrażenie, że lekko się uśmiecha (być może to przez niedomknięte wargi, pomiędzy którymi widziałem zęby). Miała zaróżowione policzki (pewnie ktoś zrobił jej makijaż), a w uszach swoje ulubione srebrne kolczyki. Jedyne, co trochę przerażało w wyglądzie Niki, to lekko uchylone powieki, pod którymi było widać nieznacznie błyszczące białka, więc postanowiłem, że nie będę więcej patrzył na jej oczy.

Po raz drugi tego wieczoru ukląknęłam w tym samym miejscu i tym razem nie miałem problemu z tym, żeby przypomnieć sobie jakąś modlitwę. Przywitałem się z Niką. Ale uwierała mnie obawa, że gorszy problem może być z pożegnaniem.

\*

Odmówiłem pacierz i usiadłem na najbliższym wolnym krześle. Czułem na sobie zaciekawione spojrzenia kilku par oczu, ale po chwili przestałem zwracać uwagę na to, co dzieje się wokół.

Najważniejsza była Nika.

Zanim jeszcze uświadomiłem sobie, że patrzę na nią po raz ostatni w życiu, przyszła mi do głowy absurdalna myśl: „Będzie jej zimno w tej cienkiej sukience”. A potem już byliśmy tylko we dwoje. Wspomnienia znów wróciły. Patrzyłem na jej delikatne blade dłonie, które ściśnięte w pięści potrafiły dać w żartach niezłego kuksańca, spojrzałem na szczupłe nogi, które zawsze biegały szybciej od moich, a potem znów na rękę — nad prawym nadgarstkiem wciąż widać było małą bliznę, powstałą, gdy we dwójkę uciekaliśmy dwa lata temu jesienią z położonego nieopodal sadu sąsiada, gonieni przez spuszczonego z uwięzi psa; Nika zahaczyła wtedy o wystający ze sztachety zardzewiały gwóźdź. Nie wiem, dlaczego akurat ta drobna blizna, ten ledwie widoczny ślad na skórze tak bardzo mnie poruszył. Może dlatego, że sam pomagałem go odkazić i opatrzyć, a może po prostu pozwolił mi zrozumieć, co tak naprawdę się stało, pojąc, że niedługo już tej blizny nie będzie. Tak samo jak Niki i wspólnie spędzanego z nią czasu.

Czułem, że łzy znów cisną mi się do oczu i pewnie bym się rozplakał, gdyby nie śmiech, który usłyszałem z kąta pokoju. Dwie baby rajdały w najlepsze, zupełnie nie zwracając uwagi na to, gdzie i po co się znajdują. Miałem ochotę wstać i wydrapać im oczy, ale ktoś obok mnie zaczął znów odmawiać różaniec, więc przekupy się uspokoiły, a ja wróciłem do swoich myśli, zagłębiając się w nie z łatwością dzięki „mantrowemu” rytmowi tej monotonnej modlitwy.

\*

Zatraciłem się we wspomnieniach oraz pełnych żalu do Boga i całego świata rozmyślaniach tak bardzo, że nie słyszałem, jak zegar wybił wpół do jedenastej; dopiero o jedenastej rozejrzałem się po pokoju. Zostałem w nim już tylko ja, Iwona, dwie kobiety i nieznajomy mężczyzna. W progu stała mama, która załzawionymi oczyma przypatrywała mi się z niepokojem. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, podeszła i usiadła obok.

— Wszystko w porządku, synku? — zapytała.

— Nie, mamó, nic nie jest w porządku. Dlaczego ona musiała umrzeć?

Nie usłyszałem odpowiedzi. Mama po prostu zrobiła to, co w tamtym momencie było najlepsze, czyli objęła mnie ramieniem i mocno przytuliła.

Do moich jedenastych urodzin została już niecała godzina, a ja, nie wiedząc czemu, pomyślałem wtedy o schowanych w szafie rodziców nartach. „Oddałbym je. Oddałbym narty i wszystkie prezenty, które dostałem. I te, które kiedyś dostanę. Oddałbym, gdyby tylko Nika mogła ożyć”. Ale ona leżała nieruchoma, coraz bardziej obca i coraz bardziej martwa, a tykający głośno zegar nie odmierzał już nawet sekundy jej czasu.

\*

Minęło kolejne pół godziny.

Mama zapytała, czy nie jestem głodny. Gdy odparłem, że nie, poszła zobaczyć, co z ciocią. Wtedy w pokoju zostałem już tylko ja, ciało Niki i trzy kobiety.

Gdzieś tak dwadzieścia minut przed północą z zewnątrz dobiegły podniesione głosy, a potem jakiś mężczyzna krzyknął głośno. Nie zrozumiałem co, ale zaraz potem drzwi do domu otwarły się z hukiem i ten ktoś powtórzył już z korytarza:

— U Janickich się pali! Stodoła w ogniu, pomóżcie! Zaraz ogień może przenieść się na dom...

Usłyszałem stukot butów, trzy żałobniczki natychmiast się poderwały i wybiegły z pokoju. Wstałem, chcąc pójść w ich ślady, ale potem znów usiadłem na krześle, przekonany, że tutaj mama i ojciec łatwiej mnie znajdą.

W Żernicy nie było wodociągu; wodę czerpano głównie z tradycyjnych studni, w kilku domach były też studnie głębinowe, ale na pewno nie u Janickich. Na szybką reakcję straży pożarnej nie bardzo można było liczyć — ochotnicza placówka w Lutowiskach do pożarów przyjeżdżała przeważnie już po zawodowcach z Ustrzyk, więc

przynajmniej przez pół godziny trzeba było sobie radzić własnymi siłami. Najprościej było wykorzystywać w takich awaryjnych sytuacjach wodę ze strumienia, ale do tego potrzeba było wielu rąk. Dla mieszkańców Żernicy było to jasne jak słońce i, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, każdy w przypadku pożaru rzucał wszystko, chwycił wiadro i natychmiast biegł na pomoc. Tak było i tym razem.

Po trwającym kilkadziesiąt sekund rozgardiaszu w korytarzu, dom opanowała cisza, zakłócana jeszcze przez oddalające się i cichnące głosy. Pewnie było tak, że każde z moich rodziców uznało, iż to drugie się mną zajmie i w efekcie zostałem w domu sam.

Dom Janickich oddalony był od zagrody wujka o jakieś pół kilometra, więc nie mogłem słyszeć hałasów towarzyszących gaszeniu pożaru. Ucichły głosy za oknami.

Zostałem w domu sam.

Prawie sam.

Nie wiedziałem do końca, czy ciało Niki powinienem traktować jako osobę i raczej się nad tym nie zastanawiałem. Ważniejsze było, że nie zostało samo.

„Może tak miało być? — pomyślałem. — Teraz będę się mógł z nią naprawdę pożegnać”.

Przysunąłem sobie krzesło bliżej trumny i dotknąłem najpierw ręki (gdy to zrobiłem, drewniany różaniec cicho zagrzecotał), a później blizny ponad nadgarstkiem. Wziąłem Nikę za dłoń i zdziwiłem się, bo spodziewałem się, że będzie chłodniejsza. Spojrzałem na twarz. Zdawało się, że Nika z lekkim uśmiechem przygląda mi się oczyma bez źrenic. Odpowiedziałem, również się uśmiechając. Trwaliśmy tak przez jakiś czas.

Nagle zegar zaczął bić północ. Rozpoczęły się moje urodziny i nastawała godzina duchów. Ale ja się nie bałem, bo przecież ona była ze mną.

Kręciło mi się w głowie. Trochę z emocji, trochę przez słodki i mdlący zapach kwiatów i świec. Myśli mi się plątały, sam już nie wiedziałem, czy w trumnie leży moja bliska kuzynka, czy tylko nic niewarte, choć znajome ciało.

Nika w ostatnim czasie bardzo urosła, mierzyła ponad metr siedemdziesiąt. Ja proces dojrzewania ciągle jeszcze miałem przed sobą. Kiedy niedawno się spotkaliśmy, stanęliśmy przed (zasłoniętym teraz) lustrem w korytarzu. Objęła mnie ramieniem i przyciągnęła do siebie; okazało się, że jest o ponad głowę wyższa. „Będę do ciebie mówił «ciociu»” — powiedziałem wtedy. Długo się z tego śmiała, a potem potargała mi włosy. Po raz ostatni.

Gdy teraz, będąc tylko z nią w jej domu, trzymałem ją za rękę, zapragnąłem raz jeszcze się do niej przytulić. Też po raz ostatni. I zrozumiałem, że mogę to zrobić. Puściłem jej dłoń, wstałem i sprawdziłem, czy trumna jest stabilnie ustawiona. Okazało się, że tak, więc przysunąłem krzesło jeszcze bliżej, ukląknę na nim, a później zdjąłem buty i ostrożnie położyłem się obok Niki, wzdłuż jej prawego ramienia, delikatnie ją obejmując.

Trumna była szeroka (pewnie przygotowywana dla dorosłego), a moja siostra szczupła, zresztą ja również nie należałem do grubasów, więc zmieściłem się bez najmniejszego problemu. Splecione w warkocz włosy łaskotały mnie w policzek, czułem zapach mydła, którym umyła Nikę przed przebraniem jej w pogrzebową sukienkę. Przymknąłem powieki i pomyślałem, że nie mogę tak długo zostać, bo co byłoby, gdyby ktoś mnie tak zastał.

Usłyszałem znajome ciche grzechotanie. To drewniane paciorki różańca znów się poruszyły. Tyle że tym razem nie ja to sprawiłem...

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, jak lewa ręka Niki powoli zbliża się do mojej twarzy. Zaraz potem pogładziła mnie delikatnie po policzku i włosach. Serce zabiło mi mocniej, bo wszystko wskazywało na to, że moje wcześniejsze marzenia się spełniły. Uśmiechając się z nadzieją, spojrzałem na twarz siostry. Żaden mięsień na niej ani drgnął, ale

jednak coś się zmieniło. Pod powiekami nie było już widać białek, a wpatrujące się we mnie czarne źrenice.

Zdążyłem jeszcze pomyśleć: „Przecież one powinny być niebieskie”, a później spłynęła na mnie ciemność.

#### 4.

Przeprowadzona w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku Akcja H-T (nazwana tak od pierwszych liter powiatów hrubieszowskiego i tomaszowskiego) objęła ponad czternaście tysięcy Polaków, z czego prawie cztery tysiące osób przewieziono w rejon Ustrzyk Dolnych. Za niemal pięćset kilometrów kwadratowych żyznych ziem, położonych na wschód od Sołokiji, Polska otrzymała podobny obszar, tylko że w trudnych do gospodarowania górskich warunkach. Przesiedlani mieszkańcy przewożeni byli w bydlęcych wagonach, na których oznaczano miejsce przeznaczenia, a za własne gospodarstwa otrzymywali często pozostawione w opłakanym stanie, zaniedbane siedliska poprzednich właścicieli.

W Nowej Żernicy moi dziadkowie wraz z dziećmi musieli zacząć wszystko od początku. We wsi znajdowała się mała cerkiewka, przekształcona w latach pięćdziesiątych w kościół, w którym raz w tygodniu odprawiał msze ksiądz przyjeżdżający z Lutowisk. Niepozorną świątynię okalał cmentarz, jednoczący po wsze czasy dotychczasowych mieszkańców i zmarłych już w nowym miejscu zamieszkania przesiedleńców.

O tej niewielkiej nekropolii krążyły w okolicach legendy, które po raz pierwszy usłyszałem w szkole od kolegów z Lutowisk. Nie wiem, ile w nich było prawdy, ale na kilkuletnim chłopcu, jakim wówczas byłem, zrobiły one tak duże wrażenie, że od tamtej pory zawsze dbałem o to, by po zapadnięciu zmroku nie przechodzić samotnie obok cmentarnego ogrodzenia.

Mówiono, że w powiecie ustrzyckim znajduje się kilka miejsc pochówku, w których każdy ze zmarłych przed złożeniem do grobu

przebijany jest metalowym zębem od brony. Co więcej — jakkolwiek niewiarygodnie by to nie brzmiało — praktykom tym nie był przeciwny ksiądz odprawiający msze w naszym kościółku. Szeptano między sobą, że jeśli zaniechano by takiego rytuału, to po kilku dniach można by nieboszczyka spotkać spacerującego w okolicy domu, w którym mieszkał.

Nawet jako kilkuletni chłopiec nie wierzyłem w takie rzeczy i parę razy nawet widziałem, jak trumna składana jest w grobie i przysypywana zwałami ziemi. Tak więc trudno byłoby przypuszczać, że ktoś będzie sobie zadawał trud ponownego jej wydobycia na powierzchnię w celu okaleczenia zwłok. I miałem rację. Chociaż nie do końca.

Jak zdradził mi po paru głębszych ojciec, gdy miałem już dwadzieścia kilka lat, ostatnią osobą, którą pochowano z wbitym w klatkę piersiową szpikulcem, była moja zmarła tragicznie czwartego czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku babcia. Niedługo potem nastał nowy ksiądz, który zakazał podobnych pogańskich praktyk. Po otrzymaniu tej nieprawdopodobnej informacji od ojca, zacząłem zgłębiać temat. W końcu lat dziewięćdziesiątych, w wakacje przed piątym rokiem studiów, zjeździłem kawał drogi w poszukiwaniu wyjaśnienia tej zagadki. Nie wykluczam, że sprawa nie zaabsorbowałaby mnie aż tak bardzo, gdybym nie pamiętał tego, co wydarzyło się w moje jedenaste urodziny.

\*

W powiecie ustrzyckim nie było już właściwie osób, które pamiętałyby te okolice sprzed Akcji H-T, ponieważ większość wysiedlono na terytorium Związku Radzieckiego, ale niedaleko Soliny znalazłem taką kobietę. Uchodziła w swojej wiosce za guślarzkę i chętnie podzieliła się ze mną swoją wiedzą. Twierdziła, że osoby pochodzące ze związku kazirodczego nie mogą zaznać spokoju po śmierci.

— Tak, tak, synku... — mówiła, kiwając siwą głową i trzymając w sękatych dłoniach akacyjową laskę. — Jedna krew burzy się w żyłach



po śmierci, nie chce wystygnać i trzeba wtedy wstawać z grobu, trzeba szukać innej, która da ukojenie. Chodzą wtedy i szukają. Gdy cię taki znajdzie, zaspokoi swój głód, ale ty wkrótce umrzesz. Najpierw osłabniesz, a za tydzień, może dwa, będzie po tobie. A po swojej śmierci będziesz taki sam, jak ten, który cię dopadł. Uważaj, synku, bo to nie są żarty. Stara jestem i nie jednego już takiego widziałam, nie dwóch. Jak kiedyś zaczniesz nagle słabnąć i na karku znajdziesz dwa ślady, jakby kto cię ugryzł, to proś Boga o wybaczenie grzechów, a ludzi o to, żeby przebili po śmierci twoje serce, bo inaczej spokoju nie zaznasz i dalej tę zarazę po świecie będziesz roznosił. Będziesz chodził i szukał drugiej krwi, co ją ci zmora z żył zabrała. Będziesz szukał, dopóki nie znajdziesz, pamiętaj.

Siedzieliśmy przed jej drewnianą chałupiną, był upalny letni dzień, ale po moich plecach przebiegł chłód. Pomyślałem, że może czasem lepiej jest nie wiedzieć zbyt wiele, ale mimo tego, trochę wbrew sobie, zapytałem:

— Ale nie pamiętałbym, że spotkałem taką zmorę? Przecież gdyby mnie coś takiego ukąsiło, to...?

— Oczy mają czarne jak noc, zatracisz się w nich — przerwała mi. — Zęby ostre jak nóż, nawet nie poczujesz, a ślinę gęstą i lepłą, taką, która daje ukojenie bólu i pamięć zabiera. Mała rana na karku ci zostanie, a jak przypadkiem jej nie znajdziesz, to nic nie będziesz wiedział, niczego nie będziesz pamiętał. Dobrze ci radzę, synku, posłuchaj starej kobiety — sprawdzaj co rano skórę na karku i unikaj samotnych wędrówek po północy.

Gdy to usłyszałem, chłód przemienił się w przenikliwe zimno. Temperatura powietrza sięgała wtedy prawie trzydziestu pięciu stopni, a ja zacząłem drżeć, jak gdyby ktoś nagle odwrócił termometr do góry nogami i sprawił, że plus zmienił się w minus.

Zacząłem żałować, że udało mi się dotrzeć do tej kobiety.

\*

Waldek Brzeski był ode mnie starszy o dwa lata. Taki dziwny chłopak, trochę zamknięty w sobie, jakby żyjący w swoim świecie. Kiedy jeszcze mieszkałem w Żernicy, był moim bliskim sąsiadem (nasze domy dzieliło jakieś sto metrów), ale ja zawsze wolałem się bawić z innymi kolegami.

Mieszkał z mamą i swoim wujkiem, którzy wraz z rodzicami również zostali przesiedleni na te tereny w pięćdziesiątym pierwszym. Z tego, co mówiła mi mama, dziadkowie Waldka zmarli w sześćdziesiątym szóstym, jedno po drugim, tak więc rodzeństwo musiało zacząć radzić sobie samo, ponieważ jednak Brzeski zaczął coraz częściej zaglądać do kieliszka, to całe gospodarstwo było na głowie jego siostry. Zaczęły się awantury, krzyki na pół wioski, wizyty milicji. Ponoć Brzeski potrafił porządnie stłuc siostrę, ale ta nigdy nie zdecydowała się go oskarżyć. Pewnie miała nadzieję, że jeszcze się zmieni.

Kiedy w siedemdziesiątym pierwszym na świecie pojawił się Waldek, na jakiś czas u sąsiadów zapanowała zgoda. Ludzie gadali po kątach, że skąd dziecko, skoro do jego matki nie zachodził żaden kawaler, plotkowali, że mały wygląda jak skóra zdjęta z wujka, ale w końcu każdy zajął się własnymi sprawami, a gadanie ucichło.

Na początku lat osiemdziesiątych Brzeski znowu zaczął tankować, podobno o wiele bardziej niż kiedyś. Co zarobił, to przepił, a karczemnym awanturom nie było końca. Tuż przed naszą przeprowadzką do Ustrzyk właściwie codziennie z sąsiedniego domu dochodziły wrzaski, a Waldek ze trzy razy pojawił się w szkole posiniaczony. Nika opowiadała później, że po naszej wyprowadzce było jeszcze gorzej, co trudno było mi sobie wyobrazić. Waldek mógł czekać na to, aż jego wujek się zapije, albo wziąć sprawy w swoje ręce. Ostatecznie wybrał to drugie rozwiązanie i znaleziono go powieszzonego w pobliskim lesie dziesiątego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, czyli mniej więcej na tydzień przed śmiercią Niki. Pochowano go razem z dziadkami, w grobie położonym

na skraju cmentarza, niedaleko stromej skarpy, poniżej której płynie strumień.

Dwa dni potem nad Żernicą przeszła potężna nawałnica. Przez dwie doby lało jak z cebra, a spokojna zazwyczaj rzeka nagle zamieniła się w rwący górski potok, zabierający wszystko, co spotkał na swojej drodze. Między innymi podmył skarpe, za którą położony był cmentarz, w wyniku czego kilka grobów osunęło się do strumienia. Jednym z nich był ten, w którym złożono ciało Waldka.

Gdy woda opadła, wiele osób zaangażowało się w poszukiwania, ale z tego, co było w mogile Brzeskich, znaleziono tylko roztrzaskaną o drzewo trumnę. Było jasne, że woda porwała ciało i, o ile ktoś nie natknie się na nie w dole rzeki, Waldek stanie się pokarmem dla dzikiej zwierzyny.

Tak się jednak nie stało.

\*

Pożar stodoły Janickich okazał się nie tak groźny, jak początkowo sądzono, i wspólnymi siłami mieszkańców Żernicy udało się go ugasić jeszcze przed przyjazdem straży pożarnej. Jego powodem było najprawdopodobniej zwarcie instalacji elektrycznej, a płomień objęły złączenie dwóch ścian (na szczęście tych, pod którymi składowano niewielką ilość słomy). Siano, złożone trochę dalej, ledwie zaczynało się palić, więc po ugaszeniu zaczęto je przerzucać, żeby sprawdzić, czy w środku nie ma żaru. Okazało się, że nie było, natomiast znaleziono tam leżące sobie spokojnie zwłoki Waldka Brzeskiego w zabłoconym jeszcze od nadrzecznego błota garniturze.

Gdy mój ojciec z wujkiem Marianem to zobaczyli, wystarczyła jedna wymiana spojrzeń, po której natychmiast rzucili się do biegu. Wujek wpadł do pokoju dokładnie w chwili, gdy Nika pochylała się nad moim karkiem.

\*

Ocknąłem się w letniej kuchni parę minut po pierwszej. Na początku wydawało mi się, że czarne oczy mojej siostry ciągle się we mnie

wpatrują, ale było to tylko złudzenie.

Jak się dowiedziałem po pogrzebie od jednego z kolegów z wioski, Nika dopiero wybudzała się z letargu, dzięki czemu była dość słaba, więc dwóch mężczyzn bez trudu ją obezwładniło. Następnie ciało związane i wyniesiono na zewnątrz, gdzie za zgodą cioci i wujka ojciec najpierw wbił ząb od brony w lewą pierś, a potem, dla pewności, odrąbał jeszcze głowę siekierą. Kiedy zwłoki znalazły się z powrotem w trumnie, głowę złożono pomiędzy kolanami Niki, a wieko natychmiast zamknięto i nie otwarto go już nigdy więcej.

Nie mogłem uwierzyć, że mój ojciec mógł zrobić coś takiego i chyba nigdy mu tego nie wybaczyłem. Najpierw przez długi czas się do niego nie odzywałem, a później zacząłem nazywać go ojcem, zamiast — tak jak do moich jedenastych urodzin — tata.

Narty, które miałem dostać na urodziny, dostałem na Mikołaja.

Ale nigdy nie byłem na wyciągu na Kamiennej Laworcie.

Wolałem udawać przed samym sobą, że ciągle czekam na Nikę.

## 5.

Ojciec zmarł w dwa tysiące pierwszym roku.

Jak wspominałem już wcześniej, spotkałem się ze starą guślarką, więc zdążyłem go jeszcze przeprosić za moje zachowanie sprzed lat (ale powiedzieć do niego „tato” już nie potrafiłem).

Został pochowany na cmentarzu w Nowej Żernicy.

\*

Po wydarzeniach z końcówki roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego więź pomiędzy rodzicami a wujostwem jakby się rozluźniła. Nie wiem, może nie potrafili się pogodzić z tym, że ja ciągle żyję, podczas gdy ich córka od dawna już leży w grobie.

Po pogrzebie Niki byłem w Żernicy jeszcze najwyżej pięć razy (nie licząc obecności na pogrzebie wujka). Potem już nie chciałem, bo wszystko za bardzo mi ją przypominało, a tam, na wsi, tęskniłem za siostrą najbardziej.

\*

Wujek Marian w dwa tysiące ósmym roku miał ciężki wylew, po którym nie odzyskał już pełnej sprawności. Grono nieboszczyków pochowanych na żernickim cmentarzu zasilili trzy lata później, czyli mniej więcej dwa tygodnie temu.

Mama była już wtedy od dawna na emeryturze, więc mogła przez kilka dni pomieszkać z ciocią. Wróciła wczoraj. Wygląda bardzo słabo, jakby nagle przybyło jej lat. Jest apatyczna, ciągle patrzy w okno. Może tęskni za wujkiem? A może jest tego jakaś inna przyczyna?

Po drugim pogrzebie Waldka, któremu tym razem wbito w pierś metalowy ząb i odcięto głowę, i po pogrzebie Niki przez jakiś czas z każdym nieboszczykiem czyniono podobnie. Później już tylko poprzestawano na przebiciu ciała, a po jakimś czasie i tego zaniechano.

Mamy przecież dwudziesty pierwszy wiek.

Ale mama jest taka blada...

Chyba trzeba będzie najbliższej nocy sprawdzić, czy nie pojawiły się u niej jakieś niepokojące ślady na tylnej części szyi.

Niby wujka nie miał kto nawiedzić przed śmiercią i sprzedać mu bakcyła, ale cóż... babcia miała starszego brata, który mieszkał z nią i z dziadkiem od ich ślubu aż do momentu przesiedlenia. Brat babci zdecydował się zostać w Związku Radzieckim. Zawsze mnie to dziwiło. Ale z drugiej strony, jeśli miał z babcią jakąś mroczną tajemnicę dotyczącą wujka Mariana, to może faktycznie taka rozłaka była dla wszystkich najlepszym rozwiązaniem.

Jeśli miał...

Brat babci zmarł w siedemdziesiątym pierwszym, więc niewykluczone, że ostatnią myślą, jaka przebiegła przez jej siwą głowę, gdy leciała ze schodów razem z garnkiem rosołu, było to, że oto właśnie zabiera swoją tajemnicę do grobu.

Wkrótce okaże się, czy miała rację.

---

# Pierwsza z kolei

16.21—16.43

26 kwietnia 2013, piątek

*Bogu dzięki, zdążyłam, chociaż naprawdę mało brakowało.*

*Niepotrzebne były te całe nerwy, ale mogę za nie podziękować tylko sobie. Bo oczywiście KONIECZNIE musiałam sobie kupić bilet już wczoraj. Rzecz jasna po to, żeby się dzisiaj niepotrzebnie nie niepokoić, czy zdążę na pociąg. A zaczęłam to robić, jak tylko znalazłam się w poczekalni i zobaczyłam, ile jeszcze osób jest przede mną. Podobno zaczął przyjmować prawie półtorej godziny po czasie. Później też niespecjalnie się spieszył, więc zamiast o wpół do dwunastej weszłam do gabinetu tuż przed drugą.*

*Naprawdę nic by się nie stało, gdybym jeszcze tę jedną noc została w Zabrze. A jeśli już miałam ten bilet i koniecznie chciałam zdążyć, to zamiast biec przez całą drogę, mogłam wziąć taksówkę. Głupia baba ze mnie. Stara a głupia. Jak się ma pod czterdziestkę, to już wypadałoby pamiętać, że tego typu wysiłek ze stenozą mitralną stanowi zagrożenie (teraz nie tylko dla mnie). Na dodatek dzień jak na końcówkę kwietnia jest bardzo gorący. Temperatura sięga chyba trzydziestu stopni, a ja z tą wielką torbą. Zasapana i spocona. No ale szkoda pieniędzy, bo przecież trzeba oszczędzać na wyprawkę.*

*„Nieodpowiedzialna niedoszła matka, chcąc zaoszczędzić na taksówce, nie bacząc na poważną chorobę serca, zabiła siebie i dziecko, ponieważ odkładała pieniądze na wózek”.*

*Bardzo śmieszne. Dobrze, że nieprawdziwe.*

*Ogarnij się, kobieto!*

*No nic. Grunt, że wiem na pewno: MOJA WADA NIE WYKLUCZA CIAŻY!!!*

*A tak się bałam...*

*Baliśmy.*

*Kiedy tuż po zakończeniu wizyty zadzwoniłam do Wojtka, wyraźnie słyszałam, że naprawdę się cieszy.*

*Na początku nie mógł się przyzwyczaić. Nigdy nie powiedział tego na głos, ale byłam pewna, że się waha. Nie wiem, czy myślał o odejściu, czy może o próbie namówienia mnie na zabieg... Mam nadzieję, że nie. W każdym razie w żaden sposób czegoś takiego nie zasugerował, nawet gestem czy wyrazem twarzy. Na pewno jeszcze parę tygodni temu nie sądził, że wkrótce może zostać ojcem. I chyba tego nie chciał. Dla mnie to też było zaskoczenie, ale wypadki i wpadki chodzą po ludziach.*

*Z czasem Wojtek oswoił się z tą myślą (ja zresztą też musiałam), a potem... teraz... Chyba bardzo bał się, że badania wyjdą niepomyślnie.*

*Głuptas.*

*Ja wiedziałam, że wszystko będzie dobrze. Po prostu to czułam.*

*Kochany głuptas.*

*Jestem w przedziale sama, trochę strach zostawić torbę, ale w pociągu nie ma zbyt wielu ludzi, może nikt mnie nie okradnie. Chyba jeszcze zdążę do toalety przed następną stacją. Zdaje się, że dojeżdżamy właśnie do Katowic i może będzie dłuższy postój, a tego mój pęcherz mógłby nie znieść...*

## **16.43—16.48**

Oczywiście, musiał się tak zatrzymać, że mój wagon jest gdzieś na samym końcu składu. Iść peronem czy na wszelki wypadek już teraz wejść do pociągu i przedrzeć się na koniec? Przyjechał punktualnie, a odjazd jest za kilka minut (za dwanaście piąta, zdaje się). Zdążę. To tylko pięć wagonów.

Dziewiętnastego marca wprowadzili w TLK te cholerne obowiązkowe miejscówki i teraz biegaj człowieku z wywieszonym jęzorem i szukaj przydzielonego miejsca. O, proszę — w pierwszym wagonie aż czarno od gawiedzi, drugi prawie pusty.

Traktują nas jak bydło.

Trzeci to „jedyńka”. Pięć osób na krzyż. W czwartym znów pełno.

Jest i piąty. Na razie wygląda na to, że nie jest źle. Zobaczymy, jak będzie w przedziale. Oby tylko nie było kompletu, bo te siedzenia w „dwójce” nie są zbyt szerokie.

No tak, miejsce numer czternaście i przedział na samym końcu wagonu. Ostatni przedział ostatniego wagonu. Ale ostatni będą pierwszymi — zwłaszcza po skończeniu tych jebniętych studiów podyplomowych w Krakowie. Ha, ha.

Kogo my tam mamy? Przedziały są od strony peronu, więc zanim wsiądę, już będę znał wyrok. No i na szczęście niebiosy sprzyjają. Jedna kobiecina tylko siedzi. Jakoś się człowiek przemęczy te dwie godziny. O ile w Mysłowicach albo Jaworznie nie właduje się szkolna wycieczka albo inna szarańcza tego typu.

No i co? Zdaje się, że limit szczęścia się wyczerpał. Drzwi chyba się nie otwierają. Szarpię za klamkę, ale one ani drgną. Zawsze są kłopoty z tym ustrojstwem, nie mogli wymyślić czegoś prostszego? Niech żyją polskie koleje. Muszę wrócić, ale zegar dworcowy wskazuje dopiero czwartą czterdzieści pięć (w tej chwili duża wskazówka przeskakuje o minutę). Konduktor stoi z gwizdkiem i chyba mnie widzi, ale i tak na wszelki wypadek ruszam lekkim truchtem.

Tym razem drzwi się otwierają bez problemu i wskakuję do środka. Ciekawe, czy zwróciliby mi pieniądze, gdybym przez awarię zamka, klamki czy czegoś tam innego nie zdążył. Podejrzewam, że bynajmniej, ale zapytam konduktora, gdy przyjdzie sprawdzić bilet.

Kilka głębszych wdechów dla uspokojenia tętna. Ciekawe, czy skoczyło mi przez tę małą przebieżkę, czy z nerwów. Wiem, że zaraz zacznę mnie boleć głowa, już zaczyna ćmić. Czyli jednak nerwy.

Cholerna kolej.

W dodatku właśnie uświadamiam sobie, że tabletki zostały w mieszkaniu.

Szlag by to wszystko trafił!

Gwizdek świdruje mi w uszach, a kolejarz stał przecież tak daleko...

Przyciągam drzwi do siebie, klamka zaskakuje i zamykają się z trzaskiem.

**16.48—17.01**



Ruszyliśmy, a szarpnięcie było zdecydowanie zbyt mocne (przynajmniej tak mi się wydaje).

Nawet maszynista traktuje nas jak bydło.

Idę w stronę przydzielonego mi miejsca, objając się jak piłka o ścianę korytarza i drzwi przedziałów. Zanim pociąg wyjedzie z dworca, musi pokonać niezliczoną ilość zwrotnic, których akurat w Katowicach jest od zarąbania. Dwa razy uderzam się w barki na tyle boleśnie, że siniaki murowane, a zawieszona na ramieniu przyciężka torba też nie pomaga. Na szczęście jestem już prawie na miejscu. Szarpię za uchwyt i przesuwam drzwi.

„Dzień dobry” zamiera mi w krtani. Ze środka wydobywa się ciężki, duszny smród. Odruchowo cofam się o krok, a potem nabieram powietrza, wchodzę na chwilę, rzucam torbę na półkę bagażową nad swoim siedzeniem i wycofuję się na korytarz, pozostawiając drzwi otwarte na oścież.

\*

*Niezbyt sympatycznie zaczęliśmy podróżną znajomość ze współpasażerem. Wchodząc, nawet nie powiedział „dzień dobry” (ale może to i lepiej, bo akurat nie mam specjalnej ochoty na pogawędki). Nie zapytał też, czy nie będzie mi przeszkadzało, że zostawi otwarte drzwi.*

*A na pierwszy rzut oka wygląda na faceta z klasą. Wprawdzie niezbyt wysoki (najwyżej metr siedemdziesiąt), ale zadbany i dobrze ubrany blondyn. Stalowszara sportowa marynarka, niebieska koszula i świetnie dopasowane dzinsy. Całkiem przystojny w tych przeciwsłonecznych okularach (dziwne, że ich nie zdjął po wejściu do pociągu). Ciekawe, jakie ma oczy? Obstawiam niebieskie. Pewnie się zaraz przekonam, bo chyba w końcu zdejmie te okulary, ale niebieskie najbardziej pasowałyby do koszuli. Wydaje mi się, że typ jego pokroju może brać takie rzeczy pod uwagę.*

*Stoi teraz tyłem do przedziału, patrząc w okno. Tyłek też ma całkiem, całkiem...*

*Ejże! Kobieto, co by na to Wojtek powiedział?! A co by miał powiedzieć? Przecież on też z zaciekawieniem przygląda się innym babkom.*

*Tak w ogóle to bardzo jestem ciekawa, jak to teraz z nami będzie. Do tej pory tworzyliśmy luźny związek bez zobowiązań, a teraz, jak się pojawi dziecko... Czy się to zmieni? Może razem zamieszkamy? A gdyby mnie poprosił o rękę? O, mamusiu! Chyba bym się zgodziła...*

*Ale trochę wyglądałoby to tak, jakbym go chciała złapać na dziecko i dopięła swego.*

*W takim razie nie wiem jeszcze...*

\*

Co ona ma na głowie?! Przecież takie włosy to nawet wśród emerytek nie są już modne. Wygląda jak skrzyżowanie czarnego pudła z mopsem.

Ale fryzura to mniejszy problem. Bardziej martwię się o to, czy uda mi się tam w środku wysiedzieć. Trupa ma w tej torbie czy co?

Zdaje się, że kilka przedziałów jest wolnych, mógłbym się przenieść, ale wtedy usiadłbym nie na swoim miejscu.

Ostatnim razem pomyliłem wagony. Weszły dwie kobitki — chyba matka z córką. Młodsza usiadła, nie zwracając uwagi na numerację miejsc, co było naturalne, ponieważ byłem jedynym pasażerem w przedziale. Ale stara natychmiast stwierdziła, że siedzę na jej miejscu i nade mną stanęła, oczekując na reakcję. I — nie do wiary — stała tak bez ruchu w pozie szykującego się do natarcia byka dopóty, dopóki nie pozbierałem wszystkich swoich rzeczy (książka, coś do picia, kurtka z wieszaka, torba z półki, laptop i foliowa torebka z dwoma jabłkami w środku), a nawet dłużej, bo gdy zasuwalem drzwi od zewnątrz, wciąż nie posadziła dupy, tylko wyzywająco (a nawet trochę z nadzieją) patrzyła mi w oczy, jakby miała ochotę na jakąś większą awanturę.

Znając moje szczęście, spotkałoby mnie to ponownie.

Według rozkładu w Krakowie będę o osiemnastej pięćdziesiąt jeden. A więc (mój zegarek wskazuje za minutę piątą) to już niecałe dwie godziny.

Zawsze można postać trochę na korytarzu.

Przenosiny zaryzykuję w ostateczności.

Pociąg zaczyna zwalniać (co jest dość trudne na pokonywanej żółtym tempem trasie z Katowic do Krakowa), więc zapewne dojeżdżamy do Mysłowic.

## **17.01—17.04**

Wyjaśniła się tajemnica pustych przedziałów. Właśnie wsiada jakaś większa banda z plecakami. Chyba ze trzydzieści osób. Część pakuje się tymi drzwiami, co ja, a druga szykuje się do natarcia na te uszkodzone. Tym razem otwierają się bez problemu. Złośliwość przedmiotów martwych.

Wracam na swoje miejsce, żeby mnie nie potrącali, gdy będą przepychać się przez korytarz. Zaduch trochę zelżał, chociaż wciąż jest wyraźnie wyczuwalny. Drzwi zostawiam otwarte i zastanawiam się jeszcze nad uchYLENIEM okna.

Pociąg stoi na stacji dłużej niż zwykle. Mam nadzieję, że nadrobi przed Krakowem, chociaż z drugiej strony nie ma to aż tak wielkiego znaczenia. Jesteśmy umówieni w Europejskiej przy Rynku na wpół do ósmej, więc spokojnie powinienem zdążyć. A jak się spóźnię, to też się przecież nic takiego nie stanie (choć wolałbym nie, bo lubię być zawsze na czas).

\*

*Wrócił do przedziału i ciągle siedzi w okularach.*

*Dziwak jakiś.*

## **17.04—17.22**

Gdy ruszyliśmy, sięgnąłem do okularów, by je zdjąć, ale równocześnie rzuciłem okiem na siedzącą przy oknie (miejsce numer piętnaście, czyli — patrząc z mojej perspektywy — na prawo od „siedemnastki”) Halinę i zmieniłem zdanie.

Lubię obserwować ludzi (zwłaszcza takie egzemplarze), a moje okulary bardzo ułatwiają sprawę.

O, proszę. I już ma imię.

Jak się jest od lat haerowcem (wolę to określenie od banalnego „kadrowca” czy przestarzałego „pracownika działu kadr”) w urzędzie wojewódzkim, z czasem coraz częściej trafia się z tym w dychę. Fascynująca zabawa, a ile satysfakcji, gdy ktoś przynosi papiery, ja myślę: „Zygmunt” albo „Heniek”, no i faktycznie. Bo to przecież wcale nie jest prawda, że nasze imiona nie mają wpływu na nasze życie. Jak ci dali na imię Hipolit, to będziesz miał Hipolita wyrytego na gębie do końca swoich dni.

Halina ma jakieś czterdzieści pięć lat, jest trochę grubawa, a w dodatku duża (siedzi, ale sto osiemdziesiąt ma na sto procent, może nawet sto osiemdziesiąt pięć). Chyba się trochę zgrzała i stąd efekty zapachowe. Ma kręcone, przetłuszczone, włosy i — o, ja pieprzę! — lekki wąsik pod nosem. Hej, Halino, z polskiego pendolino, nie słyszałaś o firmie Gillette?

Pod czarnym rozpinanym swetrem beznadziejna (też czarna) przyciasna bluzka z cekinami, która uwydatnia imponującą, wygodnie spoczywającą na grubych udach oponę. Tłuste nogi opięte czarnymi legginsami do połowy łydki.

Albo ma żalobę, albo ktoś jej w telewizji śniadaniowej naściemniał, że czarny wyszczupła. Nie, chyba w rodzinie nie było ostatnio pogrzebu, bo na spuchniętych stopach jarzą się różowe (choć niezbyt czyste) baleriny z kokardkami.

Do tego czarna torba sportowa z poczwórnymi paskami, opatrzona napisem „adibas”. A niech mnie! Tak mnie rozbawiła, że prawie się uśmiecham.

I się na mnie gapi, coraz częściej i coraz bardziej natarczywie. Ale to nic, Halina, dzięki tobie przestała mnie boleć głowa.

\*

*Co ja to miałam teraz...?*

*Nie wiem.*

*Rozprasza mnie ten facet, bo nie wiem, co z nim. Siedzi zupełnie nieruchomo, nawet nie wiem, gdzie patrzy. A może ma zamknięte oczy? Może zasnął? A jak mu się coś stało i nagle stracił przytomność? Poczekam jeszcze chwilę i chyba zagadam do niego.*

*A, nie. Zdaje się, że uśmiechnął się do własnych myśli. Właśnie spojrzał w stronę korytarza.*

*Ufff... Czyli nie będę mu musiała ratować życia. Dzięki Bogu.*

*Już wiem, starałam się sobie przypomnieć, o której mam być na miejscu. Teraz ciągle są remonty torów pomiędzy Krakowem a Jarosławiem i chyba jedzie się jakoś tak koło czterech i pół godziny. Z tego, co pamiętam, pociąg odjeżdża z Krakowa Głównego koło wpół do ósmej. Zapytam konduktora, jak przyjdzie. Albo nie, sprawdzę w Internecie. Lepiej żebym dała Wojtkowi znać jak najwcześniej.*

*Mam nadzieję, że jest tu zasięg...*

\*

Rejestruję kątem oka jakiś ruch po prawej. Nie do wiary — Halina ma smartfona i chyba będzie gdzieś dzwonić. Nie, jeszcze lepiej! Coś chyba sprawdza w sieci. Ho, ho! Jak dotąd myślałem, że zatrzymała się na poziomie książki i zeszytu, a tu taka niespodzianka.

Czym mnie jeszcze zaskoczysz, dziewczyno jak malino?

Przyspieszamy i mamy ze czterdzieści na liczniku. Jak na te okolice, to prędkość ponaddwiekowa, ale i hałas się zwiększa.

Wychodzę na korytarz. No tak, na stacji nie mogłem uporać się z drzwiami, a teraz są otwarte na oścież nawet w czasie jazdy. Podchodzę, zastanawiam się, czy ich nie zamknąć, ale daję spokój. Po co bez potrzeby ryzykować?

Za oknem barwy biało-czerwone, „SZCZAKOWIANKA — DUMA MIASTA” i „Nieliczni, lecz fanatyczni” na murach. Czyli Jaworzno. Zegarek wskazuje siedemnastą dwadzieścia, a pociąg znów zwalnia.

Znam już rozkład prawie na pamięć. Tyle razy ostatnio przemierzałem tę trasę, czasem z wydrukiem trasy. Ot, takie dziwactwo.

Jeśli będziemy na 17.22, to okaże się, że nadrobiliśmy stratę z Mysłowic.

Pisk kół, stacja, tablice.

Jesteśmy punktualnie.

## 17.22—17.23

Wędruję do drzwi, zamykam je z trudem (dobrze, że nie próbowałem, gdy pociąg był w ruchu) i, korzystając z faktu, że chwilowo zrobiło się znacznie ciszej, postanawiam zadzwonić do Kamila — głównego organizatora dzisiejszego spotkania, czyli pseudostarosty na pseudostudiach.

Nie odbiera.

Mam nadzieję, że w sprawie tego zafajdanego spotkania nic się nie zmieniło.

Nic, spróbuję jeszcze za chwilę.

Trzeba iść i zobaczyć, co tam u mojej nowej koleżanki słychać. Byle tylko sobie jakiejś krzywdy nie zrobiła tym smartfonem.

Chyba tym razem się udało. Siedzi cała i zdrowa, klikając grubym paluchem ekran.

Z obrzydzeniem zauważam, że ma czarny półksiężyc brudu pod paznokciem.

## 17.23—17.54

*Nie musiałam sprawdzać, po prostu przypomniałam sobie, że w Jarosławiu pociąg będzie kwadrans przed północą. Postanowiłam napisać SMS-a do Wojtka; zdaje się, że może być jeszcze u siebie w sklepie, a ponieważ zaraz szósta, to będzie zamykał i nie chcę mu przeszkadzać.*

*Chociaż pewnie i tak wcześniej już sprawdził godzinę przyjazdu. Mogłam sobie darować tę wiadomość. I tak by po mnie wyjechał, a teraz trochę zepsułam mu niespodziankę. Ech, szkoda, no ale już przepadło.*

*Współpasażer dalej w okularach.*

*Gdybym zamieszkała z Wojtkiem, zostawiłabym mamę samą, a przecież dom jest za duży nawet na nas dwie. Odkąd trzy lata temu zmarł tato,*

*bardzo się ze sobą zżyliśmy (choć i tak, od kiedy pamiętam, byliśmy bardzo blisko). Ona niepokoiła się o mój stan jeszcze bardziej niż mój Wojtek i to ona bardzo entuzjastycznie poparła jego pomysł, żeby badania przeprowadzić w Zabrze.*

*Żona dobrego kolegi Wojtka miała też jakąś wadę serca i przetarła zabrzańskie ścieżki, więc było łatwiej. Argumenty, że lepiej nie zdawać się na miejscowych, raczej do mnie nie trafiały (chyba nie zatrudnili ich z jakiejś łapanki?). Poza tym trochę przerażała mnie odległość, nieobecność w domu, no ale w końcu dla świętego spokoju się zgodziłam. No ale nic, teraz tylko dojechać szczęśliwie i cieszyć się, że to wszystko już za mną.*

*Kiedy rozmawialiśmy dziś z mamą, popłakała się po usłyszeniu, że wszystko jest ze mną (z nami) w porządku.*

*Lubi Wojtka. Chyba z wzajemnością. Może w takim razie on powinien się do nas wprowadzić? Musiałby wprowadzić dojeżdżać tych prawie dziesięć kilometrów do Jarosławia, ale on ma przecież tylko czterdziestoparometrowe, dwupokojowe mieszkanie w bloku. Za kilka miesięcy byłoby nam za ciasno we trójkę. A dom z obejściem potrzebuje przecież męskiej ręki. W dodatku ja mam pracę w swojej wsi, właściwie po drugiej stronie ulicy, i po urlopie macierzyńskim ciężko byłoby coś znaleźć na szybko w mieście...*

*Boże, ja chyba zwariowałam! O czym ja myślę?! Przecież jeszcze tak naprawdę nie wiadomo, jak to z nami będzie.*

*Powiadomienie o przychodzącym SMS-ie.*

*Chyba coś odpisał.*

\*

Głośniej sygnału chyba już nie mogła sobie ustawić. I to jeszcze taki październik. Kiedy go ostatnio słyszałem? Może pięć lat temu, jak córka starego Wiśnickiego dla zgrywy ustawiła mu taki w komórce. Ubaw mieliśmy w pokoju przez pół dnia.

Dzwonię jeszcze raz do Kamila i znów zabawa w „Ty dzwonisz, a ja nie odbieram”.

A może byłoby lepiej, gdyby spotkanie zostało odwołane? Dość się napatrzyłem na te gęby podczas zajęć (i jeszcze do końca semestru trochę się napatrzę), więc nie odczuwam wielkiej ochoty na dodatkową dawkę tej wątpliwej przyjemności. Mam zarezerwowany ten sam hostel, co zawsze, i przynajmniej bym się wyspał jutro i wstał bez kaca.

A może darować sobie spotkanie nawet jeśli plany nie uległy zmianie? Przecież ustalą wszystko i beze mnie, a ja się później tylko dorzucę do puli. Sympatyczne upominki dla wykładowców podyplomówek to przecież norma i nie ma co z tego robić nie wiadomo jakiej afery, a wieczór w knajpie z obcymi praktycznie ludźmi, podczas którego każdy będzie puszył się jak paw i opowiadał co to nie on, do przyjemności nie należy. Przecież po wszystkim i tak się już pewnie nigdy więcej nie zobaczymy.

Papier, podwyżka w pracy, może potem awans (w moim przypadku — zaraz potem i raczej nie „może”, bo szefowa już nawet coś tam przebąkiwała).

O masz! Jakiś wyjec z rozstrojoną gitarą się uruchomił w przedziale obok. No tak, jeden z tych wsiadających miał przypiętą do plecaka.

Nie mógł poczekać do Krakowa z rozpoczęciem tortur?

\*

*Nie sądziłam, że w dzisiejszych czasach ktoś jeszcze śpiewa Stachurę, i to w mojej ulubionej SDM-owskiej wersji. „Z nim będziesz szczęśliwsza” — nie słyszałam tego chyba od czasów studiów, a może nawet od ogólniaka. O matko, aż mnie przeszły dreszcze! Zdaje się, że śpiewałam to na jakiejś akademii... Ale wspomnienia! Ile mogłam mieć wtedy lat? Siedemnaście? Może osiemnaście...*

*Na pewno miałam plany o wiele bardziej ambitne niż zostanie nauczycielką w prowincjonalnym gimnazjum. Cóż, nie każdemu życie układa się tak, jak by chciał. Może w moim przypadku przynajmniej druga połówka będzie lepsza.*

*SMS od Wojtka brzmiał: „Haneczko moja kochana, przecież wiesz, że nawet bez Twojej wiadomości czekałbym na ciebie na dworcu. Tęsknię*



*i kocham. Przyjeżdżaj szybko!:-) PS Mam dla Ciebie niespodziankę:-)*

*Romantycznie, w sam raz pasuje do śpiewanej właśnie piosenki.*

*Ale chyba z nikim nie byłabym szczęśliwsza.*

*Kiedyś bardzo nie lubiłam swojego imienia. Wydawało mi się staromodne, a w dodatku zdrobnienia też mi nie pasowały. „Hanka” — jakoś tak zbyt twardo, trochę ordynarnie, a z kolei „Hania” pasuje do ciepłych kluch w spódnicy. Dopiero kiedy Wojtek zaczął mówić do mnie „Haneczko” albo „Hanus”, to mi się naprawdę spodobało. Zwłaszcza pierwsza wersja w jego ustach jest wręcz rozczulająca, bo minimalnie sepleni i „cz” w jego wykonaniu jest naprawdę nietuzinkowe. Mogłabym go słuchać godzinami...*

\*

Halina wygląda na zadowoloną. Zastanawiam się, co ją bardziej cieszy — ten szarpidrut w przedziale obok czy może to, że właśnie szarpie nami na wszystkie strony.

Właśnie się podrapała w głowę i zaraz potem, chyba zupełnie nieświadomie, zaczęła obgryzać paznokcie. Ciekawe, jak jej smakuje ten łupież (ma go pod dostatkim na czarnym swetrze, ale pod pudlowatą fryzurą zapewne znaleźć można naprawdę okazałe złoża). Ma rozmarzoną minę, więc jest na pewno okropnie smaczny.

Halina, weź sobie dokładkę. Danie dnia dzisiaj gratis.

Kurwa mać! Właśnie to zrobiła!

Chyba się tu zaraz zrzygam.

\*

*No i teraz chyba do samego Jarosławia będę się zastanawiać, o jakiej niespodziance pisał Wojtek. Nawet nie próbuję zgadywać, bo on zawsze potrafi wymyślić coś niezwykłego...*

*Nie, to zupełnie nie tak... Nie próbujesz zgadywać, kobieto, bo dokładnie wiesz, co to takiego będzie.*

*Jak ja wyglądam? Przecież jak strach na wróble jakiś! Gdybym wiedziała, że dziś wieczorem będę przyjmować oświadczyzny, to przecież jakoś bym się bardziej ogarnęła. Mogłam o tym pomyśleć wcześniej i zostać jeszcze do jutra w Zabrze. A tak? Ubrana byle jak, spocona po galopie na dworzec,*

*z przetłuszczonymi włosami. Liczyłam, że spotkanie kogoś znajomego w pociągu czy na dworcu o tak późnej godzinie jest bardzo mało prawdopodobne. No ale teraz sytuacja się zmienia diametralnie. Z drugiej strony, przecież on doskonale zdaje sobie sprawę, że będę po podróży i nie zstąpię ze stopni wagonu w zwiewnej sukni i z naręczem białych róż.*

*Trudno. Będzie, co ma być. Przydałoby się tylko chociaż trochę odświeżyć. Mam, zdaje się, w torbie jeszcze jedną czystą koszulkę, więc (o ile w łazience jest woda) umyję się, użyję dezodorantu, perfum i może nie będzie tak źle.*

*Tak, muszę to zrobić, ale chyba właśnie zbliżamy się do jakiejś stacji. Teraz już nie zdążę, ale później wezmę torbę (nie będę przecież wszystkiego wybebeszała przy obcym facecie) i raz dwa załatwię sprawę.*

## **17.54—17.55**

Trzebinia.

Na szczęście, do Krakowa już mniej niż godzina. I dobrze, bo przyjdzie mi tu zaraz zwariować.

Halina odleciała kompletnie. Gapi się w okno i na zmianę to drapie się w łeb, to gryzie brudne pazury. Czekam, aż zacznie dłubać w nosie, toczyć kule z wydobytego materiału i wpierdalać je bez popitki.

## **17.55—18.16**

Gdy tylko ruszyliśmy z dworca w Trzebini, wstała, jakby tylko na to czekała, popatrzyła na mnie (chyba badawczo), złapała za torbę, po czym wyszła do kibla. W przedziale zostawiła tylko to, co wcześniej miała na wierzchu, czyli jakieś bezużyteczne szpargały. Wszystkie skarby zabrała ze sobą. Czy ta pizda naprawdę sądzi, że mógłbym ją okraść?! Że wkładałbym ręce do jej śmierdzącego tobołu w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mi się przydać?

Przecież to jest, kurwa, niebywałe. Nie-by-wa-łe!

Co ona sobie myśli, że kim jest? Czy ta tępą dzida uważa, że ktoś taki jak ja chciałby opędzlować jej bagaż, gdy będzie w kiblu wylewała swoje smrody?!

Nie no, po prostu nie wierzę!

No i pięknie. Z głową był już spokój, a teraz znów się zaczyna. I to wcale nie jest taki ból jak w Katowicach. Teraz boli inaczej i czuję, że to będzie Be-Ó-eL. Taki, co nie zdarza się często, na szczęście, ale jak złapie, to trzyma przynajmniej przez dwie godziny. Odczuwa się go tak, jakby czaszka miała za chwilę pęknąć, jakby głowę coś rozsadzało od środka. Nawet tabletki mało pomagają. Nie, muszę się chyba przenieść do innego przedziału, bo nie znośę już dłużej zasranego towarzystwa Haliny.

Podejrzewa mnie, że jestem złodziejem.

Niepotrzebnie zamykałem drzwi. Zaraz będzie wracać, mogłoby trochę zarzucić wagonem, więc przy odrobinie szczęścia mogłaby wylecieć na zewnątrz i się trochę przewietrzyć.

Spokojnie, Szymon, tylko spokojnie. Przecież to tylko jakaś nic nieznacząca kobiecina. Czym ty się denerwujesz, chłopie? Trzymaj się, oddychaj głęboko i spójrz na zegarek. Jest już sześć po szóstej i to już naprawdę nie potrwa długo. Pomyśl o czymś przyjemnym.

Na przykład o tym, że Halina w pełnym biegu pociągu wylatuje przez otwarte drzwi? Tak, to jest całkiem sympatyczna wizja.

Widzisz? Od razu się odprężyłeś. Nawet się uśmiechnąłeś pod nosem. Tak trzymaj. Do Krakowa jest już naprawdę bardzo niedaleko. Osiemnasta pięćdziesiąt jeden, pociąg się zatrzyma i Halina zniknie z twojego życia tak nagle, jak się w nim pojawiła.

No, jasne, że tak będzie. Nie ma się co denerwować. Nawet ból wydaje się teraz jakby trochę mniejszy. Może tylko mi się zdawało, że to Be-Ó-eL. Tak, to po prostu chyba zwykłe ćmienie, które za chwilę przejdzie.

Halina wylatująca z pociągu, mieląca rękami i nogami jak wiatrakami. Najpierw w locie, a potem już na ziemi, po bardzo niemiękkim lądowaniu. Całkiem zabawna wizja.

Zabawna i bardzo rozluźniająca...

\*

Jeszcze nie wraca. Czyli wybrała się na grubsze posiedzenie.

Otwieram na oścież okno w przedziale, żeby wywietrzyć resztki tego okropnego zapachu, który wciąż mi przeszkadza. Patrzę na szpargały i mam ochotę je wyrzucić. Przez dłuższą chwilę walczę sam z sobą, ale ostatecznie rezygnuję. Przede wszystkim dlatego, że robiąc to, przyznałbym rację Halinie, że nie powinna zostawić swoich rzeczy w moim towarzystwie.

Z ostatniego przedziału, gdy pociąg jedzie tak wolno, jak teraz, dość dobrze słyszeć to, co dzieje się w łazience. Odgłos spuszczonej wody. A więc zapewne zaraz wróci. Zamykam okno i siadam na swoim miejscu.

Zastanawiam się, czy po wszystkim Halina umyje ręce i mam co do tego poważne wątpliwości (właściwie jestem pewien, że tego nie zrobi).

Staję w drzwiach dokładnie w chwili, gdy pociąg zatrzymuje się w Krzeszowicach.

## **18.16—18.17**

Zbliża się i moje nozdrza prawie rozsadza ciężka, prawie widoczna gołym okiem chmura dusznych perfum. Zastanawiam się, na jakim bazarze można kupić takie badziewie, gdy przechodząc obok mnie, Halina najpierw taranuje torbą moje lewe kolano, a później jeszcze następuje mi na prawą stopę. Cienka zamszowa skóra trzewika nie ma prawa ochronić palców przed takim ciężarem, nie ma też szans na to, by przynajmniej trochę złagodziła ból, który gwałtownie promieniuje aż do biodra. Mam ochotę wrzasnąć, ale tłumię krzyk w krtani. Nauczyłem się żyć z bólem (a nawet z Be-Ó-eL-em), więc siedzę nieruchomo. Tylko wzrok kieruję na jej twarz, którą w tej chwili wykrzywia głupkowaty grymas, trochę podobny do uśmiechu.

— Przypraaaszam — mówi piskliwym głosem, w którym słyszeć strach przed moją reakcją.

Głos ma ohydny, ale ta nuta obawy bardzo mi się podoba. Zaciąga z wschodnia, więc pewnie nie będzie wysiadać w Krakowie.

Szkoda.

Szkoda?!

Szkoda.

Ruszam palcami prawej stopy, sprawdzając, czy są całe. Wygląda na to, że tak, ale bolą jak cholera.

Halina wciąż stoi niepewnie, jakby na coś czekała.

Wstaję, omijam ją starannie, by nawet najlżej nie dotknąć, jakby była trędownata, i wychodzę z przedziału. Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że chodziło jej zapewne o coś w rodzaju: „nie szkodzi”, „drobnostka” albo „nic się nie stało”.

Stało się, ty wielka, tłusta, niezdarna krowo! Dla takich jak ty każdy pociąg powinien mieć na końcu składu jeden bydlęcy wagon.

Opieram się plecami o ściankę działową. Bez większego zainteresowania patrzę na długi sznur wagonów towarowych, stojących na stacji Krzeszowice, i równocześnie delikatnie poruszam bolącymi palcami, żeby uśmierzyć ból...

## 18.17—18.51

...który nasila się, gdy pociąg rusza, powodując, że ciężar całego ciała na krótko opiera się tylko na prawej stopie.

Gitarowy bandyta po zdecydowanie zbyt krótko trwającej przerwie znów zaczyna rzępolić.

\*

*Niezręcznie wyszło z tym moim współpasażerem — okularnikiem. Chyba musiało go bardzo zabołec, bo nawet nie odpowiedział na moje „przepraszam”. Widziałam tylko, że bardzo mocno zacisnął szczęki, a potem wstał i wyszedł bez słowa.*

*Przez te okulary nawet nie wiem, czy na mnie popatrzył. A może on jest niemy? Albo głuchy? Albo jedno i drugie? Niewykluczone. Być może za ciemnymi szklami próbuje ukryć swoje inne niedoskonałości, boi się, żeby ktoś się nie odezwał, żeby go nie zaczepił...*

*Ale zaraz, przecież próbował się gdzieś dodzwonić. Dziwna sprawa. Może są jakieś specjalne telefony (muszę zapytać Wojtka), a może po prostu*

*wcześniej się z kimś SMS-owo umówił, że puści sygnał. Tylko po co w takim razie przykładałby aparat do ucha?*

*Zresztą co mnie to obchodzi. Przykro, że sprawiłam mu ból, no ale przecież nie chciałam. Każdy może się zachwiać i chyba ktoś inny powinien to zrozumieć.*

\*

Robię kilka kroków i staję przy drzwiach, które prowadziłyby do kolejnego wagonu, gdyby ten nie był ostatnim. Patrzę, jak kolejne podkłady kolejowe, spięte szynami, odpływają w dal razem ze wszystkim, co je otacza.

Na niebie słońce, które powoli zmienia barwę na pomarańczową. Końcówka kwietnia, dni coraz dłuższe. Trzeba by było zacząć planować urlop na ten rok. Koniec pseudostudiów nie powinien być później niż... (ten jej grymas twarzy, ten pseudouśmiech; czy te przeprosiny były szczere, czy może bynajmniej, bo specjalnie nadepnęła mi na stopę?) ... pod koniec czerwca. Może gdzieś na południe? Chorwacja wygląda całkiem przyjemnie w folderach, znajomi sobie chwalą... (a to suka!) ... więc może warto się zainteresować bliżej, poszukać w sieci, zapytać, czy może ktoś się nie wybiera, żeby nie jechać samemu...

Nie, kurwa, zaraz, stop! Chuj z wakacjami na razie! Czy to możliwe, że ta franca specjalnie chciała mi sprawić ból i uśmiechnęła się z satysfakcją, gdy jej się to udało?

Wyluzuj, Szymon, to był przypadek. Gruba jest, nie utrzymała równowagi, przeprosiła i uśmiechnęła się przepraszająco, słyszałeś nawet strach w jej głosie...

Przecież pociąg wtedy stał na stacji w Krzeszowicach, więc dlaczego niby miała się zachwiać? A to, że wcześniej przypieprzyła mi torbę, to też przypadek? Kurwa, chętnie bym zobaczył, jak boi się bardziej. Lekka nuta strachu w słowie „przepraszam” to jak zapach zamiast smaku.

Aż taki jesteś głodny?

Sam nie wiem. Ale lepiej wrócę do przedziału i wtedy się przekonam.

\*

Siadam na swoim miejscu, opieram potylicę o zagłówek i kątem oka patrzę na Halinę. Jest absolutnie zajęta swoimi sprawami, zupełnie jakby się nic nie stało. A przecież się stało, bo ból w nodze ciągle mi doskwiera.

A pseudozapach, którym to babsko chciało zatuszować smród spoconego cielska, jest nie do zniesienia. No ale przecież teraz nie mogę się przenieść gdzie indziej.

Muszę trzymać palce mocno splecione, po gdybym położył je na kolanach, byłoby widać jak drżą. Jestem cholernie zdenerwowany. Chyba nawet trochę wściekły.

Be-Ó-eL wraca.

Witaj, stary druhu.

\*

*Nie lubię tych perfum. Fakt, to prezent od Wojtka, ale mogłam użyć ich nieco bardziej oszczędnie. Dostałam flakonik na urodziny i pewnie sprawiłabym Wojtkowi przykrość, gdybym używała czegoś innego. Zwłaszcza w taki dzień...*

*Ciekawe, jaki to będzie pierścionek?*

*W sumie wszystko jedno. Przecież nie musi być ładny.*

*Dzwoni telefon okularnika. Zaraz się okaże, czy moje domysły były słuszne.*

\*

Z trudem utrzymuję aparat w drżącej dłoni. Lekko mrużę oczy i widzę, że wyświetla się jakiś nieznajomy numer. Wciskam przycisk z zieloną słuchawką.

— Halo? — Słyszę głos Kamila. — Ktoś do mnie dzwonił, więc oddzwoniam.

— Cześć, Kamil. Tu Szymon Szymalski z Katowic. Dzwoniłem, bo...

Ciągle zezuję na Halinę i widzę, jak uśmiecha się pod nosem po usłyszeniu mojego imienia i nazwiska.

Śmiesz cię to, dziwko? Naprawdę aż tak zabawnie się nazywam?

Teraz już jestem pewien, że tamten grymas nie miał nic wspólnego z przepaszającym uśmiechem. Nutę strachu też na pewno źle zinterpretowałem.

Ty niedojebana kurwo!

— Halo? Halo, Szymon, jesteś tam?

Odchrząkuję.

— Tak. Dzwoniłeś na moją komórkę, ale nie słyszałem, a ponieważ mam konto na kartę i zero na koncie, to używam aparatu Iwony. Coś się stało?

Patrzę na Halinę, która ciągle się szyderczo uśmiecha, chyba mając nadzieję, że tego nie widzę.

— Będiesz dzisiaj? — Nie słysząc mojej odpowiedzi, zadaje kolejne pytanie.

— No właśnie jeszcze do końca nie jestem pewien — chrypię do słuchawki. — Jakby co, to będziecie tam, gdzie ustalaliśmy?

— Tak. Byłoby szkoda, gdybyś nie dotarł.

— Postaram się, ale gdyby nie było mnie przez jakiś czas, to nie czekajcie na mnie.

— Nie będziemy się nigdzie ruszać z Europejskiej. Wpadaj śmiało, nawet jakby było już późno. Na pewno posiedzimy przynajmniej do północy. Mam nadzieję, że nie stało się nic złego?

— Wszystko okej — mówię, choć nie jest to prawda. — Dzięki za oddzwonienie. Jakby co, to będziemy się jeszcze dziś łapać.

— Dobra. W takim razie do zobaczenia później, mam nadzieję.

— Cześć — kończę rozmowę i natychmiast się rozłączam.

\*

*Czyli już wiem, jak się nazywa mój tajemniczy współpasażer. Szymon Szymalski, i jest z Katowic.*

*Uśmiechnęłam się, gdy to usłyszałam, bo — jak zwykle — dziwne bywają zbiegi okoliczności. W jednym z sąsiednich przedziałów ktoś gra właśnie „Glorię”. To też śpiewałam na tej akademii w ogólniaku, ale na dwa głosy, razem z Pawłem Pawłowskim — moją pierwszą prawdziwą miłością. Wielką*



*i niespełnioną. Tyle lat minęło, a zawsze, gdy usłyszę podobnie dobrane imię i nazwisko, to przypominają mi się stare dobre czasy. Wydaje mi się nawet, że jeden z moich uczniów, Jacek Jackiewicz, ma z tego względu u mnie pewne fory. Szkoda, że mój Wojtek nie ma na nazwisko na przykład Wojciechowski. Hanna Wojciechowska — byłoby ładnie. Ale Hanna Tomańska też brzmi przyjemnie.*

*Śmieję się sama do siebie.*

*Również dlatego, że wiem już, jakie imię będzie nosił nasz syn (o ile to będzie chłopiec).*

\*

Jest osiemnasta czterdzieści sześć.

Dojeżdżamy do Krakowa.

Wszystko wskazuje na to, że gitarowe towarzystwo będzie tutaj wysiadać, bo rozstrojona gitara zamilkła i pierwsi plecakowi wycieczkowicze zaczynają już powoli wpełzać z przedziałów.

Wiem, że powinienem się zacząć zbierać, ale jeszcze czekam. Nie będę się przecież z nimi tłoczył na korytarzu. Zresztą mam niejasne wrażenie, że jeszcze nie skończyłem z tą wielką, grubą dziwką, która wciąż się ze mnie naśmiewa.

Zaczynam się zastanawiać, co powinienem jej powiedzieć na do widzenia. To powinno być coś naprawdę mocnego, żeby ten złośliwy uśmieszek zniknął z jej nalanej gęby. Najchętniej po prostu walnąłbym ją między oczy, w tę jej kartoflaną kichawę. Odechciałoby się jej głupich numerów na drugi raz.

Zwalniamy coraz bardziej, pociąg wbija się pomiędzy perony dworca głównego i hamuje z głośnym piskiem.

Znów mam przed oczyma ten obraz — Halina opuszczająca pociąg przez otwarte drzwi w biegu. Cóż, może innym razem się spotkamy, dziewczyno jak malino z polskiego pendolino. Może jeszcze kiedyś nasze kolejowe szlaki się przetną...

**18.51—19.25**

Gitarowo-plecakowa wycieczka wysiadła, a do pociągu wpakowały się trzy osoby. Przynajmniej tyle weszło od tej strony.

W każdej chwili możemy ruszyć, ale wciąż stoimy na dworcu. Najpierw czuję przyjemne ciarki niepewności, a zaraz potem przypominam sobie, że Kossak TLK ma w Krakowie dłuższy postój.

Wstaję, przeciągam się, próbując rozluźnić napięte mięśnie, a potem wychodzę na korytarz i kieruję się nim na drugi koniec wagonu. Pierwsze dwa przedziały w kolejności są zupełnie puste, w następnym siedzi jeden starszy gość (wsiadł przed chwilą), potem znów w dwóch nikogo, w kolejnym para wyglądająca na studentów (też widziałem, jak wsiadają), a w następnym — trzech żołnierzy ubranych w polowe mundury moro; jeszcze w przedostatnim kobieta koło pięćdziesiątki z dwójką kilkuletnich dzieci (pewnie babcia z wnuczętami), i tyle.

Wracam, licząc w myślach. Dziewięć osób na cały wagon (o ile ktoś jeszcze nie dołączy) plus ja i dziewczyna malina.

Co robisz, stary? Przecież to Kraków! W Europejskiej czeka wesoła grupka, z którą możesz spędzić miły wieczór przy piwku.

A może wolę spędzić go z Haliną?

Kilka metrów przed naszym przedziałem po raz kolejny uderza mnie duszny zapach znajomych perfum.

Posiedzę jeszcze chwilę. Zdaje się, że będziemy tu stać jakiś czas. Jeszcze zdążę wysiąść.

Zajmuję swoje miejsce, przymykam oczy.

Mijają kolejne minuty. I kolejne.

Przecież twój bilet tutaj traci ważność!

Tupot nóg na peronie. Wsiada jeszcze ktoś, ale chyba ma miejsce gdzieś w środku wagonu.

Słyszę gwizdek konduktora.

## **19.25—19.32**

Ruszyliśmy.

\*

*Staliśmy w Krakowie jakiś czas, za oknem już jest szarówka, zaraz zapadnie zmrok i ten mój dziwny współpasażer zaraz przestanie widzieć cokolwiek przez te swoje prawie czarne szkła. Ale to przecież nie mój problem.*

*A, nie. Właśnie w tej chwili włączyli w wagonie światło. Jest dość jasno, palą się obie świetlówki zamontowane pod sufitem, więc pewnie dalej będzie siedział, udając agenta zero zero siedem.*

*Zaczynam powoli głodnieć. W sumie to nic dziwnego, bo przecież nie jadłam od paru ładnych godzin, a od pewnego czasu apetyt dopisuje mi jak nigdy. Od kiedy zaczęłam chorować, mam problemy z nadwagą, ale teraz przynajmniej jestem chociaż trochę usprawiedliwiona. Spróbuję coś z tym zrobić po cięży.*

*Chyba nadeszła pora na kanapkę. Dobrze, że zapobiegliwie zrobiłam sobie dwie.*

\*

Rozpoczynają się jakieś manewry. Halina wstaje, zdejmuje swojego „adibasa” z półki i zaczyna w nim szperać.

Akurat przejeżdżamy przez Wisłę. Na zachodnim niebie krwawa luna, w wodzie jej odbicie. Na równoległym moście (i w wodnym zwierciadle) sunący w stronę centrum kontur tramwaju, w którym właśnie motorniczy zapalił światło. Stare miasto i Wawel ostro odcinają się czernią na purpurowym tle.

Całkiem ładnie, prawie pocztówkowo.

Ale nie wszystkich takie widoki interesują. Niektórzy wolą w tym czasie grzebać w torbie.

Aha! Już teraz rozumiem, chodziło o żarcie. Dwie kanapki, zawinięte w zatłuszczony papier, są przecież dla Haliny najważniejsze. Nie dziwota, że tyle waży. O, i jeszcze coś do picia. Bomba kaloryczna w postaci litrowej fanty.

Co ty jeszcze robisz w tym pociągu???

Nie wiem. Chyba muszę się z nią jakoś ładnie pożegnać.

Mam nadzieję, że zaraz przyjdzie konduktor i sprawdzi twój bilet. Może kara za jazdę na gapę spowoduje, że trochę otrzeźwiejesz.

Siedzę bez ruchu, nikt, nawet Halina, nie wie, że nie śpię.

Przed chwilą patrzyłeś w stronę okna.

To nic. Przecież ona mnie nie wyda. Powiem, że zasnąłem w Krakowie i wysiądę na dworcu w Płaszowie.

No to już, szykuj się. Pociąg właśnie wjeżdża na stację.

Nie wiem, czy będę sobie potrafił odmówić tego widoku. Halinka już siedzi na swoim miejscu i głodnym wzrokiem wpatruje się w zatłuszczony papier. W całym przedziale śmierdzi kielbasą z czosnkiem. Ciekawe, czy zeżre obie naraz, czy może drugą zostawi na później...?

### **19.32—19.33**

Je tak łapczywie, jakby od prędkości pochłonięcia tej kanapki zależało jej życie. Jeszcze dobrze nie przełknie, a natychmiast bierze łyk fanty i wgryza się w swoją zdobycz po raz kolejny. Okruchy sypią się po jej czarnych ciuchach, ale Halina zupełnie na to nie zważa. Ma wzrok tak czujnie utkwiony w chlebie z kielbasą, jakby żarcie mogło jej za chwilę umknąć.

### **19.33—20.19**

Nawet nie zauważyłem, że ruszyliśmy. Szansa na opuszczenie pociągu chwilowo minęła, ale spektakl, który rozgrywa się w przedziale, jest wart nawet kary za jazdę bez biletu.

Mlaskania i głośnego przełykania po tym, gdy pociąg ruszył, jest nieco mniej, ale wciąż są doskonale słyszalne. Częściowo przeżuty kawałek kanapki wypada Halinie z ust i ląduje na prawym kolanie. Odruchowo strąca go z legginsów. Czuję, jak uderza w nogawkę moich spodni, tuż nad butem, a potem wydaje mi się, że słyszę plaśnięcie o podłogę.

Nie wiem, czy cała operacja wrąbania pierwszej części posiłku zajęła jej dwie minuty (raczej udało się załatwić sprawę szybciej). Zdaje się, że

pod koniec ugryzła kawałek papieru. Nawet stąd widzę, że brakuje fragmentu opakowania, ale ona zupełnie na to nie zważa.

Kiedy patrzę na to żalosne stworzenie, kielkuje we mnie coś na kształt litości, a zaraz potem zastanawiam się, jak to możliwe, że Halina wyprowadziła mnie z równowagi.

Idź poszukać konduktora, powiedz, że przegapiłeś Kraków. Dokupisz za parę złotych bilet w innym przedziale, w innym wagonie, wysiądziesz na najbliższej stacji i zapomnisz o całej sprawie...

Halina pożądliwie patrzy na drugą kanapkę. Zdaje się, że walczy sama z sobą, ale trwa to tylko chwilę. Szelest rozwijanego papieru i operacja się powtarza. Po raz kolejny tego dnia jest mi niedobrze. Nie mam pojęcia, za jakie grzechy spotkało mnie takie towarzystwo w przedziale.

Wzdycham głęboko i wychodzę na korytarz. Zza moich pleców dobiega niezbyt skutecznie wyciszone beknienie.

Przynajmniej próbowała je stłumić, stwierdzam ze zdziwieniem.

\*

*Od kilku tygodni zupełnie nie potrafię się opanować, jeśli chodzi o jedzenie. Jak zaczynam, nie potrafię skończyć, dopóki nie zjem wszystkiego.*

*I dalej jestem głodna.*

*Tak samo było i tym razem. Najpierw chciałam zjeść jedną kanapkę, a dopiero gdzieś tak za Dębicą drugą, no ale nie udało mi się powstrzymać.*

*To pewnie z powodu ciąży.*

*Przez moment walczyłam sama z sobą, ale ostatecznie przeważył argument, że lepiej skończyć z jedzeniem czosnkowej kiełbasy na tyle wcześnie, aby Wojtek nie wyczuł jej podczas powitalnego pocałunku.*

*Współpasażer chyba spał, ale już się obudził i wyszedł.*

*Pamiętam, że jak byłam mała, czymś normalnym było częstowanie jedzeniem obcych współpasażerów. Ciekawe, jak by zareagował. Chyba jednak by się nie skusił. Wygląda na strasznego dziwaka. Może pomyślałby, że chcę go otruć? Całkiem prawdopodobne.*

*Muszę się zastanowić nad tym, jak z Wojtkiem spędzimy długi weekend. Obiecał mi, że nie będzie pracował w czwartek, między świętami, szkoły mają, rzecz jasna, wolne od środy do końca tygodnia, więc mielibyśmy pięć dni tylko dla siebie.*

*Cudnie! Już się nie mogę doczekać!*

*Zwłaszcza że być może będzie to nasz pierwszy długi weekend jako zaręczonej pary.*

\*

Stanie w korytarzu, tyłem do drzwi przedziału, jest znacznie przyjemniejsze od siedzenia w środku. Jedziemy o wiele szybciej niż przed Krakowem, mijając kolejne zabudowania, czasem jakieś oświetlone mniejsze stacje (to chyba jeszcze Kraków) lub widoczne w oddali drogi.

W pewnym momencie najpierw prawie nic nie widzę (jest już właściwie całkiem ciemno), a potem zaczyna nam towarzyszyć autostrada (to chyba ta, która miała być gotowa na Euro 2012 — ciekawe, czy była...). Jedziemy z prędkością porównywalną do większości zmierzających na wschód aut.

Szum kół na torach i stukot na łączeniach szyn działa hipnotycznie, ale to z kolei wywołuje jakąś natrętną myśl, która zdaje się znajdować tam, gdzie przeważnie rodzi się Be-Ó-eL. Mam wrażenie, że zupełnie nie chcę do niej dotrzeć, wydaje mi się, że lepiej będzie, gdy pozostanie tam, gdzie jest, ale ona jest podobna do Be-Ó-eL-u. Nie odpuszcza, zanim nie skończy.

Jasno i wyraziście zdaję sobie sprawę z absurdalności swojego zachowania. W każdej chwili mogę się przenieść gdzie indziej, ale jakiś wewnętrzny głos podpowiada mi, że powinienem jednak zostać, bo mam w tym przedziale, w którym jadę od początku, coś do załatwienia.

Wcale nie!

Wcale tak.

Teraz już nie jestem zdenerwowany, do sprawy podchodzę na chłodno.

Czuję na dłoniach i na czole lodowate kropelki potu, które pojawiły się nie wiadomo skąd. Nie powinno ich tu być.

Nie powinno ich tu...

Ona też nie powinna była. Śmiała się z tego, jak się nazywasz. Gdyby chodziła z tobą do klasy, byłbyś dla niej „Szynszylem”. To przezwisko wymyślił dla ciebie ktoś inny, ale ona też potrafiłaby to zrobić. Może nawet, jak usłyszała imię i nazwisko, to właśnie dokładnie to przyszło jej do głowy? Możesz być pewien, że ona też, jak wszyscy w szkole, nie nazwałaby cię nigdy inaczej. Pierwsza dostrzegłaby, że twoje siekacze są o wiele za duże, że jesteś podobny do gryzonia.

Przestań już!

Byłbyś jej popychadłem, jak byłeś popychadłem całej klasy. Przecież właśnie dlatego po tym, gdy zmarli twoi rodzice, sprzedałeś mieszkanie i przeprowadziłeś się na Śląsk. Tu nikt nigdy cię tak nie nazywał. Skończyłeś trudne studia, kursy, kończysz podyplomówkę. Nie jesteś już „Szynszylem”. Jesteś kimś, kogo wszyscy lubią, mimo że tak naprawdę już ci na tym nie zależy. Ale tak jest wygodnie i higienicznie. Tak jak będzie w twoim mieszkaniu, gdy je już sobie w przyszłym roku będziesz mógł kupić.

No właśnie, więc zabieraj torbę i ruszaj na poszukiwanie konduktora!

Ale są tacy, którzy stanowią zagrożenie. Co by było, gdybyś jechał z kimś, kto cię lubi, w przedziale i ten ktoś zobaczyłby, jak Halina wyśmiewa się z tego, jak się nazywasz? Zaczęłyby się zastanawiać, skąd ten uśmiech. Kto wie, może zaczęłyby kombinować nad połączeniem imienia i nazwiska w jakąś śmieszna zbitkę?

Przecież nie wpadłby na to!

I później, w pracy, nikt nie nazwałby cię inaczej. O, nie, nie prosto w oczy. Ale za plecami miałbyś już zawsze dziwnie szmerzące szepty. I co? Wszystko znów rzucić, wszystko to, nad czym tak ciężko pracowałeś?

Zabierz torbę, więcej nie spotkasz tej kobiety.

A skąd ty to możesz, do kurwy nędzy, wiedzieć?!

\*

Wracam do przedziału.

Przed zajęciem swojego miejsca patrzę w umocowane pomiędzy półką a siedzeniami lustro. Czerń szkielec wyraźnie odcina się od białej twarzy.

Halina jest zajęta swoimi sprawami.

Oddycham ciężko, chcę zamknąć oczy i spokojnie dojechać do najbliższej stacji, ale nie potrafię. Wodzę wzrokiem po łupieżu na ramionach, po okruchach na legginsach. Muszę to robić, muszę się z nią jakoś ładnie pożegnać. To jest silniejsze ode mnie.

### **20.19—20.28**

Zatrzymaliśmy się.

Teraz! Jeszcze możesz to przerwać.

Chcę, ale nie mogę. To jest silniejsze ode mnie.

Szybciej, bo pociąg zaraz ruszy i będzie za późno.

Już i tak nie zdążę. Na takich mniejszych stacjach zatrzymuje się tylko na minutę. Wszystkie mięśnie mam napięte, gotowe do podjęcia działania, ale wiem, że to na nic, bo jak tylko wstanę, ruszymy.

Trwa to minutę, pięć, dziesięć?

Chyba faktycznie zdążę. To jakiś dłuższy postój.

Wstaję, sięgam po torbę, chwytam ją i...

### **20.28—20.46**

...w tej samej chwili pociąg rusza.

Spoglądam przez okno, mijamy tablicę z napisem „Bochnia”.

Powinieneś wysiąść w Bochni. Nigdy nie byłeś w Bochni.

Tak, ale nie mogłem.

Naprawdę chciałeś?

Chciałem. Ale. Nie. Mogłem.

\*

*A jednak współpasażer jest chyba chory. Bardzo zbladł i, jeśli dobrze widzę, zaczął się pocić. Wydaje mi się też, że gdy sięgał po swój bagaż, to*



*trzęsły mu się ręce. Mam nadzieję, że to nie jest jakaś choroba zakaźna; jeszcze tylko tego by brakowało... Niedługo zapowiada się miły weekend, a ja naprawdę nie chciałabym spędzić go w łóżku, z gorączką i kaszlem zamiast Wojtka.*

*No i jest jeszcze Ono. Dopiero teraz sobie przypomniałam. Oj, jeszcze trochę czasu minie, zanim się przyzwyczaję...*

*Musiiałabym się dowiedzieć, jakie leki mogę brać, czy muszę w ogóle coś zmieniać w przypadku przeziębienia.*

*Koniecznien trzeba spytać o to na najbliższej wizycie kontrolnej!*

*Znowu muszę do toalety. I tak długo wytrzymałam, jak na moje obecne zapotrzebowanie, no ale fanta, którą Wojtek kupił mi na drogę, zrobiła swoje.*

\*

*Zabieram torbę i po raz ostatni opuszczam ten cholerny przedział. Poczekam przy drzwiach, żeby nie przegapić następnej stacji.*

*A nie, chyba muszę się odlać, nie zaszkodzi mi też na pewno trochę chłodnej wody na rozgrzaną i bolącą już nieco głowę.*

\*

*No i masz babo placek! Współpasażer nie zebrał się do wyjścia, a po prostu poszedł do toalety. Okazało się, że ta druga, na przeciwległym końcu wagonu, też jest zajęta, co sygnalizuje podświetlenie skrótu „WC” nad wahadłowymi drzwiczkami. Mam nadzieję, że zaraz któryś kibelek się zwolni, bo jeśli nie, to katastrofa gotowa.*

*Chociaż przecież mogę skorzystać z tej w kolejnym wagonie. Na szczęście aż tak bardzo mnie jeszcze nie ciśnie.*

*Pociąg nagle zahamował i zrobił to jakoś podejrzenie gwałtownie.*

*Chyba stoimy w szczerym polu, bo za oknami prawie w ogóle nie widać światła. Oby to tylko konieczność przepuszczenia innego pociągu, a nie na przykład samobójca. Zanim o tej godzinie przyjechałaby policja, karetka, później prokurator, minęłyby chyba ze dwie godziny...*

\*

*Kurwa, co jest?!*

Dlaczego on tak gwałtownie stanął?!

Dobrze, że akurat trzymałem się uchwytu, bo gdyby nie to, wyrznięłbym jak worek kartofli.

Nie pierwszy raz dzisiaj.

Be-Ó-eL jest coraz bardziej dokuczliwy, ale dam mu radę.

W kiblu wciąż czuć te paskudne perfumy Haliny. Prawie niewyczuwalnie już, ale jednak.

Ktoś otwiera drzwi, a więc stacja. To trochę zastanawiające, bo jechaliśmy dość krótko. No i druga dziwna rzecz — nie otworzyły się te drzwi, co powinny. O ile się nie mylę, dotąd perony były po tej stronie, co kibel, w którym właśnie urzęduję. Teraz otwarto te położone po przeciwnej stronie...

Aha, no tak, może ktoś próbował odemknąć te, z którymi ja miałem już okazję szarpać się w Katowicach, nie udało mu się i, nie chcąc zwiedzać kolejnej stacji, wysiadł z drugiej mańki, nie na peron.

Znów jedziemy.

Nie słyszałem, aby ktoś zatrzasnął drzwi, w dodatku zdaje się, że hałas jest większy, a więc znów jedziemy przy otwartych. Będę musiał uważać po wyjściu. To przecież Halina miała w planach niespodziewany wylot z pociągu.

Zimna woda pomaga, ale pan B. już się czai gdzieś pod czaszką, gotów uderzyć w każdej chwili.

Co to mogła być za stacja? Biorę telefon, aby się dowiedzieć.

Gdy zajmuję myśli czymś innym, odwlekam w ten sposób ostateczne starcie z moim prześladowcą.

Internet działa. Jest sukces.

\*

Chwilę to trwało, ale już wszystko wiem. To było Brzesko Okocim, następna stacja — Tarnów. Planowany przyjazd — dwudziesta pierwsza osiemnaście.

Przypominam sobie, że miałem się odlać.

Kolejne hamowanie zastaje mnie w czasie akcji...

## 20.46—20.47

...która kończy się już podczas postoju pociągu.

Szyby są mleczne, niewiele przez nie widać, ale wystarczająco, by zorientować się, że na zewnątrz są jakieś latarnie. Czyżby to dopiero teraz było Brzesko?

Próbuję zapiąć rozporek, ale zacina się dwukrotnie.

## 20.47—21.18

Gdy wreszcie mi się udaje, już znów jedziemy.

Czyli jednak przyjdzie mi zwiedzić dworzec w Tarnowie.

Raz jeszcze sprawdzam rozkład w komórce. Gdybym wcześniej popatrzył na godzinę, być może zorientowałbym się, że stanęliśmy gdzieś w polu (w Brzesku byliśmy zgodnie z rozkładem), a ten ktoś, kto wysiadł, skorzystał najprawdopodobniej z sytuacji i wyskoczył, bo pewnie z miejsca niespodziewanego postoju miał bliżej niż ze stacji.

Kurwa!

Co mnie podkusiło, żeby nie wysiąść w Krakowie?

Jest teraz za siedem dziewiąta, już dawno bym siedział przy piwie w Europejskiej. W międzyczasie kupiłbym sobie tabletki przeciwBÓLowe.

Człowiekowi czasem coś tak odpieprzy, że potem sam się sobie dziwi.

Teraz jeszcze tylko tego by brakowało, żeby przyszedł konduktor i wrębał mi mandat za jazdę na gapę.

Poczekam tu jeszcze trochę. Może jak przyjdzie, to nie będzie sprawdzał kibla...

\*

*No, jest coraz gorzej.*

*Ktoś siedzi w WC (nie wiem, czy to mój tajemniczy współpasażer, czy też może ten chłopak, który podczas niespodziewanego postoju przed Brzeskiem przebiegł obok przedziału).*

*Wszystko jedno, czy jest to okularnik, czy ten drugi, ale sytuacja staje się nieciekawa.*

*Trochę to głupie, że zajmuję się tu takimi pierdziólkami, ale pomaga to skupić myśli na czymś innym niż na potrzebie fizjologicznej. Poczekam jeszcze pięć minut, bo już więcej chyba nie dam rady, i najwyżej pójdę szukać gdzie indziej szczęścia.*

*Niechże ktoś zwolni wreszcie toaletę!*

\*

Dobra. Jest pięć po dziewiątej. Chyba można się ewakuować. Gdyby teraz przylazł kanar, to dopiero byłby pech.

\*

*Od jakiegoś czasu, gdy jeżdżę pociągiem, udaję, że robię notatki. Mam rozłożoną książkę i zapisuję w ten sposób dziennik.*

*Kiedyś, gdy po prostu pisałam, ludzie dziwnie mi się przyglądali. Może myśleli, że piszę książkę...*

*Przyzwyczajenie to druga natura, nie potrafię przestać tego robić. No, ale dobrze jest też czasem sięgnąć do tego, co było, a czego pamięć nie jest w stanie zarejestrować... Ile to już czasu? Chyba z piętnaście lat i dziesiątki zapisanych notatników.*

*Słyszę, że drzwi toalety się otwierają. Teraz już tylko byle jak najszybciej!*

\*

Wychodzę i zamykam za sobą drzwi.

Idę zobaczyć, czy nie zbliża się konduktor, i widzę Halinę, która szarżuje w moim kierunku. Staram się odskoczyć, ale potraça mnie dość mocno i cwałuje dalej, do kibla.

Obity wcześniej bark pulsuje bólem, ale to nie on jest teraz na pierwszym miejscu. Jeszcze nie wiem, dlaczego nagle pojawia się ten gorszy, pulsujący, rozsadzający czaszkę.

Halina wlaża do kibla, zamknęła się od środka, a ja staram się zrozumieć, choć początkowo nie wiem, o co dokładnie chodzi.

Be-Ó-eL w najczystszej, mistrzowskiej i niczym niezmaconej postaci. Czerwono-czarne plamy przed oczyma, zawroty głowy. Atak nie do

odparcia, trudny do wytrzymania.

Mysłała, że wysiadłeś.

No i co z tego?

Mysłała, że wysiadłeś, dlatego zostawiła swoje graty w przedziale. Już się nie bała, że ją okradniesz. Ta dziwka wtedy, wcześniej, naprawdę sądziła, że możesz ją obrobić. Szynszyl, co z tobą? Aż taki jesteś tępy?

Nie, nie jestem.

Kładę torbę na ziemi i spoglądam na korytarz. Nikogo.

Czy ktoś cię rozpozna? Czy nie rzuciłeś się komuś niepotrzebnie w oczy?

Nie, chyba nie. Przeszedłem raz na drugi koniec wagonu, ale chyba nikt wtedy na mnie nie patrzył.

Pociąg jedzie szybko. Spoglądam w stronę otwartych drzwi. Sączące się z pociągu światło rozjaśnia nieco śmigające jak szalone kępy trawy, co jakiś czas mijamy słup trakcji, szum kół jest ogłuszający.

Głowa mi pęka.

Niech już się to jak najszybciej skończy.

Zdejmuję okulary i chowam je do wewnętrznej kieszeni marynarki.

\*

Halina wychodzi, mija mnie, jest prawie o głowę wyższa.

Nie wiem, czy dam radę, ale wiem, że muszę spróbować. To jest silniejsze...

Podnoszę rękę i klepię pseudokobietę w obsypane łupieżem ramię. Przystaje, odwraca się. Na jej nalanej gębie najpierw widzę uśmiech, potem zaskoczenie, a za chwilę ani po jednym, ani po drugim nie pozostaje nawet najmniejszy ślad. Zobaczyła w moich oczach coś takiego, co sprawiło, że jej morda wydłuża się i wykrzywia w jakże wspaniałym grymasie przerażenia.

Smakuję go przez chwilę (tak, to jest właśnie ten smak, o który mi chodziło!), a później z całej siły pięścią uderzam w jej kinol. Halina chwieje się, nabiera powietrza do krzyku, ale ja popycham ją z całej siły i po chwili widzę jak balansuje w otwartych drzwiach.

Pociąg zaczyna zwalniać, a ona chwytając jedną ręką za mój prawy nadgarstek, a drugą za uchwyt, który ma pomagać podróżnym przy wsiadaniu i wysiadaniu. Raz za razem walę pięścią w jej zaciśnięte na rurce paluchy, a wtedy z gardła Haliny zaczyna wydobywać się jęk, po chwili przechodzący w skowyt. Jej oczy wychodzą z orbit, a usta układają się w słowo „proszę”.

Potem zaczyna krzyczeć, ale hamujące koła zagłuszają jej wycie. Odginam tłuste paluchy, jeden po drugim, i raz jeszcze patrzę w jej oczy. To, co widzę, bardzo mi się podoba.

Teraz trzyma się tylko mojej ręki, ale połowa jej ciała jest już na zewnątrz. Przez moment boję się, że pociągnie mnie za sobą, ale uchwyt teraz mi przychodzi z pomocą.

Zaraz potem wszystko zaczyna dziać się jak w zwolnionym tempie, niby klatka po klatce na taśmie filmowej. Pomimo że pociąg wciąż jedzie dość szybko, jeden ze słupów trakcyjnych mija nas majestatycznie. Staram się uwolnić nadgarstek i robię krok do przodu, by po chwili nagle szarpnąć ramię wstecz.

Mijamy rozkopaną stację kolejową. W żółtawym świetle latarni widzę niebieską tablicę i białe litery, które ogłaszają, że ta scena naszego love story zakończy się na stacji Tarnów Mościce.

Kolejny słup nadciąga nieubłaganie, Halina jest już na tyle wychylona, że...

Nagle go dostrzega, ale jest już za późno. Metalowa krawędź działa jak gilotyna, a ja czuję nagle nadspodziewanie mocny uścisk na nadgarstku. Zaciśnięte nagłym skurczem palce rozdierają paznokciami moją skórę, ale to wszystko, na co ją było stać.

Pozbawiona głowy Halina leci bezwładnie do tyłu i ostatecznie opuszcza pociąg.

— Leć, maleńka, leć — mówię cicho, sapiąc przy tym ciężko, a potem cofam się o dwa kroki.

Czuję pieczenie ręki, ale ból głowy zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

\*

Przez jakiś czas oddycham ciężko i wtem chwyta mnie przerażająca myśl, że ktoś to wszystko widział. Patrząc w stronę korytarza, ale nikogo nie widzę. Oddycham z ulgą, ale tylko przez chwilę, bo właśnie uchylne drzwi na drugim końcu korytarza otwierają się i staje w nich konduktor. Najpierw rusza przed siebie, ale nagle patrzy na zapalone światło, sygnalizujące, że ominął kogoś, kto zaszył się w toalecie.

Wraca.

Boję się mandatu i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że grozi mi coś o wiele gorszego.

Za oknami miasto, czyli już prawie jesteśmy w Tarnowie. Okazuje się, że w tamtej toalecie zabawiła się para studentów, która wsiadła w Krakowie.

Pociąg hamuje, konduktor sprawdza pierwsze bilety w tym wagonie, ale wiem, że do mnie już nie zdąży dojść.

Przez moment zastanawiam się, czy nie warto wrócić i zabrać ze sobą rzeczy Haliny, ale to zbyt duże ryzyko.

## **Tarnów**

Wyskakuję na peron.

Mam ochotę założyć okulary, ale uznaję, że wyglądałbym w nich podejrzenie w nocy.

Uśmiecham się, pełną piersią wdychając już prawie letnie powietrze.

W hali dworca okazuje się, że pociąg osobowy do Krakowa mam za osiem minut. Kupuję bilet, w ostatniej chwili uświadamiając sobie, że nie powinienem płacić kartą.

Jeszcze zdążę do Europejskiej, zanim rozejdą się moi pseudoznajomi.

Trochę dokucza mi głębokie zadrapanie na prawym nadgarstku, więc idę do toalety i prowizorycznie je opatruję. W pewnym momencie czuję lekkie ukłucie Be-Ó-eL-u, kiedy myślę o moim naskórku za paznokciami Haliny, o badaniach DNA, które byłyby dla mnie równoznaczne z wyrokiem (te sukinsyny z dochodzeniówki znalazłyby

pewnie ślady uderzenia na odciętej głowie i nie mógłbym się tłumaczyć, że próbowałem spieszyć z pomocą), ale potem się uspokajam. Przecież nigdy nie byłem notowany, więc jakim cudem mogliby do mnie dotrzeć?

## **Tarnów Mościce**

Specjalnie zająłem miejsce po właściwej stronie.

Mówi się, że morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni i w tym przypadku to się idealnie sprawdza.

Pociąg zatrzymał się prawie dokładnie w miejscu, w którym Halina wyskoczyła. W dyskretnym świetle kolejowych latarni nawet chyba widzę jej wielkie truchło. Skoro do tej pory nikt się na nie nie natknął, to może poleży tak nawet do jutra rana.

Im dłużej, tym dla mnie lepiej. Dla lisów i innych ścierwojadów też.

Czuję się, jakbym wykonał kawał dobrej roboty. Jestem rozluźniony i spokojny. Nawet mam już ochotę na piwo w pseudotowarzystwie pseudoznajomych z pseudostudiów.

W sumie to nie było takie trudne, ale wiele rzeczy trzeba by poprawić.

Co masz przez to na myśli?

Halina była pierwsza, ale czy ktoś mówił, że będzie ostatnia?

Ja na pewno nie, bo czuję się świetnie.

I ja również. Ani śladu Be-Ó-eL-u, zamiast tego miło krążąca w żyłach adrenalina...

Myślisz, że wyświadczyłeś jej przysługę?

Uśmiecham się, doskonale znając odpowiedź. Początkowo nie chcę jej wypowiadać w myślach, ale w końcu jest to ode mnie silniejsze i nie mogę się powstrzymać.

Wydaje mi się, że nie tylko ja nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

## **Epilog**



Kierownik pociągu TLK 83100 Kossak ze Szczecina do Przemyśla, Janusz Paziński, czuje się już trochę lepiej, ale druga połowa załogi konduktorskiej wciąż jest w opłakanym stanie.

Obaj zmienili poprzednią ekipę na dworcu w Katowicach. Wcześniej zjedli hamburgery w przydworcowym barze i po upływie mniej więcej godziny zdążyli się przekonać, że nie był to najlepszy pomysł. Zatrucie pokarmowe dopadło ich równocześnie, tuż przed Trzebiną, i od tamtej pory żaden z nich nie mógł nawet pomyśleć o oddaleniu się od ich służbowego przedziału (na szczęście położonego tuż przy toalecie), a danie sygnału do odjazdu to był jedyny obowiązek, któremu wspólnymi siłami, działając na zmianę, mogli sprostać.

W Krakowie mieli dłuższy postój, więc Paziński dał znać dyżurnemu, żeby ktoś poratował ich w niedoli, a dostarczony stoperan zaczął wreszcie działać przed Bochnią. To było zbyt wcześnie, by móc sprawdzić bilety, ale przynajmniej można było o tym pomyśleć.

Na towarzyszącego Pazińskiemu Bogdana Wilka, o jakieś piętnaście lat młodszego i mocno zbudowanego mężczyznę, lek nie podziałał aż tak skutecznie (być może dlatego, że Wilk połakomił się na dwa hamburgery), więc kierownik pociągu musi sam postarać się sprostać obowiązkom służbowym.

Po nadprogramowym postoju przed Brzeskiem, spowodowanym wahadłową mijanką na remontowanych torach, Paziński odprawia pociąg ze stacji i rusza skontrolować bilety. Zakłada, że zdąży się z tym uwinąć przed Tarnowem, ale migdałaca się w toalecie parka sprawia, że resztę ostatniego wagonu musi odłożyć na później.

Tym bardziej że znów odczuwa rewolucję w jelitach i po daniu sygnału „Gotów do odjazdu” i komendy „Odjazd” znów musi w trybie pilnym odwiedzić „Wujka Czeška”.

Zaraz potem kontynuuje kontrolę biletów. Mniej więcej co drugi przedział jest pusty, więc idzie szybko. Dociera na koniec składu i zauważa, że drzwi po lewej stronie (patrząc od czoła pociągu) są otwarte na oścież, a w ostatnim przedziale nie ma nikogo, pomimo że

na półce leży torba, na rozkładanym ministoliku — książka, a na siedzeniu numer siedemnaście ktoś zostawił otwarty zeszyt z notatkami.

Paziński sprawdza toaletę, a później stara sobie przypomnieć, czy przypadkiem ktoś z pasażerów, których bilety kontrolował, nie zajmował nieswojego miejsca. Zatrucie przeszkadza w zebraniu myśli, ale po chwili zastanowienia mógłby przysiąc, że taka sytuacja nie miała miejsca. Pracuje na kolei prawie od trzydziestu lat, ale wciąż wymyślają coś nowego — ostatnio tę numerację miejsc, więc za każdym razem stara się weryfikować, czy pasażer siedzi tam, gdzie powinien. Teraz też tak robił.

Zamierza nad tym jeszcze pomyśleć, a tymczasem kieruje się do otwartych drzwi. Nagle staje jak wryty. Coś mu mówi, że nie powinien tego robić. Przez te wszystkie lata potrafi używać kolejarskiego szóstego zmysłu.

Wraca do przedziału, siada na miejscu numer trzynaście i bierze zeszyt na kolana. Przewraca kartki do początku. Okazuje się, że jest to świeżo rozpoczęty pamiętnik, zaczynający się od słów:

*26 kwietnia 2013, piątek*

*Bogu dzięki, zdążyłam, chociaż naprawdę mało brakowało.*

Starannym, kształtnym pismem zapisano jakieś dziesięć stron, więc Paziński dość szybko kończy czytać. Czuje się trochę jak złodziej duszy, poznający bez zgody właścicielki jej najskrytsze tajemnice, wydaje mu się jednak, że powinien.

Być może dla jej dobra.

Gdy kończy, niepokoi się jeszcze bardziej.

Bierze ze sobą zeszyt i przechodzi cały pociąg od końca do początku, w każdym zajęтым przedziale pokazując notatnik i pytając o jego właścicielkę, a także starając dowiedzieć się, czy któryś z podróżnych nie zauważył czegoś niepokojącego lub podejrzanego.

Nic.

Zagląda do służbowego, budzi Bogdana i, nie zważając na słabe protesty, nakazuje mu, by się ogarnął i przejął obowiązki. Potem wraca do ostatniego przedziału.

Następny postój będzie o dwudziestej drugiej osiem w Dębicy. Do Rzeszowa, czyli stacji, na której ma nastąpić kolejna zmiana załogi konduktorskiej, już niedaleko, ale coś podpowiada Pazińskiemu, że to może być długa noc.

Sięga po radiotelefon i w skrócie głosi dyżurnemu tylnego posterunku krótki opis sytuacji.

— Tak, dobrze zrozumiałeś — mówi, gdy dyżurny powtarza w skrócie meldunek. — Sądzę, że mogła wypaść gdzieś pomiędzy Brzeskiem a Tarnowem. Trzeba to jak najszybciej sprawdzić, jeśli przeżyła, może pilnie potrzebować pomocy.

Przed odłożeniem zeszytu na miejsce numer siedemnaście, raz jeszcze kartkuje notatki. Niepokoi go ten facet w ciemnych okularach, więc w swoim notatniku zapisuje jego imię i nazwisko oraz informację o tym, że jest z Katowic. Gdyby jego podejrzenia miały się potwierdzić, policja na pewno i tak dokładnie zbada zapiski i informacje w nich zawarte.

Stara się umiejscowić zeszyt dokładnie tak, jak go zastał, a później z ciężkim westchnieniem rozpiera się wygodniej na siedzeniu. Ma nadzieję, że to fałszywy alarm, że kobieta na przykład wysiadła w Tarnowie i z jakiejś przyczyny nie zdążyła wsiąść z powrotem do pociągu.

Ale do tej pory już byś o tym wiedział.

Racja. No to może zasłabła na peronie.

Możliwości jest bardzo wiele, ale coś mi mówi, że tym razem wydarzyło się tu coś złego. Nie czujesz, że w tym przedziale ciągle pachnie złością i niepohamowaną, niemal zwierzęcą agresją?

Paziński kiwa głową, doskonale znając odpowiedź. Początkowo nie chce jej wypowiadać w myślach, ale w końcu jest to od niego silniejsze i nie może się powstrzymać.

Wydaje mi się, że nie tylko ja nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

---

## Posłowie

Autorzy często dyskutują między sobą o tym, co jest trudniej napisać — powieść czy opowiadanie. Moja opinia jest taka: jeśli akurat piszę powieść, to twierdzę, że trudniej jest pisać dłuższe formy, natomiast gdy pracuję nad opowiadaniem, to twierdzę dokładnie odwrotnie.

Mówiąc zupełnie serio, to raczej nie da się porównać tych obu form, tak samo jak nie da się odpowiedzieć na pytanie, którą nogą jest łatwiej strzelić gola. Dla jednego łatwiej będzie lewą, dla drugiego prawą, niektórzy używają obu nóg jednakowo sprawnie, a tak naprawdę najważniejsze jest to... żeby strzelić gola. W przypadku dzieła literackiego celem jest trafienie nie do siatki, a do umysłu Czytelnika, sprawienie, że historia jest opowiedziana właściwie, że autor znalazł drogę, klucz do serca, uczuć i wrażliwości Odbiorcy.

Tylko tyle i aż tyle.

Mam nadzieję, że przynajmniej w jakimś stopniu mi się to udało...

\*

Pomysł na opowiadanie *Ostatni telefon* przyszedł mi do głowy, gdy słuchałem w radiowej „Trójce” audycji redaktora Kuby Strzyczkowskiego, zatytułowanej *Za, a nawet przeciw*. Emitowana jest ona od poniedziałku do czwartku pięć minut po południu i jej formuła zakłada rozmowę „na żywo” ze słuchaczami, na najróżniejsze tematy — polityczne, społeczne czy ekonomiczne. Od czasu do czasu zdarzają się nieoczekiwane wypowiedzi, zaskakujące lub nawet wulgarne, na które redaktor Strzyczkowski musi jakoś sensownie zareagować. Samobójstwa „na żywo” na szczęście jeszcze nie było, ale zastanawiałem się, jaka mogłaby być reakcja prowadzącego na taką sytuację. Bohater mojego opowiadania, Andrzej Stolarczyk, musiał się z nią zmierzyć, a w fabułę wplotłem jeszcze zagadnienia dotyczące

depresji. Może będzie Państwu trudno w to uwierzyć, ale niecałe sześć lat temu, gdy powstawał *Ostatni telefon*, wiedza na temat tej choroby była nieporównywalnie mniejsza niż obecnie. Redaktor Stolarczyk lekceważąco odniósł się do choroby, po czym sam na nią zapadł i wtedy zrozumiał, że to naprawdę poważny problem.

Akcja opowiadania w pewnym momencie trafiła na cmentarz w Busku-Zdroju i zatrzymała się na chwilę przy grobie Wojtka Bellona. Mnie też się to przytrafiło, jakoś tak na początku XXI wieku, i miałem podobne odczucia, jak Stolarczyk — ciężko mi było uwierzyć, że grób jednego z największych bardów w naszej historii jest tak zapomniany. Mam nadzieję, że od tamtej pory wiele się zmieniło na korzyść, bo źle jest, jeśli nie pamięta się o wielkich artystach, którzy przeszli już na drugą stronę.

Odnosnie samego zakończenia opowiadania — toczyły się w Internecie dyskusje, co stało się z głównym bohaterem, po co w ostatniej scenie sięga po linkę. Dla mnie znaczące było to, że chwilę wcześniej się uśmiechnął, i sądzę, że nie był to smutny uśmiech, dlatego jestem optymistą co do jego dalszych losów, choć przecież do końca nie mogę być ich pewien...

Warto tu chyba także dodać, że opowiadanie *Ostatni telefon* zostało nominowane do Nagrody Fandomu Polskiego imienia Janusza A. Zajdla za rok 2010 i ta nominacja sprawiła mi bardzo dużo radości.

Wiosną 2009 roku zwrócił się do mnie Łukasz Śmigiel z prośbą o napisanie krótkiego opowiadania, które później miałyby zostać nagrane w formie słuchowiska i wydane jako dodatek do drugiego numeru wychodzącego jeszcze wtedy czasopisma „Lśnienie”. Zgodziłem się, tym chętniej że na płycie miało znaleźć się kilka tego typu utworów znanych twórców polskiej literatury grozy.

*Dwie dychy na gwiazdkę* zostały wręcz niezauważalnie zmienione na potrzeby publikacji książkowej, a stało się to głównie dlatego, żeby było wiadomo, kto w danym momencie się odzywa (w słuchowisku nie było co do tego wątpliwości, ponieważ prócz narratora zabiera głos tylko

zamordowana wcześniej dziewczyna oraz Bogdan — kolega głównego bohatera). Być może zauważyli Państwo, że główny bohater ani razu się nie odzywa — ba! — nie znamy nawet jego imienia.

Zachęcam do poszukania słuchowiska w Internecie — jest naprawdę dobrze zrealizowane i warto posłuchać. A sama historia? Cóż, na pierwszy ogień w zbiorze poszła depresja, a na drugi — uzależnienie od hazardu, które może być równie groźne. Tu też, podobnie jak w pierwszym opowiadaniu, można mieć wątpliwości co do dalszych losów głównego bohatera. Niestety, tym razem nie wróżę mu świetlanej przyszłości.

A starego hotelu Rzeszów, w którym rozgrywają się ostatnie sceny tej historii, nie ma już od kilku lat. Na jego miejscu stoi teraz zupełnie inny, o wiele bardziej nowoczesny budynek.

Historia opowiadania *Retrowizje* wiąże się z Fundacją Pomocy Dzieciom Tybetu „Nyatri” i konkursem dla darczyńców — „Zaproponuj bohatera”. We wrześniu 2009 roku otrzymałem propozycję napisania tekstu, w którym umieściłbym bohatera lub bohaterkę zaproponowanego przez jednego z darczyńców Fundacji (pieniądze uzyskane w ten sposób miały zostać przeznaczone na sfinansowanie zajęć wakacyjnych dla dzieci z obozu dla uchodźców tybetańskich w Indiach), a w akcji brało udział kilkoro autorów.

Mój wybór padł na panią Ewę Murawską, która zaproponowała bohaterkę o swoich personaliach. Nigdy nie spotkałem pani Ewy i nie mam pojęcia, czy wykreowana przeze mnie postać choć trochę ją przypomina, ale sądzę, że kobieta z opowiadania (pomimo że bez taryfy ulgowej potraktowała swojego potencjalnego napastnika) budzi sympatię i jest odbierana dość pozytywnie.

Jeśli zaś chodzi o samo zjawisko retrowizji, to nigdy o czymś takim nie słyszałem i wymyśliłem je od początku (czyli od nazwy, choć nie wykluczam, że ktoś coś już wcześniej nazwał w taki sposób) do końca (czyli do opisu działania). Świat zmieniłby się nie do poznania, gdyby niektórzy ludzie mieli takie umiejętności jak Ewa i wcale nie jestem

przekonany, czy na lepsze. Niemniej jednak nie miałbym nic przeciw temu, aby „Miras” kiedyś jednak ostatecznie wpadł w sidła, które zaczął tak misternie zastawiać.

*Spójrz na to z drugiej strony* miejscem akcji i postacią policjanta wiąże się z opowiadaniem poprzednim, ale ponadto nie ma z nim zbyt wiele wspólnego. Pierwszy raz (i — jak czas pokazał i pewnie jeszcze pokaże — nie ostatni) spróbowałem zmierzyć się z postacią psychopaty (a właściwie psychopatki) i pokazać, jak bardzo tacy ludzie potrafią zwieść nawet swoje najbliższe otoczenie. Dorzuciłem do tego postawiony przed matką dylemat: „wybierz, którego z twoich synów mam zabić, bo inaczej zginą obaj”, a także więzi psychologiczne wiążące bliźniaczki oraz odrobinę ghost story na końcu, która czyni założenie, że jak ktoś w życiu jest niezłym skurczybykiem, to niekoniecznie od razu musi się to zmienić po jego śmierci.

Opowiadanie *Spójrz na to z drugiej strony* (przy okazji wspomnę, że nominowane do Nagrody Zajdla za rok 2011, co ucieszyło mnie przynajmniej tak samo, jak w przypadku nominacji dla *Ostatniego telefonu*) to chyba też trochę historia o niedocenianiu tego, co mamy na co dzień, i o tym, że czasem dopiero nieodwracalna strata powoduje przyjęcie innej optyki.

Dużą frajdę podczas pisania sprawiła mi wieloznaczność sformułowania „spójrzeć z drugiej strony” i „wyzwałem” je w tym tekście chyba na wszystkie możliwe sposoby. Frajdę sprawiło mi też wykorzystanie jako motta cytatu z wyszydzanego (moim zdaniem nie do końca słusznie) Paulo Coelho. Domyślałem się, że będą na ten temat komentarze i zbyttno się nie zawiodłem.

Natrafiłem też w czeluściach sieci na opinię, która bardzo mnie ubawiła, a w której ktoś twierdził coś mniej więcej takiego: „Co to za facet, który nie potrafi dać rady babce z mieczem samurajskim?”. Mnie osobiście się zdaje, że jak na kogoś, kto staje do walki z wysportowaną instruktorką kendo, to mąż Magdy spisał się i tak nadspodziewanie dobrze (o tym komentarzu wspomniałem, aby zobrazować fakt, że

autor, nawet jeśli restrykcyjnie pilnuje linii fabularnej utworu, to i tak musi być przygotowany na wiele, czasem najbardziej absurdalnych zaczepki).

Miało powstać jeszcze jedno opowiadanie zlokalizowane w Zarzeczu. Jego akcja miała rozrywać się już po zakończeniu *Spójrz na to z drugiej strony*. Głównym bohaterem miał tym razem zostać Adam, którego historia w pewien sposób jest związana z... Wyrębami. Kto wie, może jeszcze kiedyś pokuszę się o realizację tego zamierzenia.

Nie pamiętam już dokładnie, jak to się stało, że powstała miniatura *Kryzys wieku średniego*, ale na pewno pisałem ją dla portalu Gildia.pl. Wydaje mi się, że na tej stronie publikowane były krótkie utwory kilku autorów i byłem jednym z zaproszonych do tego przedsięwzięcia.

Opowiadanie jest tak krótkie, że trzeba uważać, aby pisząc o nim, nie przekroczyć jego objętości, wspomnę więc tylko, że powstało może dwa lata przed przekroczeniem przeze mnie „czterdziestki”, a w głównym bohaterze skompilowałem wiele cech, które postrzegam jako negatywne. Teorię wyjaśniającą, iż lunatycy krążą nocami po świecie, realizując zamierzenia zmarłych, wymyśliłem tuż przed napisaniem *Kryzysu wieku średniego*; sądzę nieskromnie, że jest ona całkiem ciekawa i — biorąc pod uwagę to, w jaki sposób somnambulizm się objawia (np. stanie obok łóżka) — chyba też dość przerażająca.

Bardzo dawno temu, zdaje się, że jeszcze w czasach, gdy pisałem *Dom na wyrębach*, powstała miniatura zatytułowana *Mroczne historie*. Gdy zostałem poproszony o opowiadanie do antologii grozy, przypomniałem sobie o tamtym krótkim tekście, przejrzałem go uważnie i uznałem, że jest w nim trochę nie do końca wykorzystanego potencjału.

W pierwotnej wersji (którą wciąż można znaleźć w Internecie) utwór ma formę listu do redakcji. Jego autor opowiada o zdarzeniu na cmentarzu sprzed lat i porównuje je do swojego zmarnowanego życia, twierdząc, że właśnie to drugie jest o wiele bardziej mroczne, jest



swego rodzaju „mroczną historią”, bardziej przerażającą od — jak to ujął — „niestworzonych opowieści o duchach, zjawach czy upiorach”.

Tytułowe opowiadanie niniejszego zbioru zostało znacznie rozbudowane, Adolf Krawczyk otrzymał tu imię i nazwisko, a jego historia została przedstawiona pełniej. Pojawił się w niej także Zbyszek Matlak, któremu w krótszej wersji poświęciłem o wiele mniej miejsca, poznaliśmy dziennikarza miesięcznika „Twoje Medium”, o imieniu Łukasz, zawitaliśmy w Domu Pomocy Społecznej „Irys” w Rykowie Górnym, a więc zmiany są dość znaczne.

Dlaczego o nich piszę?

Chyba dlatego, że pomimo ich wprowadzenia *Opowiem ci mroczną historię* wciąż pozostaje przede wszystkim tekstem o zmarnowanym życiu i apelem Adolfa Krawczyka do Czytelników (zapewne nie tylko „Twojego Medium”), by starali się zrobić wszystko, aby rozjaśnić każdą swoją pojedynczą historię, możliwie jak najbardziej skutecznie.

*Rowerzysta*, podobnie jak ostatnie dwa opowiadania, jest tekstem premierowym, powstałym (o czym wspomniałem w przedmowie) w roku 2014.

Nie byłoby tego opowiadania w zbiorze, gdyby nie to, że na przełomie sierpnia i września sporo jeździłem na rowerze i na jednej z takich wypraw spotkało mnie zdarzenie bardzo podobne do opisanego w tekście. Poruszałem się kamienistą drogą, wjeżdżając na niewielkie wzniesienie, gdy naprzeciw mnie pojawiło się auto. Kiedy kierowca mnie zobaczył, zaczął gwałtownie przyspieszać (co było absolutnie irracjonalne na tak słabej drodze, a w dodatku na jakieś sto metrów przed skrzyżowaniem, przed którym i tak musiał się zatrzymać), kamienie spod kół zaczęły z ogromną siłą strzelać wokół, więc tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie oberwałem żadnym z nich.

Pomyślałem sobie wtedy, co by było, gdybym jednak oberwał. Zacząłem się zastanawiać, co czułby wtedy ten facet i czy faktycznie ciągle byłby przekonany, że warto było wtedy „przyszpanować” lub

mnie trochę „postraszyć” (tak naprawdę do dziś nie wiem, jakie intencje nim kierowały).

Sam jestem kierowcą i wiem, że mijanych rowerzystów traktuje się czasem jako „zło konieczne”, niemniej jednak warto pamiętać, że każdy z nich wiezie ze sobą jakąś historię, ma jakieś plany, marzenia, osiągnięcia, ktoś na niego czeka w domu... Wiem, że to, o czym piszę, jest dość oczywiste, ale mnogość sytuacji, w których zamknięci bezpiecznie w metalowych pojazdach rycerze postanawiają pokazać rowerzystom „kto tu rządzi”, jest wręcz porażająca i ciągle słyszę o nowych (wyprzedzanie „na trzeciego” połączone z potrąceniem kierownicy lusterkiem, próba zepchnięcia do rowu przez autobus komunikacji miejskiej, wymuszanie pierwszeństwa, włączanie się do ruchu podczas gdy auto wyprzedzane jest przez rower itd.).

Oczywiście, niektórzy rowerzyści też aniołkami nie są (zwłaszcza ci jeżdżący po zmroku bez oświetlenia, bo tutaj w przypadku potrącenia o winie kierowcy przeważnie nie może być mowy), ale chyba jednak warto pohamować emocje i wyobrazić sobie, że na mijanym dwukołowcu jest ktoś z naszych przyjaciół.

Wydarzenie, które zainspirowało *Rowerzystę* dało mi naprawdę sporo do myślenia i ponieważ tymi refleksjami chciałem się z Państwem podzielić jak najszybciej, bardzo zależało mi na tym, aby tekst znalazł się w niniejszym zbiorze. Skończyłem go pisać jako ostatni, ale się udało. I mam nadzieję, że nikt z Państwa nigdy nie znajdzie się w sytuacji podobnej to tej, która spotkała sędziego Jacka Horodeckiego.

Zwłaszcza że gdyby jednoznacznie nie wziął na siebie winy, to zakończenie mogło być dla niego o wiele bardziej drastyczne.

Chyba każdy autor literatury grozy prędzej czy później powinien zmierzyć się z wątkiem wampirycznym, tak więc od jakiegoś już czasu i ja planowałem taką właśnie przygodę. Jej efektem jest opowiadanie *Nika*.

Dość trudno jest dodać coś od siebie w kwestii, która była już maglowana na tysiące sposobów, ale można przynajmniej spróbować...

Moje opowiadanie rozgrywa się głównie w roku 1984, ale sięga też lat o wiele wcześniejszych, czyli początku lat pięćdziesiątych i Akcji H-T, która dotknęła regiony sąsiadujące z moimi rodzinnymi stronami. Akcja pokazuje, jak bardzo systemy nie liczą się z pojedynczymi ludźmi — dla Związku Radzieckiego ważniejsze było pozyskanie złóż węgla kamiennego i miast z całą infrastrukturą, niż to, że tysiące ludzi będą się musiały błąkać po świecie w celu znalezienia swojego nowego miejsca na ziemi (przy okazji warto tu wspomnieć, że od 1952 roku planowano kolejną, jeszcze bardziej znaczącą korektę granic w tych okolicach, jednak ostatecznie — podobno ze względu na śmierć Stalina — na szczęście do niej nie doszło). Możecie się Państwo uśmiechać, że dziwię się temu, iż totalitarne mocarstwo miało za nic egzystencję jednostek. Nie, absolutnie się temu nie dziwię, ale wspominam o tym z tego względu, że jeśli patrzymy na współczesny świat i zachowania największych rozgrywających, to od roku 1951 jakby niewiele się zmieniło...

Wróćmy jednak do *Niki*. Oczywiście, chciałem trochę „pomajstrować” przy wizerunku i cechach wampira oraz przy genezie powstawania tego typu demona. Opisałem historię kilkunastoletniej dziewczyny, ale po zamknięciu tekstu miałem pewien niedosyt. Sam jestem ciekaw, co w tej Nowej Żernicy wydarzyło się w roku 2011... Zobaczymy, może jeszcze kiedyś spróbuję się tego dowiedzieć.

Pomysł na *Pierwszą z kolei* pojawił się, gdy w czerwcu tego roku wracałem pociągiem z wrocławskich Dni Fantastyki. Siedziałem wtedy w przedziale z pewną miłą panią, tylko trochę podobną do bohaterki opowiadania i z całą pewnością zupełnie nieirytującą. Pomyślałem jednak, że być może znalazłby się ktoś, kogo mogłaby irytować. Długa podróż sprzyja wyolbrzymianiu emocji, sprawia, że współpasażerowie w naszych oczach otrzymują cechy, których byśmy im nie przypisali podczas przelotnego spotkania.

Stwierdziłem więc, że spróbuję pokusić się o próbę skonstruowania takiego studium pogłębiającego się szaleństwa, zakończonego tragedią.

Początkowo sądziłem, że Szymalski, wsiadając do pociągu, będzie zupełnie normalnym facetem, a odwali mu totalnie dopiero podczas podróży, jednak ostatecznie uznałem, że byłoby to chyba dość niewiarygodne, dlatego „Szynszyl” od początku sprawia wrażenie lekko zwichrowanego. Natomiast pomysł pozostawionego w pociągu pamiętnika, który demaskuje mordercę, tłukł mi się w głowie od dobrych paru lat. Teraz wystarczyło tylko te dwie koncepcje połączyć, żeby ten świr nie zrobił już krzywdy żadnej innej kobiecie.

TLK 83100 Kossak przez pewien okres jeździł dokładnie według czasów przejazdów i postojów, które są przedstawione w *Pierwszej z kolei*. W ramach przygotowywania się do pisania tego tekstu odwiedziłem stację Tarnów Mościce, żeby przekonać się, czy odległość od drzwi składu pociągu TLK Intercity do słupów trakcyjnych jest taka, aby nie zarzucono mi nieścisłości w kluczowej scenie. Na stacji tej natknąłem się przez przypadek na ciekawą rzeźbę przedstawiającą śpiącego kowboja. Niestety, nie udało mi się sensownie połączyć jej z fabułą opowiadania. Może innym razem...

\*

Jest niedziela 26 października 2014 roku.

Wczoraj minęło sześć lat od premiery *Domu na wyrębach* na Targach Książki w Krakowie. 25 i 26 października 2008 roku, w sobotę i niedzielę, podpisywałem swoją pierwszą książkę.

W roku 2014 rozkład dni jest identyczny i podobnie jak sześć lat temu podpisywałem w sobotę, 25 października, swoje książki na krakowskich targach (tym razem było już do podpisywania pięć tytułów).

Jest teraz godzina 9.05 i dziś znów mam dyżur autorski.

Mam wrażenie, że w chwili, gdy piszę te słowa, kończy się pewien etap, a za chwilę, również tu, w Krakowie, rozpocznie się nowy.

Oby przynajmniej tak samo udany, jak pierwszy.

Oby ciągle w towarzystwie najlepszych Czytelników na świecie...

Kraków, 26 października 2014 roku

## Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Motto, dedykacja](#)

[Przedmowa](#)

[Ostatni telefon](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[22.](#)

[Dwie dychy na gwiazdkę](#)

[Retrowizje](#)

- [1.](#)
- [2.](#)
- [3.](#)
- [4.](#)
- [5.](#)
- [6.](#)
- [7.](#)
- [8.](#)
- [9.](#)
- [10.](#)
- [11.](#)

[Spójrz na to z drugiej strony.](#)

[Magda](#)

[Sylwia](#)

[Magda](#)

[Adam](#)

[Magda](#)

[Magda](#)

[Kryzys wieku średniego](#)

[Opowiem ci mroczną historię](#)

- [1.](#)
- [2.](#)
- [3.](#)
- [4.](#)
- [5.](#)
- [6.](#)
- [7.](#)
- [8.](#)
- [9.](#)
- [10.](#)
- [11.](#)
- [12.](#)

Rowerzysta

- 1.
- 2.
- 3.

Nika

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.

Pierwsza z kolei

- 16.21—16.43
- 16.43—16.48
- 16.48—17.01
- 17.01—17.04
- 17.04—17.22
- 17.22—17.23
- 17.23—17.54
- 17.54—17.55
- 17.55—18.16
- 18.16—18.17
- 18.17—18.51
- 18.51—19.25
- 19.25—19.32
- 19.32—19.33
- 19.33—20.19
- 20.19—20.28
- 20.28—20.46
- 20.46—20.47
- 20.47—21.18

Tarnów

Tarnów Mościce

Epilog

Posłowie